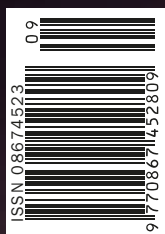


Polska Zbrojna

NR 9 (869) WRZESIEŃ 2018 INDEKS 337 374 ISSN 0867-4523

CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)



DEBATA

**Pomysły
na wykorzystanie
offsetu w polskiej
zbrojeniówce**

Miliardy na armię

KWARTALNIK
BELLONA

PISMO NAUKOWE
100 LAT POLSKIEJ MYŚLI WOJSKOWEJ

1918-2018



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

| WOJSKO |
| POLSKIE |

*Nasza interpretacja –
Wasze źródła*



Z SZEREGU WYSTĄP

IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA



PARASOL CHRONIĄCY PRZED UDERZENIEM Z POWIETRZA JEST ELEMENTEM GWARANTUJĄCYM BEZPIECZEŃSTWO CYWILOM, M.IN. W RAZIE ATAKU NUKLEARNEGO.

Żołnierzom z kolei umożliwia on efektywną obronę na lądzie. Taka osłona, czyli w wypadku Polski system przeciwlotniczy i przeciwrakietowy Patriot, jest w fazie zakupu. Decydenci są przekonani, że pozyskanie tak doskonałego sprzętu, który został kompleksowo przetestowany przez Stany Zjednoczone, jest wydarzeniem przełomowym w historii Wojska Polskiego. Dzięki tej transakcji zyskają również rodzime firmy, będące wykonawcami niektórych podzespołów i systemów.

Redakcja miesięcznika „Polska Zbrojna” zaprosiła do debaty na temat programu Wisła przedstawicieli Ministerstwa Obrony Narodowej i firm zbrojeniowych. Nasi goście: prof. Hubert Królikowski, zastępca dyrektora Departamentu Wojskowych Spraw Zagranicznych MON; płk Jacek Najs, zastępca dyrektora Biura ds. Offsetowych MON; płk Michał Marciniak, pełnomocnik MON ds. pozyskania i wdrożenia systemu Wisła; dr Jakub Skiba, prezes Polskiej Grupy Zbrojeniowej; John Baird, przedstawiciel firmy Raytheon, oraz Henryk Kruszyński, prezes TELDAT-u, dyskutowali m.in. o tym, na jakie inwestycje przełożą się umowy offsetowe dotyczące programu Wisła.

„Chciałbym, żebyśmy wdrożyli zasady dowodzenia przez cele. [...] Dowódcy wszystkich szczebli muszą być bardziej samodzielni, zorientowani na realizację zadania, a nie wyłącznie czekanie na rozkaz”, mówi w rozmowie z „Polską Zbrojną” gen. broni Rajmund Andrzejczak, szef Sztabu Generalnego. Opowiada nam nie tylko o reformie systemu dowodzenia i modernizacji sił zbrojnych, lecz także o koncepcjach, które planuje wdrożyć po to, aby zarządzać wojskiem lepiej, szybciej i efektywniej.

Odwet – choćby tylko po to, żeby na chwilę wyrwać się z beznadziei, na chwilę poczuć, że odparcie wroga nie jest niemożliwe... Wojsko Polskie już drugiego dnia września 1939 roku podejmowało takie próby. O kontratakach polskich żołnierzy, ich odwadze i uporze również przeczytacie Państwo w najnowszym numerze miesięcznika. ■



TEMAT
NUMERU

KRZYSZTOF WILEWSKI,
TADEUSZ WRÓBEL

**10 Miliony
na armię**

Dyskusja o offsecie
związany z programem
Wisła

TADEUSZ WRÓBEL

**19
Ameryka
stawia
na swoje**

MACIEJ NOWAK-KREYER

**22 Bieg do
nowoczesności**



MACIEJ CHILCZUK,
MARCIN GÓRKA

**26 Chcę wyrwać wojsko
ze strefy komfortu**

Rozmowa z Rajmundem
T. Andrzejczakiem

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

32 Pół roku z Sophią

PIOTR RASZEWSKI

36 Zmiana warty

EWA KORSAK, MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

40 Połów pereł z cywila

BOGUSŁAW POLITOWSKI

44 Moc leopardów

Rozmowa z Dariuszem
Parylakiem

MICHAŁ ZIELIŃSKI

**46 Nic nie może nas
zaskoczyć**

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

**52
Strażnicy
północy**

PAULINA GLIŃSKA

58 Legia wzywa

EWA KORSAK

60 Zew syreny

MICHAŁ ZIELIŃSKI

62 Walka o bicie serca



ARSENAŁ

TADEUSZ WRÓBEL

72 Kosztowna flota

Amerykanie wzmacniają
marynarkę wojenną

KRZYSZTOF WILEWSKI

**80
Morscy
saperzy**

PRZEMYSŁAW MILLER

83 Marynarka tonie

ANDRZEJ PAWŁOWSKI

85 Potęga na makietach

RAFAŁ CIASTOŃ

91 Mistrz rekordów



STRATEGIE

TOMASZ OTŁOWSKI

**92 W Teheranie
biją w werble**

Ostrzeżenia przed konfliktem
będącym matką wszystkich
wojen

MICHAŁ ZIELIŃSKI

**98 Lepiej tam niż
w grobach**

ROBERT SENDEK

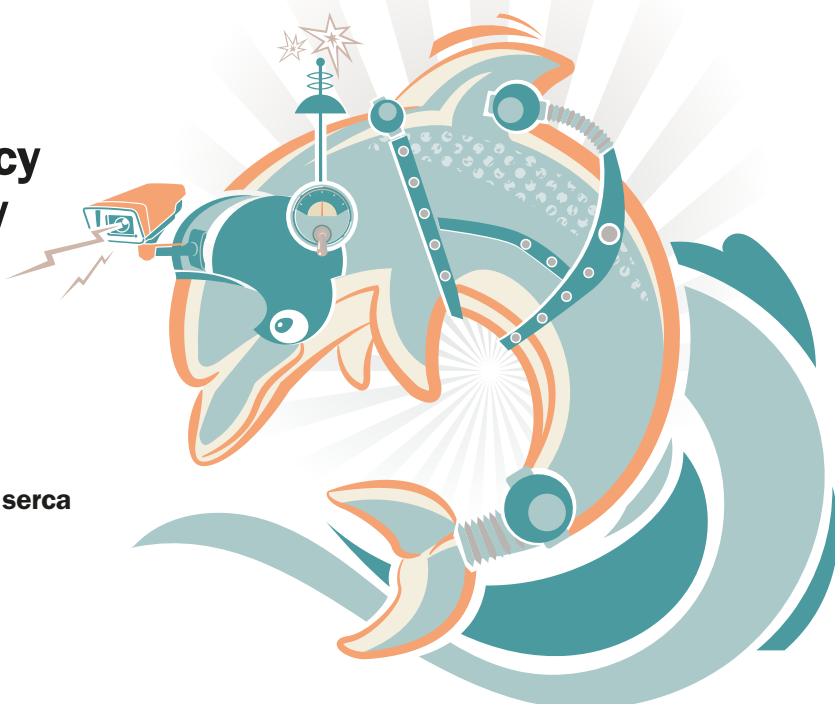
**104
Gra
w szpiegów**

TOMASZ OTŁOWSKI

**107 Renesans broni
chemicznej?**

TADEUSZ WRÓBEL

109 Armia kosmiczna





HISTORIA

MACIEJ NOWAK-KREYER

110 Zuchwały rajd

Szturm Polaków na niemieckie miasto w 1939 roku

TADEUSZ WRÓBEL

118 Strzelcy z Ardenów

ROBERT SENDEK

121 Za wolność waszą

PIOTR KORCZYŃSKI

124 Pogromca fikających armat

PIOTR KORCZYŃSKI

128 Za wszelką cenę do Polski

Rozmowa z Adelą Żurawską

TADEUSZ WRÓBEL

134 Uniwersalny dingo

KRZYSZTOF KUBIAK

137 Obosieczny miecz



Miliardy na armię

Zdjęcie na okładce:
lassedesigner/Fotolia



HORYZONTY

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

138 Lot w przeszłość

Wielkopolska Eskadra
Niepodległości

EWA KORSAK

144 Szlakiem wsparcia

MAGDALENA MIERNICKA

146 Sztafeta pamięci

PIOTR RASZEWSKI

148 Odrobina kawalerystycznej fantazji

MAŁGORZATA

SCHWARZGRUBER

152 Dbam i pomagam

Rozmowa z Ziemowitem
Budkiem

WITOLD KORTYKA

154 Powrót do domu

ANNA DĄBROWSKA

156 Nie zeszli z posterunku

ANDRZEJ FAŁARA

162 Franek Dolas na opak

DYREKTOR WOJSKOWEGO

INSTYTUTU WYDAWNICZEGO

Maciej Podczaski,

sekretariat@zbrojni.pl;

tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;

Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ

Izabela Borańska-Chmielewska,

tel.: 261 840 222; ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI, Z-CIA REDAKTORA NACZELNEGO

Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213

Zastępcy sekretarza redakcji

Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;

Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;

polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Piotr Korczyński,

Ewa Korsak, Magdalena Kowalska-Sendek,

Magdalena Miernicka, Bogusław Polkowski, Małgorzata

Schwarzgruber, Robert Sendek, Jacek Szustakowski,

Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel

WSPÓŁPRACA: Rafał Ciasłoń, Andrzej Fąfara,

Krzysztof Kubiak, Przemysław Miller, Maciej Nowak-

-Kreyer, Tomasz Orlowski, Andrzej Pawłowski,

Piotr Raszewski, Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

ZDJĘCIA

Michał Niwicz, Jarosław Wiśniewski

GRAFIKA

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka, Monika

Siemaszko, tel.: 261 845 170; Andrzej Witkowski

(fotoedytor), tel.: 261 845 579

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE

Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 845 244;

Renata Gromska, January Szustakowski

MARKETING I PROMOCJA

Piotr Zarzycki (kierownik), Agnieszka Karaczun,

Anita Kwaterowska (tłumacz), Radosław Lechowicz,

Marta Szulc, Małgorzata Szustkowska, tel. 261 845 387,

261 845 180, faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE

Poczta Polska Usługi Cyfrowe Sp. z o.o.

ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek

tel: 542 315 201, 502 012 187

elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

Numer zamknięto: 28.08.2018 r.

DRUK

ARTDRUK ul. Napoleona 2, 05-230 Kobylka,

www.artdruk.com

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych

„Polski Zbrojny” można składać poprzez:

– www.polska-zbrojna.pl

– www.prenumerata.ruch.com.pl

– www.garmondpress.pl/prenumerata

– www.kolporter.com.pl/prenumerata

Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym

prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojny”,

dostępna na: <http://e-kiosk.pl>, www.egazety.pl

PARTNER

Narodowe Archiwum Cyfrowe.

220 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze

odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów

niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie

prawo do skrótów.

Exemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji

wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400.

Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska

Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje

regulamin dostępny na stronie głównej portalu

polska-zbrojna.pl.

Znajdziesz nas tutaj:



KADR





Żołnierze polskiego wojska, armii sojusznicznych, oddziały historyczne oraz różnego rodzaju sprzęt można było obejrzeć na Wielkiej Defiladzie Niepodległości 15 sierpnia 2018 roku.

FOT. JAROSŁAW WIŚNIEWSKI



Zaszczyt i zobowiązanie

Jedenastu oficerów odebrało awanse generalskie w Święto Wojska Polskiego.

Rozpoczęcie służby w korpusie generałów czy nominacja na wyższe stanowisko to wielki moment w życiu każdego żołnierza”, mówił prezydent Andrzej Duda podczas uroczystości w Pałacu Prezydenckim. Zaznaczył, że awans to nie tylko sposób na docenienie dotychczasowej służby, ale także wielkie

zobowiązanie do strzeżenia Rzeczypospolitej i dowodzenia żołnierzami. Nominacje na stopień generała dywizji otrzymali: gen. bryg. Maciej Jabłoński, dowódca 12 Dywizji Zmechanizowanej, gen. bryg. Wiesław Kukuła, dowódca wojsk obrony terytorialnej, gen. bryg. Dariusz Łukowski, szef Inspektoratu Wspar-

cia Sił Zbrojnych, gen. bryg. Tadeusz Mikutel, zastępca dowódcy operacyjnego rodzajów sił zbrojnych, oraz gen. bryg. Tomasz Piotrowski, szef sztabu Dowództwa Operacyjnego RSZ. Na stopień wiceadmirała nominowany został kadm. Krzysztof Jerzy Jaworski, dowódca Centrum Operacji Morskich – Dowództwa Komponentu Morskiego.

Pierwszą generalską gwiazdkę noszącą teraz: płk Robert Drozd, szef Zarządu Kierowania i Dowodzenia Sztabu Generalnego WP, płk Karol Dymanowski, dyrektor Departamentu Polityki Zbrojeniowej MON, płk Dariusz Pluta, szef Inspektoratu Uzbrojenia MON, płk Dariusz Ryczkowski, dyrektor Departamentu Infrastruktury MON, oraz płk Piotr Trytek, dowódca 12 Brygady Zmechanizowanej. Prezydent wręczył także odznaczenia państwowe. Wśród uhonorowanych oficerów był m.in. gen. dyw. Richard J. Hayes, dowódca Gwardii Narodowej stanu Illinois, która wspiera rozwój wojsk obrony terytorialnej. PZ, MM ■

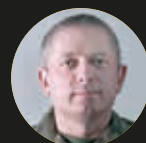
ZMIANY W SZTABIE

Gen. dyw. Krzysztof Król został zastępcą szefa Sztabu Generalnego.

Nowego zastępcę szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego wyznaczył minister Mariusz Błaszczak. Gen. Krzysztof Król jest m.in. absolwentem Wyższej Szkoły Oficerskiej Inżynierii Wojskowej, Akademii Obrony Narodowej i Studiów Polityki Obronnej w Akademii Sił Zbrojnych Kanady w Toronto. Zawodową służbę wojskową rozpoczął w batalionie zabezpieczenia w Czerwonym Borze. Pełnił także służbę w strukturach NATO jako starszy oficer w Oddziale Szkolenia G7 Kwatery NATO Sił Połączonych Centrum w Heidelbergu w Niemczech. Był star-

szym oficerem ds. Kosowa w biurze doradcy politycznego w Kwaterze Dowództwa Regionalnego NATO w Neapolu.

W kraju był m.in. szefem sekretariatu dowódcy Wojsk Lądowych, szefem Oddziału Planowania Operacyjnego G5 w Dowództwie 2 Korpusu Zmechanizowanego w Krakowie oraz dowódcą Brygady Wsparcia Dowodzenia Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego w Stargardzie. Ostatnio był zastępcą dowódcy Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego w Szczecinie. ■



Gen. dyw.

KRZYSZTOF KRÓL

służył w siłach pokojowych ONZ UNIFIL w Libanie jako dowódca Zgrupowania Pododdziałów Inżynieryjnych, a także w PKW Irak jako szef Oddziału Operacyjnego G3 Wielonarodowej Dywizji Centrum-Południe.



MICHAŁ NIWICZ

W WOT

służbę pełni 11,7 tys. żołnierzy, w tym 9,6 tys. ochotników oraz 2,1 tys. żołnierzy zawodowych.

WOT w Wielkopolsce

Rozpoczął się trzeci etap budowy wojsk obrony terytorialnej.

12 Wielkopolska Brygada Obrony Terytorialnej rozpoczęła szkolenie żołnierzy OT jako jedna z pierwszych brygad powstałych w ramach trzeciego etapu budowy WOT-u. Do dwóch batalionów lekkiej piechoty w Lesznie i Śremie powołano kilkudziesięciu ochotników – kandydatów na instruktorów, którzy będą prowadzić szkolenia żołnierzy OT. Podobne zajęcia zostały wcześniej zainicjowane w brygadach łódzkiej i świętokrzyskiej. W Wielkopolsce zakończyło się też pierwsze szkolenie podstawowe kandydatów do WOT-u. W Lesznie przysięgę wojskową złożyło ponad 80 żołnierzy, którzy zasilili bataliony lekkiej piechoty 12 Wielkopolskiej Brygady OT.

Jak podał ppłk Marek Pietrzak, rzecznik Dowództwa Wojsk Obrony

Terytorialnej, obecnie trzy brygady OT (na Podlasiu, Lubelszczyźnie i Podkarpaciu) weszły w okres szkolenia specjalistycznego, trzy (dwie na Mazowszu i jedna na Warmii i Mazurach) kontynuują szkolenie indywidualne; a siedem kolejnych (na Pomorzu, Kujawach, w Małopolsce, Wielkopolsce, na Śląsku, w Łódzkiem i Świętokrzyskiem) rozpoczyna szkolenia podstawowe i wyrównawcze, które są wstępem do etapu zasadniczego przygotowania wojsk OT.

Obecnie w WOT służbę pełni 11,7 tys. żołnierzy, w tym 9,6 tys. ochotników oraz 2,1 tys. żołnierzy zawodowych. Zgodnie z planem formowanie wojsk ma zostać zakończone w 2021 roku, wówczas liczebność formacji osiągnie 53 tys. żołnierzy, a brygady OT będą w każdym województwie. AD

Restart homara

Przyspieszenie programu raketowego.

Minister Mariusz Błaszczak zdecydował o unieważnieniu uruchomionego trzy lata temu postępowania w sprawie pozyskania dywizyjnych modułów ogniowych wieloprowadnicowych wyrzutni rakietowych o kryptonimie **Homar**. Do tej pory negocjacje dotyczące pozyskania wyrzutni prowadzono z konsorcjum, którego liderem była Polska Grupa Zbrojeniowa. W lipcu 2017 roku PGZ poinformowała, że na dostawcę wybrała amerykańską firmę Lockheed Martin, oferującą wyrzutnię High Mobility Artillery Rocket System – HIMARS. Ruszyły formalności związane z zakupem przez Polskę tego systemu, ale PGZ nie podpisała umowy z Lockheedem Martinem.

Teraz MON postanowiło zakończyć poprzednie postępowanie i rozpocząć negocjacje z amerykańską stroną rządową. Nowa procedura realizacji programu zakłada zakup tej broni w ramach umowy międzyrządowej ze Stanami Zjednoczonymi. Jak podało MON, decyzja spowodowana jest nie tylko opóźnieniem realizacji projektu, lecz przede wszystkim jego rosnącymi kosztami. „Przyczyną rezygnacji z dotychczasowego sposobu pozyskania wyrzutni są m.in. oczekiwania finansowe ze strony potencjalnych wykonawców, w tym zagranicznych, przekraczające kwoty, które MON zarezerwowało na ten cel na początku 2015 roku”, poinformował resort obrony.

W ramach programu zostanie dostarczony system raketowy zdolny do rażenia celów znajdujących się w odległości do 300 km. PZ, KW

TEMAT
NUMERU

/ ZBROJENIÓWKA

**Przedstawiciele sektora prywatnego
i resortu obrony dyskutują o offsecie**
towarzyszącym programowi pozyskania
przeciwrakietowych i przeciwlotniczych zestawów
raketowych Patriot.

WSZYSTKIE DOPIĘY WISŁY



KRZYSZTOF WILEWSKI

P

ozyskanie systemów Patriot jest najdroższym programem modernizacyjnym w Polsce po 1989 roku. Przebije wartością nawet zakup wielozadaniowych samolotów F-16. Towarzyszący mu offset będzie jednak mniejszy niż wówczas. Dlaczego?

Hubert Królikowski: Zmieniła się ustawa offsetowa. O ile wcześniej offset zasadniczo był korzyścią nieodpłatną i podnosił wartość kontraktu maksymalnie do 10%, o tyle teraz jest opłacany z budżetu Ministerstwa Obrony Narodowej. Kolejną zmianą jest przesunięcie ciężaru negocjowania zobowiązań offsetowych z administracji na przedsiębiorców.

To są zasadnicze zmiany w offsecie towarzyszącym umowie sprzętowej, ale dla nas, kupujących, chyba korzystne.

Jacek Najs: Pierwszy raz zdarza się sytuacja, w której wiemy, ile kosztuje offset. Do tej pory postępowania prowadzono głównie w trybach konkurencyjnych i nigdy nie był on pokazywany w wymiarze finansowym. Charakter offsetu się zmienił, gdyż implementowaliśmy do polskiego porządku prawnego przepisy Unii Europejskiej. Ustawa, która weszła w życie w 2014 roku, zrobiła z niego narzędzie służące przede wszystkim ochronie podstawowych interesów bezpieczeństwa państwa. Dziś założenia offsetowe muszą obejmować zdolności, które pozwolą na rozwój polskich firm i są powiązane ze sprzętem wojskowym nabywanym w ramach umowy zakupu.

Czy dla Amerykanów offset w formule niemającej prostego przełożenia ekonomicznego to rozwiązanie niespotykane, charakterystyczne dla Polski?

John Baird: Na świecie dominują rozwiązania oparte na podstawach ekonomicznych. Za-



WIZYTÓWKA

PŁK MICHAŁ MARCINIAK

Jest pełnomocnikiem ministra obrony narodowej ds. pozyskania i wdrożenia do Sił Zbrojnych RP systemu Wisła. Od 2008 roku związany z zaopatrywaniem sił zbrojnych, początkowo w Departamencie Zaopatrywania, a następnie w Inspektoracie Uzbrojenia MON.

zwyczaj negocjujemy kontrakt i jakaś wartość odpowiadająca offsetowi jest w niego wbudowana. O szczegółach rozmawiamy więc po zawarciu umowy. W Polsce projekty offsetowe negocjujemy wcześniej i to jest trudniejsze.

Dla Polskiej Grupy Zbrojeniowej również?

Jakub Skiba: Z perspektywy PGZ konstrukcja ustawy offsetowej, która odeszła od wymiaru kompensacyjno-ekonomicznego, by realizować strategiczne interesy obronne, ma oczywiste zalety. Istnieje jednak ryzyko przerwania ciężaru negocjacji umów szczegółowych na wykonawcę. To może oznaczać perturbacje na płaszczyźnie produkcyjno-biznesowej.

Dlaczego?

Jakub Skiba: Dla PGZ największą szansą na rozwój jest program Narew, który będzie

Podział Wisty na dwa etapy miał nam zapewnić jak najszybsze osiągnięcie zdolności operacyjnych. To był priorytet

oparty przede wszystkim na polskich technologiach. Skoro stawiamy tezę, że należy go traktować jako całość, a system dowodzenia jest tym, co spaja, to gdy zastąpi go IBCS [Integrated Air and Missile Defense Battle Command System] z Wisty, może to oznaczać zejście naszego sztandarowego programu do poziomu podsystemu.

Z kim podpisano umowy offsetowe?

Jacek Najs: Offset był negocjowany przez zespół międzyresortowy, pod przewodnictwem dyrektora Biura ds. Umów Offsetowych w MON Stanisława Butlaka, z dwoma wykonawcami – Lockheedem Martinem i Raytheonem. Umowa z Raytheonem obejmuje również zobowiązania firmy Northrop Grumman. Ostatecznie podpisano dwie umowy offsetowe. Ta z Raytheonem zawiera 31 zobowiązań na kwotę 224 mln, a z Lockheedem Martinem – 15 o wartości 724 mln zł. Obie będą obowiązywały przez dziesięć lat.

Na jakie inwestycje będą skierowane te kwoty?

Jacek Najs: Umowa z Raytheonem zawiera zobowiązanie do utworzenia Centrum Administracji i Zarządzania całym programem Wisła. Chcemy, aby zajmowało się ono jednak nie tylko Wisłą, lecz także innymi systemami obrony powietrznej, jak Narew czy Pilica. Kolejne zobowiązania dotyczą systemu łączności do Wisty oraz kwestii związanych z wyrzutnią i systemem przeładowywania rakiet. Plan jest taki, że w PGZ będzie możliwość budowy całych wyrzutni i transporterów załadunkowych do nich. Zobowiązania Northropa Grummana natomiast



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI (2)

WIZYTÓWKA

**PROF. DR HAB.
HUBERT KRÓLIKOWSKI**

Jest dyrektorem Departamentu Analiz Obronnych w Centrum Analiz Strategicznych Kancelarii Premiera Rady Ministrów.

dotyczą systemu dowodzenia IBCS. Ta firma ma m.in. nauczyć PGZ projektowania jego elementów. Za zdolności dotyczące współprodukowania części rakiety PAC-3 MSE odpowiada zaś Lockheed Martin. Poza tym firmy Raytheon i Lockheed Martin mają zobowiązania niezwiązane bezpośrednio z Wisłą, lecz dotyczące na przykład produkcji armaty Bushmaster czy rozszerzenia serwisowania w Polsce samolotów F-16.

Dlaczego priorytetem offsetowym stało się pozyskanie licencji na produkcję armaty Bushmaster?

Hubert Królikowski: To jest oręż nie tylko rosomaków, lecz także nowej wieży bezzałogowej do przyszłego bojowego wozu piechoty. Starania o nią trwały od wielu lat.

Negocjacje offsetowe rozpoczęły się w listopadzie 2017 roku. Jakie były pierwsze wasze reakcje na złożone wówczas przez Amerykanów propozycje?

Jacek Najs: Dwojaki. Oferta Raytheona była bardziej precyzyjna, odpowiadała wzorowi określonemu w założeniach offsetowych, co pozwoliło zespołowi negocjacyjnemu na szybsze zakończenie jej oceny formalnej.





WIZYTÓWKA

PŁK JACEK NAJS

Jest zastępcą dyrektora Biura ds. Umów Offsetowych w MON.

John Baird: Po prostu była lepsza...

Jacek Najs: (Śmieje się) Firma Lockheed Martin trochę inaczej podeszła do sprawy. Ich oferta wymagała większej liczby uzupełnień i wyjaśnień, ale w toku negocjacji osiągnęliśmy formalnie i przede wszystkim merytorycznie efekt zadowalający dla strony polskiej.

Jak to, co zaproponowali Amerykanie, miało się do naszych ówczesnych priorytetów offsetowych?

Jacek Najs: Polskiej stronie podczas negocjacji umowy offsetowej najbardziej zależało na zdolnościach związanych z radarami dookólnymi AESA 360. Program podzielono jednak na dwie fazy i radary nie są przedmiotem dostawy w pierwszym etapie. Istotne dla nas były też kwestie związane z systemem dowodzenia IBCS oraz zobowiązania dotyczące produkcji rakiet. Ale niskokosztowe rakiety również nie stały się przedmiotem dostawy w pierwszej fazie i te założenia pozostają naszym priorytetem.

Dlaczego rakiety nie weszły do pierwszej fazy Wisły? Ze względu na koszty?

Michał Marciniak: Nie. Ze względu na to, że rząd amerykański nie był w stanie na czas ocenić kosztów i dostępności rakiet, czyli wtedy, kiedy trzeba było podpisać pierwszą fazę programu. Podział Wisły na dwa etapy miał nam zapewnić jak najszybsze osiągnięcie zdol-

ności operacyjnych. To był priorytet. Dlatego wyrażono zgodę, żeby najpierw dostarczyć sprzęt, który nie jest docelowy, ale zapewni wstępną gotowość operacyjną w 2023 roku, a nie pięć czy siedem lat później.

A nie lepiej byłoby kupić system Patriot, tak jak zrobili to Rumuni, czyli bez IBCS?

Michał Marciniak: Zakup systemu w konfiguracji rumuńskiej czy szwedzkiej dla naszych sił obrony powietrznej oczywiście oznaczałby skok technologiczny. Nie o taki jednak sprzęt nam chodzi. Rumuni czy inni użytkownicy patriotów za kilka lat staną przed dylematem modernizacji tego sprzętu. Po co mamy płacić za to samo uzbrojenie dwa razy?

Jesteśmy jednak przygotowani na to, że IBCS nie będzie gotowy?

Michał Marciniak: Amerykanie pracują nad tym systemem dla swoich ponad 50 baterii, więc proszę mi wierzyć, że w USA ten program ma bardzo wysoki priorytet. Jesteśmy na bieżąco informowani przez tamtejszy rząd o przebiegu prac, bierzemy udział w pokazach czy testach. Nie widzę zatem zagrożenia.

Czy Raytheon ma rozwiązanie alternatywne wobec IBCS i w razie kłopotów może je dostarczyć?

John Baird: Nie chcę wchodzić w dyskusję, czy IBCS jest najlepszym rozwiązaniem. Raytheon po prostu zobowiązał się do tego, że system Patriot będzie działał w konfiguracji z IBCS lub bez niego.

Pytaliśmy, czy macie własne rozwiązanie tożsame z IBCS.

John Baird: My zawsze pracujemy nad alternatywnymi rozwiązaniami. Tylko tyle mogę powiedzieć.

Jaki będzie udział PGZ w tworzeniu i produkcji IBCS?

Jakub Skiba: To są szczegóły, o których nikt nie potrafi nic powiedzieć, bo dopiero negocjujemy umowę z Northropem Grummanem.

Jakie są szanse na to, by polskie firmy współtworzyły IBCS? Może jednak trzeba było samemu spróbować opracować system dowodzenia, a nie kupować gotowy produkt...

Henryk Kruszyński: Według mnie polskie firmy mają odpowiednie kompetencje do stworzenia systemów dowodzenia. Dowodem na to są chociażby produkty mojej firmy stosowane w polskich siłach zbrojnych. Znakomicie się one sprawdzają, gdy trzeba współpracować z innymi,



WIZYTÓWKA

DR JAKUB SKIBA

Jest prezesem zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

WIZYTÓWKA

MAREK BOREJKO

Jest dyrektorem Biura Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwrakietowej w PGZ, konstruktorem, od ponad 35-lat pracującym w polskim przemyśle obronnym.

zagranicznymi systemami, np. z amerykańskim CPOF [Command Post of the Future]. Tworzymy także urządzenia teleinformatyczne, niezbędne w systemie dowodzenia takim jak IBCS, czego dowodem jest chociażby produkcja na potrzeby firmy Raytheon. O wysokiej ocenie naszych kompetencji przez amerykańskiego partnera świadczą też dwie nagrody przyznane w tym roku spółce Tel-dat, która została laureatem tych dorocznych wyróżnień dla najlepszych dostawców koncernu Raytheon.

Niektórzy twierdzą, że za mało wynegocjowaliśmy w ramach offsetu...

Michał Marciniak: A jaka musiałaby paść kwota, żeby można ją było uznać za wystarczającą? Trzy miliardy? Wycena know-how jest bardzo trudna.

Jacek Najs: Jako Polska odeszliśmy od ekonomicznego charakteru ustawy offsetowej i nie ma sensu patrzeć na umowy pod kątem ich wartości, bo to jest kwestia wtórna. Musimy się przyzwyczajać, że interesują nas zdolności przemysłowe, transfer technologii do polskiej zbrojeniówki, aby w przyszłości mogła ona zaspokoić potrzeby sił zbrojnych. Można zadać pytanie: czy gdybyśmy zastosowali już nieobowiązujące mnożniki ze starej ustawy offsetowej i pomnożyli dzisiejszą wartość umów

offsetowych razy pięć, to byłoby wystarczająco? Nie o to teraz w offsecie chodzi.

Jakub Skiba: W ramach offsetu otrzymamy kompetencje, które później wykorzystamy do realizacji innych zamówień dla MON-u. Szacujemy, że jeśli chodzi o Wisłę, to możemy uzyskać około miliarda złotych. Biznesowo jest to oczywiście istotne, ale program Narew może nam przynieść 20 mld zł. Ważną kwestią jest też włączenie się do sieci dostawczej wielkich firm amerykańskich. I tutaj też mam apetyt na zdobycie zamówień na takie produkty, jak wyrzutnie M903, elementy do rakiet PAC-3 MSE, co jest bardzo istotne, jeżeli chodzi o budowę krajowych kompetencji w dziedzinie technologii rakietowej. Na horyzoncie pojawia się też łączność do systemu IBCS.

W jakim stopniu Wisła będzie polska?

Michał Marciniak: Filozofia jest taka, żeby od Stanów Zjednoczonych pozyskać te elementy, które musimy, albo te, które są w tzw. kill chain, czyli odpowiadają za gotowość operacyjną systemu. To z naszej strony pozwoliło na redukcję kosztów umowy FMS [Foreign Military Sales].

Jakub Skiba: Jeśli chodzi o pierwszą fazę, to obok 45 programów offsetowych najistotniejsze jest wprowadzenie



dzienie do systemu Patriot podwozi 8x8 z Jelcza. Mamy oprócz tego produkować moduł transmisji danych i jest kilka spółek zaawansowanych w tej kategorii produktów – CTM, WZŁ 1, WZU, WZE. Również te zakłady zostaną zaangażowane w tworzenie elementów systemu łączności i podsystemu dowodzenia. Dochodzimy tutaj do PIT-Radwaru oraz radarów – wczesnego ostrzegania P-18PL, a także pasywnych PCL PET. To jest absolutnie awangardowa technika, która może stać się specjalnością polskiej produkcji zbrojeniowej i ogromnym atutem eksportowym.

Polskie radary będą zatem wskazywały cele patriotom?

Michał Marciniak: Polskie radary będą używane w systemie Patriot IBCS. PGZ w ramach umowy offsetowej ma pozyskać budowę tzw. a-kitów, czyli – mówiąc w dużym uproszczeniu – pewnego rodzaju wtyczek radarów do IBCS.

Ile będą kosztować niezbędne inwestycje, aby spółki PGZ mogły wykorzystać technologie uzyskane w ramach offsetu?

Jakub Skiba: Liczymy, że około 300 mln zł. To dla nas poważna kwota.

W których spółkach PGZ planowane są inwestycje związane z offsetem?

Marek Borejko: Na potrzeby Wisły trzeba będzie zbudować i wyposażać nowe hale produkcyjne. Moce produkcyjne muszą zwiększyć Jelcz i PIT-Radwar. Kolejną zaangażowaną w te inwestycje spółką jest Mesko – ma absorbować technologie raketowe. Aby obniżyć koszty inwestycji, rozszerzyliśmy liczbę firm należących do konsorcjum z dziesięciu do czternastu.

W których spółkach zwiększy się zatrudnienie?

Marek Borejko: Na pewno w Jelczu, a w drugiej fazie programu – w Mesku. W Grudziądzu powstanie hub logistyczny i tam będzie produkowany samochód transportowo-załadowniczy na podwoziu dostarczonym przez Jelcza.

Trzeba będzie jednak spełnić wiele warunków, aby współpracować z Amerykanami przy offsecie. Teldat dobrze o tym wie.

Henryk Kruszyński: Uzyskanie zdolności do kooperacji z Amerykanami jest czasochłonne i wymaga dużego zaangażowania ze strony firmy. Historia naszej współpracy z Raytheonem sięga 2012 roku. W ciągu trzech lat zostaliśmy poddani serii audytów. Produkowane przez nas urządzenia wielokrotnie przebadano zarówno w kraju, jak i w laboratoriach amerykańskich. Nasi dostawcy również



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI (2)

WIZYTÓWKA

DR INŻ. HENRYK KRUSZYŃSKI

Jest prezesem zarządu spółki Teldat, zajmującej się projektowaniem i produkcją systemów teleinformatycznych.

musieli certyfikować pewne procesy pod kątem tamtejszych norm.

Czy zdaniem Raytheona PGZ ma świadomość, jak trudne czeka ją zadanie?

John Baird: Sądzę, że zdaje sobie sprawę z tego, że będzie to bolesne dla obu stron. Jest bardzo wiele standardów i protokołów, które my wdrożyliśmy u siebie w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Gdy zaczynamy współpracować z partnerem działającym według innych wytycznych, musimy przyrzeć się temu, co funkcjonuje u obu stron.

Zgodnie z umową offsetową PGZ ma produkować wyrzutnie do systemu Patriot. Czy teraz one powstają poza Stanami Zjednoczonymi?



WIZYTÓWKA

JOHN BAIRD

Jest wiceprezesem ds. zintegrowanych systemów obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej na Polskę w spółce Raytheon Integrated Defense Systems.

John Baird: Jest jeden producent, ale wycofujemy się ze współpracy z nim. Większość tych zdolności wytwórczych będzie przenoszona do Polski.

Jakie inne elementy systemu mogą być produkowane przez PGZ nie tylko dla Polski, ale też na eksport?

John Baird: Myślę, że w pierwszej fazie – pojazdy transportowe i usługi serwisowe, a w drugiej – radar dookólny i pociski SkyCeptor oraz elementy związane z łącznością.

Sporo wyzwań przed PGZ. Czy grupa im podoła?

Hubert Królikowski: Wcześniejsze doświadczenia ze spółkami, które wchodzi w skład PGZ, były różne. Niektóre podmioty nie były w stanie wywiązać się z podpisanych

kontraktów i podjętych zobowiązań. Inne, wręcz przeciwnie – wywiązywały się i efekty są widoczne do dziś. Takim pozytywnym przykładem jest spółka Nitrochem.

Henryk Kruszyński: Jako przedstawiciel sektora prywatnego chciałbym zwrócić uwagę na to, że nie uczestniczy on w offsecie. Tymczasem Teldat i wiele innych spółek są na liście przedsiębiorstw o szczególnym znaczeniu gospodarczo-obronnym, realizują program mobilizacji gospodarki. Dobrze byłoby, aby uwzględniano je też przy offsecie. Zdrowa konkurencja byłaby korzystna dla polskiego przemysłu zbrojeniowego.

Czy firmy prywatne nie mogą brać udziału w offsecie?

Michał Marciniak: Nie ma formalnego zakazu. Gdy tworzone założenia offsetowe, podjęto decyzję, że głównym integratorem programu Wisła będzie PGZ, dlatego że pod względem finansowym ta grupa jest pod kontrolą Skarbu Państwa. Daje to gwarancje, że te podmioty nie zostaną zbyte bez wiedzy i udziału polskiego państwa. Wskazaliśmy PGZ, ale zostawiliśmy jej wolną rękę w doborze partnerów. Niemniej jednak problemem pozostaje kwestia własności.

Henryk Kruszyński: Raytheon jest firmą prywatną, ale rząd Stanów Zjednoczonych nie obawia się o zabezpieczenie swoich interesów.

Jakie są nasze priorytety w negocjacjach offsetowych w drugiej fazie programu Wisła? Pocisk niskokosztowy?

Michał Marciniak: Tego oczywiście nie mogę zdradzić. Naszym zadaniem jest zawarcie umowy lub umów, które będą miały wpływ na spełnienie wymagań operacyjnych dla zestawu Wisła.

Hubert Królikowski: Druga faza to olbrzymie wyzwanie. Z mojego punktu widzenia w tych negocjacjach trzeba spojrzeć nie tylko na PGZ, lecz także na firmy prywatne, w których tkwi duży potencjał.

Henryk Kruszyński: Chciałbym, aby PGZ widziała w przyszłości takie firmy jak nasza. Nie trzeba wyważać otwartych drzwi, co będzie korzystne dla obu stron.

Jakub Skiba: Naszymi celami są maksymalna absorpcja nowych technologii i korzyści finansowe. Wiadomo, że wartość offsetu w drugiej fazie ma sięgnąć 3 mld dolarów. Głównymi transferowanymi technologiami będą radar dookólny i pocisk niskokosztowy. Bardzo zależy nam na tym, by nasz głos był brany pod uwagę podczas negocjacji offsetowych. Chodzi o to, by znaleźć jak najlepszego partnera do produkcji pocisku. Nie ukrywam, że pewną słabością PGZ jest strona finansowa. Dlatego niezbędne jest dofinansowanie inwestycji związanych z offsetem. ■

Rozmawiali: KRZYSZTOF WILEWSKI i TADEUSZ WRÓBEL.



INSTYTUT TECHNICZNY WOJSK LOTNICZYCH

ul. Księcia Bolesława 6, 01-494 Warszawa, skr. poczt. 96

tel.: 261 851 300; faks: 261 851 313

www.itwl.pl

e-mail: poczta@itwl.pl

ZINTEGROWANY SYSTEM INFORMATYCZNY WSPIERAJĄCY ZARZĄDZANIE LOTNICTWEM SIŁ ZBROJNYCH RP



Analiza i ocena stanu bezpieczeństwa lotów

Ocena efektywności szkolenia lotniczego

Zarządzanie ryzykiem w lotnictwie

Monitorowanie działalności profilaktycznej



SI TURAWA umożliwia zintegrowane zarządzanie systemem bezpieczeństwa lotów



LINIA MONTAŻOWA

samolotu F-35
w jednej z fabryk
Lockheeda Martina
w USA.

TADEUSZ WRÓBEL

Ameryka stawia na swoje

Prezydent Donald Trump zaakceptował sposób implementowania przez Departament Stanu planu jego administracji, którego celem jest zwiększenie eksportu amerykańskiego uzbrojenia.

Od lat Stany Zjednoczone pozostają niekwestionowanym liderem, gdy chodzi o eksport uzbrojenia i sprzętu wojskowego oraz usług związanych ze sferą obronności. W lipcu dyrektor zajmującej się współpracą zagraniczną w tym obszarze Defense Security Cooperation Agency gen. por. Charles Hooper poinformował, że w pierwszej połowie roku budżetowego 2018 w ramach programu „Foreign Military Sales” sprzedano broń o wartości 46,9 mld dolarów, niemal tyle samo, ile w rekordowym 2015 roku. Z kolei 2017 rok zamknięto z kwotą 41,9 mld dolarów. W wywiadzie dla serwisu Defense News generał stwierdził, że na tak wielki wzrost eksportu miały wpływ działania Białego Domu na rzecz ułatwienia sprzedaży broni partnerom i sojusznikom Stanów Zjednoczonych. 19 kwietnia 2018 roku prezydent Donald Trump podpisał memorandum, które określa nową politykę transferu uzbrojenia konwencjonalnego, żeby wesprzeć interesy gospodarcze i bezpieczeństwa narodowego kraju, ale zgodnie z ustawą o kontroli eksportu broni z 1976 roku. Zwiększenie eksportu ma jeszcze bardziej wzmocnić amerykański przemysł zbrojeniowy, który i tak ma się bardzo dobrze.

PREZYDENCKIE MEMORANDUM

Zgodnie z memorandum prezydenta głównym celem nowej polityki dotyczącej sprzedaży za granicę broni konwencjonalnej jest dążenie do utrzymania przewagi techno-

logicznej USA nad potencjalnymi wrogami. Innym ważnym celem, który ma być osiągnięty dzięki zwiększeniu eksportu, jest wzrost produkcji i utworzenie nowych miejsc pracy. Już obecnie w amerykańskim sektorze lotniczo-obronnym zatrudnienie znalazło około 2,8 mln osób. Zwiększenie produkcji ma się przełożyć na niższe koszty jednostkowe sprzętu dla sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych oraz ich sojuszników i partnerów. Amerykanie zamierzają poprawić opcje finansowania zakupów i zwiększyć elastyczność podpisywanych umów.

Środki z eksportu będą kierowane na wsparcie zaawansowanych badań i rozwoju technologii na potrzeby militarne. Sprzedaż broni za granicę ma też wzmacniać relacje między Stanami Zjednoczonymi a innymi państwami, których celem jest zwiększenie globalnych wpływów Ameryki. Z drugiej strony, wpłynie na zdolności jej partnerów i sojuszników do przeciwstawienia się zewnętrznym naciskom, do zwalczania terroryzmu, a także na te niezbędne do realizacji wspólnych celów bezpieczeństwa, czyli na interoperacyjność. Nie od dziś wiadomo, że sprzedaż broni wzmacnia wpływy polityczne dostawcy. „Wyścig, w którym bierzemy udział, to wyścig o globalne wpływy”, stwierdził Dak Hardwick, asystent wiceprezesa ds. międzynarodowych w Aerospace Industries Association.

Dlatego w memorandum wezwano sekretarza stanu do współpracy z szefami departamentów Obrony, Energetyki i Handlu, aby wspólnie opracowali i przedłożyli Białemu



Domowi proponowany plan działania na rzecz wdrożenia polityki. Musiałby on uwzględnić krótko- i długoterminowe środki, które rząd USA powinien przeznaczyć na wspieranie sprzedaży broni za granicę w celu zaspokojenia potrzeb bezpieczeństwa narodowego, oraz określić niezbędne zasoby finansowe i kadrowe. Oczywiście w memorandum znalazło się zalecenie, aby dążyć do osiągnięcia tych celów przy jak najmniejszych nakładach finansowych.

Ułatwienia w eksporcie broni nie oznaczają rezygnacji z jakiegokolwiek kontroli. Decyzje o sprzedaży lub przekazywaniu broni będą musiały być zgodne z obowiązującymi w USA przepisami odnoszącymi się do kontroli jej wywozu. Transakcje nie będą mogły też naruszać międzynarodowych zobowiązań Stanów Zjednoczonych, w tym dotyczących ograniczeń eksportu niektórych kategorii uzbrojenia. W memorandum wymieniono m.in. system kontroli transferu technologii raketowych (Missile Technology Control Regime) oraz porozumienie z Wassenaar w sprawie kontroli eksportu broni konwencjonalnej oraz towarów i technologii podwójnego zastosowania. Nadal szansa na zakup amerykańskiej broni nie będą miały państwa, których działania na arenie międzynarodowej wzbudzają obawy.

EKSPORT JAKO DODATEK

Sektor lotniczo-obronny wytworzył w ubiegłym roku około 2% produktu krajowego brutto USA, czyli 865 mld dolarów. W amerykańskiej gospodarce dział ten zajmuje drugie miejsce, gdy chodzi o eksport, i ma ogromny wpływ na bilans handlowy kraju. Na przygotowanej przez serwis Defense News liście stu największych firm – pod uwagę brano przychody osiągnięte w 2017 roku – znalazło się 40 przedsiębiorstw z USA, w tym pięć w pierwszej dziesiątce: Lockheed Martin, Raytheon Company, Northrop Grumman, Boeing i General Dynamics. Na amerykańskie firmy przypadło 59%, przychodów z ogólnej kwoty 375,4 mld dolarów zarobionej przez koncerny wymienione na liście.

Jednak największe amerykańskie zakłady zbrojeniowe gros dochodów, tj. 70%, uzyskują z rynku krajowego. Ten stan rzeczy może być dla nich niekorzystny ze względu na rosnący deficyt budżetu USA. Sytuacja ta może w pewnym momencie zmusić polityków w Waszyngtonie do obniżenia nakładów na obronę. Tym samym w Pentagonie będzie mniej środków finansowych na zakupy nowego uzbrojenia i sprzętu wojskowego czy też modernizację już posiadanego.

Trzeba pamiętać, że w odróżnieniu od głównych rywali, Rosji i Chin, których przemysł zbrojeniowy jest państwowym, w USA są to firmy prywatne, działające na zasadach rynkowych. Oznacza to, że ich szefowie są rozliczani przez zarządy korporacji, akcjonariuszy lub inwestorów.



SEKTOR LOTNICZO-OBRONNY

WYTWORZYŁ W UBIEGLYM ROKU OKOŁO 2% PRODUKTU KRAJOWEGO BRUTTO USA

Brak zysków może doprowadzić do likwidacji zakładu, bo mało prawdopodobna jest pomoc państwa. Firmy zbrojeniowe mają świadomość tego zagrożenia i dlatego podejmują działania na rzecz zwiększenia eksportu. Duża część z nich będzie zadowolona, jeśli w ciągu pięciu lat osiągnie wzrost o 5–30%, ale są też takie, które chciałyby uzyskać ponad 50-procentowy przyrost sprzedaży za granicę. To byłoby trudne bez reformy obowiązujących procedur dotyczących sprzedaży broni za granicę. Przedstawiciele amerykańskiej zbrojeniówki narzekają, że są one bardzo przewlekłe i zbiurokratyzowane. Odpowiedzialne za wydawanie zgód eksportowych komórki podlegają trzem departamentom: Stanu, Obrony i Handlu. W mediach po-



USAF / ALEXANDER W. RIEDEL



DAK HARDWICK,
asystent
wiceprezesa ds.
międzynarodowych
w Aerospace Industries
Association:
„Wyścig, w którym
bierzemy udział,
to wyścig o global-
ne wpływy”.

jawili się informacje, że brakuje w nich urzędników, oraz sugestie, że cała struktura jest źle zorganizowana.

BIZNES LUBI SPOKÓJ

Kolejne obawy są związane z konfliktami handlowymi wywołanymi przez Donalda Trumpa, w tym ze starymi sojusznikami Stanów Zjednoczonych. Keith Webster w artykule „It's time to update US defense export policies” zamieszczonym w serwisie Defense News podał, że przyczyniają się one do co najmniej 40-procentowego wzrostu cen surowców używanych przez firmy zbrojeniowe. To oczywiście zwiększa z kolei koszty produkcji, a zatem wyższe są ceny gotowych wyrobów. Konsekwencją może być spadek konkurencyjności amerykańskiego uzbrojenia na światowym rynku. Oczywiście pojawiają się też opinie, że materiały stanowią niewielką część kosztów, nie ma więc powodów do obaw. Należy się natomiast obawiać – jak spekulują media – tego, że będąc w sporze handlowym z USA, niektórzy z partnerów lub so-

juszników mogą w rewanżu ograniczyć zakupy amerykańskiej broni lub całkowicie z nich zrezygnować.

Oferta amerykańska zyskałaby na atrakcyjności, gdyby znieść ograniczenia w udostępnianiu niektórych systemów uzbrojenia. Jednym z przykładów są duże bezzałogowe statki powietrzne. Objęte są one Systemem Kontroli Technologii Raketowych (Missile Technology Control Regime – MTCR), do którego przynależność jest dobrowolna. Drony podzielono w nim na dwie kategorie, według tych samych kryteriów co systemy raketowe. Do pierwszej, która podlega MTCR, zaliczają się te, które mogą przenieść 500 kg ładunku na odległość 300 km lub większą, do drugiej zaś drony, które nie spełniają wymienionych wymogów. Z produkowanych w USA do pierwszej kategorii należą MQ-9 Reaper, RQ-4 Global Hawk i MQ-4 Triton. Amerykanie sprzedali je dotychczas tylko części najbliższych sojuszników. Według raportu przygotowanego przez ośrodek badawczy RAND, ograniczenie narzucone przez MTCR może przynieść USA więcej strat niż korzyści. Kilku innych producentów dużych dronów, m.in. Chiny, nie przystąpiło do wspomnianego systemu kontroli. Odmowa sprzedaży amerykańskich produktów spowodowała, że na zdominowane dotychczas przez USA rynki bliskowschodnie weszli oni ze swymi bezzałogowcami. Ponoć niektórzy przedstawiciele administracji Trumpa chcieli rozluźnić restrykcyjne przepisy, wprowadzając trzecie kryterium klasyfikacji bezzałogowców, czyli prędkości. Zaproponowano, żeby wszystkie duże drony o prędkości do 650 km/h zaliczyć do kategorii drugiej, wówczas nie musiałyby podlegać ograniczeniom MTCR. W prezydenckim memorandum znalazło się zalecenie, aby resorty obrony, stanu, handlu i energii opracowały program, który dostosowałby politykę eksportu bezzałogowych systemów powietrznych do interesów gospodarczych i bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych.

Wpływ na wielkość eksportu amerykańskiej broni będzie miała też sytuacja w dziedzinie bezpieczeństwa międzynarodowego. Jeśli będą narastały konflikty, to oczywiste jest, że wiele państw zwiększy wydatki na obronę. Część z tych funduszy zostanie przeznaczona na zakup systemów uzbrojenia, których nie są w stanie dostarczyć im rodzimi producenci. ■

MACIEJ NOWAK-KREYER

Jak pokazuje historia, mimo ograniczonych środków potrafiliśmy tworzyć konstrukcje dorównujące projektom zaawansowanych technicznie i bogatszych państw, a czasem nawet je wyprzedzające.

BIEG

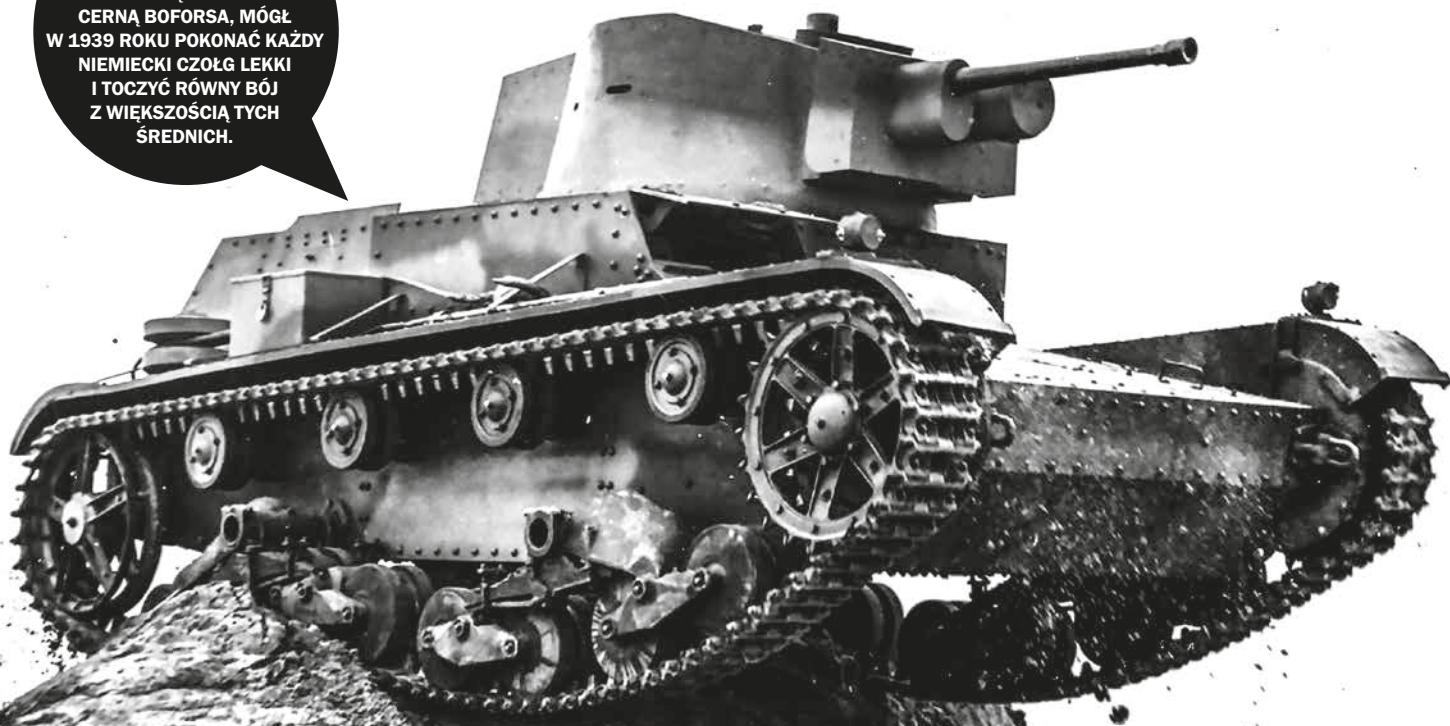
do nowoczesności



CZOŁG LEKKI 7TP, DZIEŁO INŻYNIERÓW Z URSUSA, UZBROJONY W ARMATĘ PRZECIWPANCERNĄ BOFORS, MÓGŁ W 1939 ROKU POKONAĆ KAŻDY NIEMIECKI CZOŁG LEKKI I TOCZYĆ RÓWNY BÓJ Z WIĘKSZOŚCIĄ TYCH ŚREDNICH.

Druga połowa lat trzydziestych ubiegłego stulecia była w Polsce okresem wzmożonej militaryzacji. Gospodarcze udało się złapać głębszy oddech po wielkim kryzysie, gorączkowo przystąpiono do nadrabiania strat, jakie gospodarcza zapaść przyniosła obronności państwa. Były one ogromne, bo na lata borykania się z niestabilną sytuacją ekonomiczną przypadł

jednocześnie przełom technologiczny w produkcji uzbrojenia w Niemczech i Związku Sowieckim. Nowej wojny z Sowietami spodziewano się już od zakończenia poprzedniej, ale militarne odrodzenie się zachodnich sąsiadów stanowiło pewne zaskoczenie. Wbrew wcześniejszym rachubom stało się całkiem realne, że to właśnie oni uderzą pierwsi. A Niemcy słynęli z doskonałej techniki wojskowej.





Polskie samoloty PZL-37 Łoś, PZL-38 Wilk i PZL-46 Sum na XVI Salonie Lotniczym w Paryżu w 1938 roku

Przed inżynierami pracującymi dla polskiego przemysłu zbrojeniowego stało wielkie wyzwanie. Mając do dyspozycji bardzo skromne środki, dwóili się i troili, aby niemal dosłownie tworzyć coś z niczego.

POSTRACH CZOŁGÓW

Wojskowi decydenci, świadomi gwałtownego rozwoju sił pancernych naszych agresywnych sąsiadów, zdawali sobie sprawę, że w warunkach kryzysu gospodarczego nie wyprodukujemy równoważnej liczby czołgów. Postanowili zatem zainwestować w jak najsukursniejszą broń obrony przeciwpancernej. Armię nie tylko wyposażono w doskonałe armaty Boforsa, lecz także postanowiono zrobić krok dalej i dać żołnierzom broń poręczniejszą, tańszą i równie skuteczną, czyli karabin przeciwpancerny wz. 35, znany także jako Ur.

Na świecie już od jakiegoś czasu powstawały tego typu konstrukcje, na przykład brytyjski karabin przeciwpancerny Boys, ale ich zasada działania opierała się na dużej masie pocisku, co powodowało wiele komplikacji konstrukcyjnych i eksploatacyjnych. Twórcy ura, na czele z warszawskim inżynierem Józefem Maroszkim, uznali, że można go zmodyfikować, zwiększając nie masę pocisku, lecz siłę ładunku miotającego. W połączeniu z długą lufą karabinu dawało to ogromną prędkość wylotową. Gdy pocisk trafił w pancerz nieprzyjacielskiego pojazdu, rozlatywał się na drobne

cząstki, ale oddana przez niego energia wybiła w pancerzu korek, który raził załogę. Innymi słowy, to co miało chronić czołgistów przed pociskami, stawało się pociskiem. Mimo wielu wad, takich jak mały zasięg czy ryzyko, że maszyna mimo rażenia załogi będzie sama jechać dalej, poręczne ury świetnie spisały się we wrześniu 1939 roku. Zdobyte przez Rosjan egzemplarze stanowiły również podstawę do prac nad rusznicą przeciwpancerną PTRD.

SIŁA PISTOLETU

Bołączką międzywojennego Wojska Polskiego była wielka różnorodność pistoletów, szczególnie tych, którymi dysponowali oficerowie, co wynikało m.in. z tego, że z reguły zaopatrywali się oni prywatnie. Na to jeszcze nakładał się konflikt między osobami odpowiedzialnymi za uzbrojenie – zwoleńnikami rewolwerów i pistoletów. Ostatecznie zwyciężyli ci drudzy – już wielka wojna pokazała, że podczas nowoczesnego konfliktu pistolet zdecydowanie góruje nad rewolwerem. Zwarta budowa zapobiega zabrudzeniom, łatwiej go zabezpieczyć, szybciej się z niego strzela, a pudełkowy magazynek zwiększa zapas amunicji i ułatwia jej uzupełnianie.

**INŻYNIER
JÓZEF MAROSZEK
Z POLITECHNIKI
WARSZAWSKIEJ BYŁ
AUTOREM M.IN. KONSTRUKCJI
KARABINU SAMOPOWTAŹAL-
NEGO WZ. 38M ORAZ
RUSZNICY PRZECIWPAN-
CERNEJ WZ. 35
(NA ZDJĘCIU).**



Większość broni ręcznej używanej przez polskich oficerów stanowiły niewielkie, eleganckie pistoleciki, bardziej przydatne do obrony własnej niż na polu walki. Brakowało im mocy obalającej, były zawodne i niełatwe w konserwacji – w przeciwieństwie do standaryzowanej broni niemieckiej, takiej jak chociażby pistolet Parabellum. Ponadto pojawiła się potrzeba opracowania pistoletu wydawanego zwykłym żołnierzom (m.in. pancerniakom), dla których broń długa była niepraktyczna, a także zmobilizowanym oficerom rezerwy.

Od drugiej połowy lat dwudziestych ubiegłego wieku nad takim projektem pracowali dwaj polscy inżynierowie Piotr Wilniewicz i Jan Skrzypiński. Opracowali broń wzorowaną na amerykańskim colcie M1911, ale na tyle różniącą się ważnymi szczegółami, że można ją uznać za niezależne dzieło. Jednym z wielu nowatorskich rozwiązań zastosowanych w pistolecie wz. 35 (od nazwisk konstruktorów nazwanym visem) była możliwość bezpiecznego zwolnienia kurka przy załadowanej broni. Co jednak najważniejsze, doskonale nadawał się na pole walki. Vis to świetnie wyważona broń, dzięki temu niezwykle celna, nawet podczas strzelania z jednej ręki, a wiele przemysłowych zabezpieczeń sprawia, że bardzo trudno o przypadkowy wystrzał, nawet w stresujących warunkach pola walki.

Konstrukcja okazała się tak udana, że jej produkcję na własne potrzeby kontynuowali niemieccy okupanci, jako Pistole 35 (p). Opracowywana równolegle sowiecka broń TT, chociaż również wzorowana na pistolecie Colt M1911, strzelała pociskami mniejszego kalibru, miała zatem mniejszą moc obalającą, była gorzej wyważona i niecelna, a ze względu na zastosowanie tylko jednego bezpiecznika, groźna dla używającego jej żołnierza.

PANCERNA PIĘŚĆ

Wbrew utartej opinii mieliśmy przed wojną własne czołgi, w dodatku bardzo nowoczesne. Czołg lekki 7TP (siedmiotonowy polski), dzieło inżynierów z Ursusa, podobnie jak vis stanowił rozwinięcie istniejącej konstrukcji, czyli brytyjskiego czołgu lekkiego Vickers E. Przede wszystkim w maszynie zamontowano dieslowski silnik wysokoprężny, odporny na zapalenie się, czyniąc 7TP jedną z pierwszych tego typu konstrukcji na świecie. Całkowicie nowatorskim elementem wyposażenia był peryskop czołgowy konstrukcji Rudolfa Gundlacha, dzięki specjalnemu układowi luster pozwalający na obserwację w promieniu 360 stopni bez obracania głowy. Co ciekawe, konstrukcję tę skopiowali Rosjanie, po czym określną drogą, przez ludowe Wojsko Polskie, wróciła ona do naszych sił zbrojnych i jest używana do dziś.

Uzbrojony w armatę przeciwpancerną Boforsa mógł 7TP w 1939 roku pokonać każdy niemiecki czołg lekki i toczyć równy bój z większością tych średnich. Stanowił zatem zagrożenie dla maszyn, którymi dysponowały wówczas niemieckie siły pancerne. Był także lepszy od sowieckich T-26, stanowiących do 1941 roku podstawowe wyposażenie wojsk pancernych ZSRR. Jak pokazały boje w 1939 roku, m.in. pod Piotrkowem Trybunalskim i Tomaszowem Lubelskim, głównymi wadami tych czołgów były ich niewielka liczba i słabsze opancerzenie niż wozów niemieckich.

BEZBRONNY BOMBOWIEC

Bombowcy PZL-37 Łoś to legendarny samolot polskiego Września, duma rodzimej techniki, stworzony całkowicie przez naszych inżynierów, przy wielkim nakładzie pracy, środków... i niestety to wszystko prawdopodobnie niepotrzebnie. Naciski dowódcy lotnictwa gen. bryg. Ludomiła Rayskiego, doświadczonego pilota bombowego, doprowadziły do zbudowania nowoczesnego bombowca, maszyny najbardziej użytecznej w wojnie ofensywnej lub w sytuacji, gdy ma się przewagę w powietrzu. Tymczasem można było się raczej spodziewać obrony przed Niemcami, dysponującymi nowoczesnym i licznym lotnictwem. Naszym siłom potrzebne były przede wszystkim nowoczesne myśliwce, szybkie i zwrotne maszyny zdolne bronić miast oraz ważnych obiektów przed nieprzyjacielskimi nalotami.

Łoś był bardzo zwrotny, bez bomb zdolny nawet do wykonywania akrobacji, ale jednocześnie bardzo słabo uzbrojony (tylko trzy karabiny maszynowe, podczas gdy na przykład niemiecki heinkel he 111 miał ich sześć i jedno działko). Gdy brakowało eskorty myśliwskiej, stawał się właściwie bezbronny. Niebezpieczna okazała się także konstrukcja zbiorników paliwa – w razie trafienia samolot szybko stawał w płomieniach.

W 1939 roku nielicznych maszyn tego typu użyto do bombardowania kolumn niemieckich, a także do rajdu bombowego na węzeł kolejowy w okolicy Opola, ale kosztem bardzo dużych strat własnych.

LEGENDARNE EFEMERYDY

Doświadczenia I wojny światowej sprawiły, że na całym świecie doceniono broń automatyczną, która przy zaangażowaniu mniejszej liczby żołnierzy pozwalała zadawać wielkie straty nieprzyjacielowi. Sprawdzała się także doskonale w działaniach wymagających szybkiego pokrycia ogniem konkretnego obszaru. Broń automatyczna, mimo stopniowej miniaturyzacji i pojawienia się ręcznych karabinów maszynowych, a nawet maszynowych pistoletów, była dosyć nieporęczna, a jej skomplikowana budowa



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Produkty polskiej myśli technicznej w okresie międzywojennym budziły zainteresowanie wojskowych nie tylko ze Starego Kontynentu. Na zdjęciu inżynier Michał Gonczaruk (z lewej) prezentuje swój wynalazek – tłumik do broni palnej – przedstawicielom armii japońskiej. Warszawa, sierpień 1933 roku.

BRONĀ AUTOMATYCZNA BYŁA NIEPOREĆCZNA, A JEJ SKOMPLIKOWANA BUDOWA SPRAWIAŁA, ŻE OKAZYWAŁA SIĘ TEŻ ZAWODNA

sprawała, że okazywała się też zawodna. Ustawicznie ją jednak rozwijano, słusznie przewidując, że w przyszłej wojnie o zwycięstwie bardziej niż celność strzałów zdecydować ich liczba. W Niemczech, najpierw potajemnie, a potem całkiem jawnie rozwijano konstrukcję pistoletu maszynowego. W efekcie powstał MP 38, popularnie, chociaż błędnie, nazywany schmeisserem. W Związku Sowieckim prace prowadzone od lat dwudziestych ubiegłego stulecia zaowocowały pistoletem maszynowym PPD-34, który jednak nie zyskał dużego uznania.

Nic więc dziwnego, że gdy tylko pojawiła się taka możliwość, również w Wojsku Polskim przystąpiono do opracowania konstrukcji pistoletu maszynowego dla

żołnierzy. Od 1936 roku pracowali nad nim twórcy visa. Wilniewicz i Skrzypiński zbudowali pistolet maszynowy Mors wz. 39. Ta broń pod wieloma względami wyprzedzała swoją epokę, wręcz przypominała karabinki maszynowe z przełomu XX i XXI wieku. Była wyposażona w chwyt pistoletowy, umiejscowiony z przodu, dwurzędowy magazynek pudełkowy na 25 pocisków oraz teleskopową podpórkę do strzelania z pozycji leżącej. Można było prowadzić z morsa zarówno ogień pojedynczy, jak i ciągły. Produkcję tych pistoletów, przeznaczonych dla piechoty i załóg wozów bojowych, rozpoczęto dopiero w marcu 1939 roku, przez co do wojny powstało ich niewiele ponad 30, głównie przeznaczonych do dalszych testów. Wykorzystanie bojowe tej broni było znikome.

Prześcignęliśmy jednak sąsiadów w konstrukcji karabinu samopowtarzalnego, niestety znowu nie zdążyliśmy go użyć do obrony. Twórcą karabinu samopowtarzalnego Maroszk (kbsp wz. 38M), w 1938 roku przyjętego do uzbrojenia Wojska Polskiego, był wspomniany już inżynier Józef Maroszek z Politechniki Warszawskiej. Karabin skierowano jednak do dalszych prób, dlatego pomimo wyprodukowania w sumie około 150 egzemplarzy, przypuszczalnie w ogóle nie został wykorzystany bojowo.

Tymczasem niemiecki karabin samopowtarzalny Gew 41(M) produkowano dopiero od 1941 roku, zresztą szybko zaprzestano ich wytwarzania wskutek zawodności konstrukcji. Rosjanie już od lat trzydziestych ubiegłego wieku dysponowali karabinem automatycznym AWS, jednak także zawodnym i w 1939 roku dopiero pracowali nad swoimi słynnymi karabinami SWT.

CHWAŁMY SVOJE

Osiągnięcia polskiej wojskowej myśli technicznej świadczą o tym, że mimo ograniczonych środków potrafiliśmy tworzyć konstrukcje wyprzedzające projekty państw, a czasem im dorównujące. Zabrakło nam przede wszystkim czasu, aby powielić nieliczne egzemplarze świetnej broni i masowo wyposażać w nią wojsko. Tu właśnie boleśnie dał o sobie znać brak pieniędzy, bo wymuszał produkcję powolną, prowadzoną etapami. Jednak ironią dziejów jest to, że powojenne zahamowanie rozwoju polskiej technicznej myśli wojskowej, spowodowane wymuszonym wyposażaniem armii w radziecki sprzęt, pozwoliło przetrwać niektórym jej osiągnięciom pomimo zawirowań politycznych. Wracały pod postacią skradzionych przez Sowieków rozwiązań i do dziś dzień służą polskim żołnierzom. ■

ARMIA

/ NA CELOWNIKU

CHCE WYRWAĆ WOJSKO ZE STREFY KOMFORTU

*Z Rajmundem
T. Andrzejczakiem*

**o gotowości żołnierzy na zmiany, wprowadzeniu w wojsku
hasła „speed is key” oraz nowym modelu dowodzenia
rozmawiali Maciej Chilczuk i Marcin Górka.**



MICHAŁ NIWICZ



W

ostatnim czasie przedmiotem publicznej debaty stały się dokumenty, które być nim chyba nie powinny. Mamy na myśli wystąpienia medialne kilku generałów

w stanie spoczynku, którzy w ostrych słowach podważyli przygotowanie Wojska Polskiego do realizacji jego podstawowej misji, czyli obrony kraju. Mogliśmy przeczytać, że *de facto* nie istnieją dokumenty kształtujące system kierowania bezpieczeństwem państwa, że nie ma opracowanych planów rozwoju tego systemu, a Strategia Bezpieczeństwa Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej jest nieaktualna.

Ocena tego typu wystąpień nie jest rolą szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Dokumenty, o których mowa, są niejawnie i nie mogą się otwarcie wypowiadać na temat ich zawartości. Ważne jest, by rozumieć złożoność środowiska, w którym działamy. Bezrefleksyjne krytykowanie i wskazywanie, że powinno być tak czy inaczej, jest dość łatwe. Wolałbym, by energia poświęcona na udowadnianie sobie nawzajem racji została spożytkowana na naprawienie tego, co możliwe. Wszystkich, którzy mają kompetencje, by wypowiadać się o tym najwyższym szczeblu polityki bezpieczeństwa, zapraszam do rozmowy. Wojsko to robota zespołowa. Jeżeli wszystkim nam leży na sercu dobro

ojczyzny i Sił Zbrojnych RP, to działajmy wspólnie.

Wracając do istoty pytania, nie dramatyzowałbym, bezpieczeństwo kraju jest zapewnione. To już nie są czasy Moltkego [Helmuth von Moltke, XIX-wieczny pruski generał i strateg], gdy można było opracować plany i spać spokojnie, bo były aktualne przez następnych dziesięć lat. Dzisiaj sytuacja zmienia się bardzo szybko. Dlatego musimy położyć większy nacisk na zdolność adaptacyjną, żebyśmy szybko i efektywnie dostosowywali się do zmian. Procesy analizy są z natury wolniejsze niż zmiany zachodzące w otoczeniu, więc rzeczywistość zawsze będzie uciekała planistom.

Słyszemy w tych słowach echo dobrze znanego Pańskim podwładnym hasła „speed is key”, czyli „kluczem jest prędkość”.

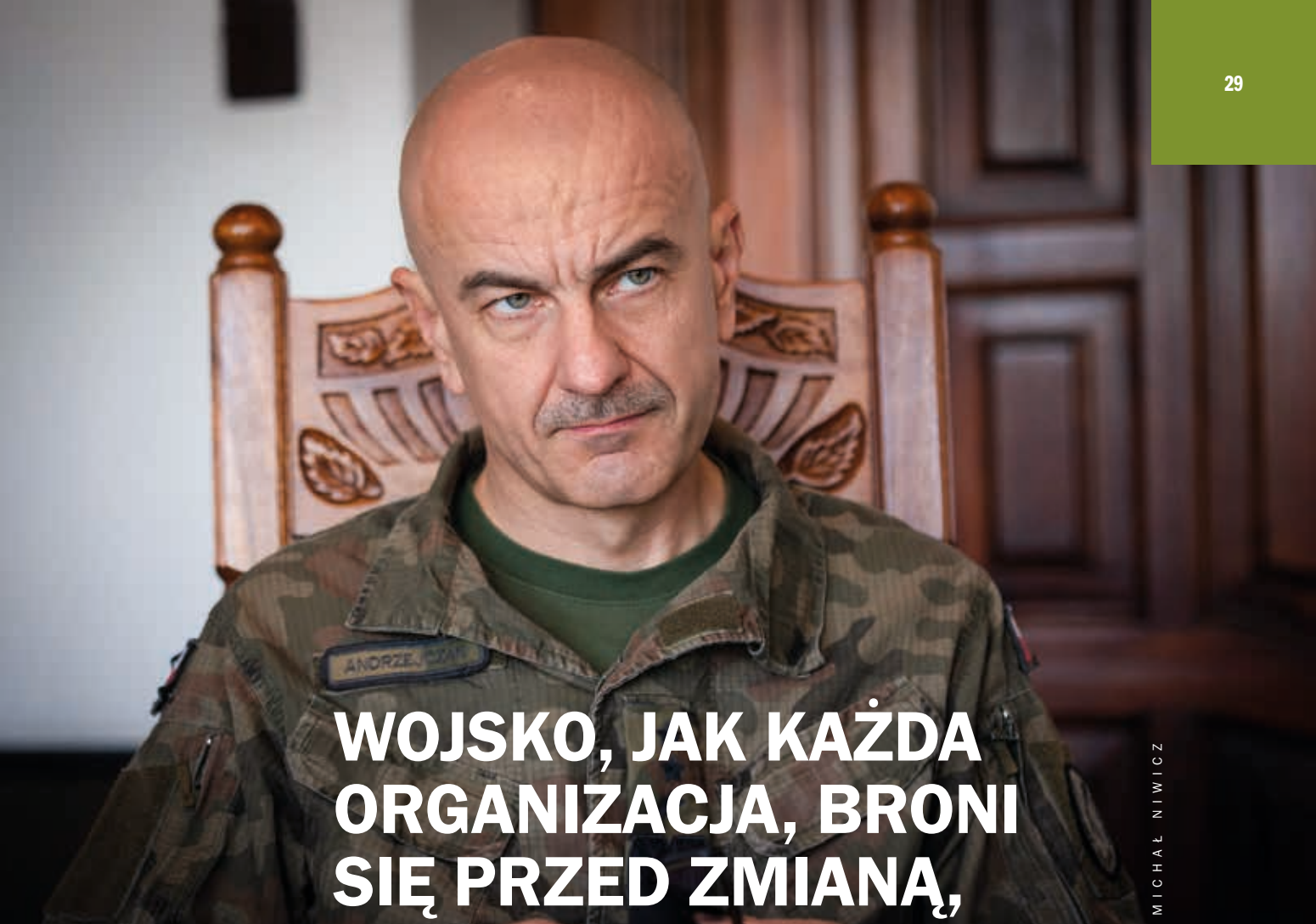
Ten termin przyjął się w 12 Dywizji Zmechanizowanej. Żołnierze rozumieli go jako zdolność do sprawnego przemieszczania się oraz rozstawienia stanowisk ogniowych i dowodzenia, wiązali z dynamiczną organizacją systemu walki i komunikacji. To się udało.

W Sztabie Generalnym także trzeba powiedzieć „speed is key”, choć to hasło jest tu rozumiane inaczej, jako szybkość adaptacji do zmieniających się warunków. Nie będę jej liczył tempem wydawania rozkazów i liczbą przeprowadzonych wideokonferencji. Myślę o synergii zasobów, by tym samym uzyskiwać więcej. To będzie również systemowe przyspieszenie pewnych procesów, które toczą się w swoim tempie.

WIZYTÓWKA

GEN. BRONI RAJMUND T. ANDRZEJCZAK

W lipcu został najmłodszym w historii III RP szefem Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Wcześniej był dowódcą m.in. 12 Dywizji Zmechanizowanej oraz 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej. To doświadczony dowódca misyjny – był szefem Oddziału Operacyjnego w Iraku i dowódcą Polskich Sił Zadaniowych IV i V zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie. ■



WOJSKO, JAK KAŻDA ORGANIZACJA, BRONI SIĘ PRZED ZMIANĄ, ALE JEST WIELU LUDZI, KTÓRZY POWIEDZIELI „WRESZCIE”

MICHAŁ NIWICZ

Takich na przykład jak modernizacja techniczna?

Musimy szybciej definiować swoje oczekiwania, dostosowywać prawo do obecnych warunków, żeby praca koncepcyjna oparta na nowoczesnych technologiach była efektywniejsza. Musimy być gotowi do zmiany, do adaptacji. To wyzwanie, bo dobrze czujemy się w strefie komfortu, robiąc to, co umiemy, co lubimy, ale nie jest to do końca pożądane przez system. Ale „speed is key” działa w Sztabie Generalnym także na innym poziomie. Wydaję polecenie, wysyłając e-mail. Liczba papierów na biurkach zmalała o połowę. To kwestia kultury organizacyjnej. Kilka e-maili, kilka telefonów, rozmów i można wiele spraw przyspieszyć. Pracuję nad zmianą kultury komunikacyjnej, to szerszy problem mentalny, systemowy, nie tylko administracyjny czy techniczny.

Gdzie zatem są wąskie gardła procesu modernizacji i jak „speed is key” może się przyczynić do jego przyspieszenia? Na efekty tego czekają żołnierze i dowódcy.

Niektóre procesy zachodzą powoli, bo są w nie zaangażowane ogromne pieniądze. I tak powinno zostać, bo skrócenie procedur, co pozwoliłoby łatwo wydawać okrągłe sumy, byłoby niebezpieczne. Widzę dwie dziedziny, nad którymi musimy popracować. Doszliśmy do takiego nasycenia wojska nowoczesnymi technologiami w niektórych obszarach, że musimy zadać sobie pytanie, co jest rzeczywiście potrzebne i racjonalne. Musimy znaleźć równowagę między rozwiązaniami technologicznie zaawansowanymi i drogimi a tymi tańszymi, ale sprawdzonymi i skutecznymi, do których potrzebny jest



szerszy dostęp. Wydaje mi się, że wpadliśmy w pułapkę analizowania potrzeb wojska przez pryzmat kontyngentów wojskowych wysyłanych na misje zagraniczne oraz presji rynku. Musimy także pamiętać, że w kulminacyjnym momencie naszego zaangażowania PKW były wielkości brygady. Aby zapewnić zarówno maksymalny poziom bezpieczeństwa żołnierzy, jak i najwyższą efektywność operacyjną, kontyngenty były bardzo nasyczone możliwie najnowocześniejszym sprzętem. Dzisiaj warto postawić pytanie, czy gdy myślimy o całym Wojsku Polskim, to taki poziom nasycenia jest możliwy, osiągalny w krótkim czasie. Potrzebny jest racjonalny balans. Zagrożenia wszak mamy tu i teraz.

Na modernizację musimy też spojrzeć w szerszym kontekście. Uważam, że wiele rodzajów uzbrojenia i sprzętu powinno być produkowane w Polsce. Nawet jeżeli oznacza to, że będziemy musieli poczekać na dostawy. Wojsko płaci, a więc żąda, i zapewniam, że będziemy nieustępliwi w naszych wymaganiach, ale jeżeli myślimy o kompleksowym bezpieczeństwie, to rozbudowa zdolności rodzimego przemysłu zbrojeniowego jest niezbędna. Musimy wypracować kompromis między tym, co jest potrzebne teraz i co musimy kupić już gotowe, a tym, co możemy i powinniśmy rozwijać w polskich przedsiębiorstwach, między tym, co najnowocześniejsze i drogie, a tym, co racjonalne, dostępne, powszechne.

Czy to oznacza, że trwa przegląd programów modernizacyjnych pod kątem priorytetów i racjonalności ich wdrożenia?

Na razie nie chcę mówić, które konkretnie typy sprzętu czy uzbrojenia mam na myśli, ale taki proces trwa nieustannie. W wielu wypadkach utknęliśmy na etapie dyskusji, a czas leci. Tak jest na przykład w marynarce wojennej czy w wojskach pancernych. Te drugie są mi szczególnie bliskie i obserwuję ten proces od dawna. Od lat czekamy na decyzje kierunkowe dotyczące ich rozwoju, a tymczasem okazało się, że czołgów, które moglibyśmy kupić, po prostu nie ma. Jesteśmy w sytuacji, gdy jedynym rozwiązaniem jest modernizacja posiadanego uzbrojenia. Musimy więc doprowadzić T-72 do standardu, który pozwoli na wykony-

wanie zadań bojowych. To wciąż dobre wozy, mamy do nich także przygotowane rezerwy, system szkolenia, wozy zabezpieczenia i wsparcia oraz logistykę.

Czy nie jest to efekt obciążenia Sztabu Generalnego zadaniami bieżącego zarządza-



POSTARAM
SIĘ, BY WSZEL-
KIE KOSZTY
I WYRZECZENIA
BYŁY KOMPEN-
SOWANE,

ALE NIE ZAPEWNIĘ
KAŻDEMU KOMFORTU.
POWIEM WIĘCEJ, NIE
JEST TO MOIM CELEM

MICHAŁ NIWICZ

nia wojskiem, z czym mieliśmy do czynienia przez wiele lat? Robota „na dzisiaj” zawsze wyprze z harmonogramu analizę strategiczną, która dotyczy przyszłości. Nie obawia się Pan, że jednym z negatywnych efektów planowanej reformy dowodzenia będzie właśnie powrót do polityki „tu i teraz”?

Analiza strategiczna musi być dojrzała, przeprowadzona na podstawie wielu źródeł, cywilnych i wojskowych, tak by jej efekty pozwoliły zrozumieć procesy zachodzące w wojsku i jego otoczeniu. Na tej podstawie można dopiero tworzyć plany i programować rozwój sił zbrojnych. I tak postrzegam zadania Sztabu Generalnego WP, także po reformie. A co do roli samego szefa sztabu, to historia pokazuje, że najbardziej efektywne okazywały się te modele dowodzenia, które zakładały skupienie wszystkich kompetencji w jednym ręku. Powrót do takiego rozwiązania w Wojsku Polskim jest wobec tego uzasadniony i potrzebny. Przestańmy więc nad tym dyskutować, bo to dawno rozstrzygnięty spór.

Dla mnie ważniejsze jest ustalenie proporcji między bieżącym zarządzaniem a planowaniem strategicznym. Zaczniemy w ogóle od zdefiniowania, co dla szefa Sztabu Generalnego oznacza bieżąca działalność. Przecież nie ocenianie każdego żołnierza na strzelnicy czy zajmowanie się dyscypliną w pododdziale. Szef SGWP jest kreatorem procesów, zajmuje się planowaniem rozwoju sił zbrojnych, wyznaczaniem kierunku zmian, opracowaniem koncepcji szkoleniowej i modernizacyjnej. Dlatego dla mnie bieżąca działalność to okres 2018–2020. To wszystko jest „dzisiaj”, bo tylko w takiej perspektywie moje wizje i zamierzenia mogą być przekute na konkretne efekty w wojsku.

Rozpocząłem już zmiany kultury pracy w Sztabie Generalnym. Chciałbym, byśmy wdrożyli zasady dowodzenia przez cele. Swoją rolę postrzegam jako wyznaczanie parametrów do osiągnięcia, a nie wydawanie bardzo dokładnych poleceń i nieustanną kontrolę, czy aby na pewno każdy krok został wykonany tak, jak to sobie wymyśliłem. Dowódcy wszystkich szczebli muszą być bardziej samodzielni, zorientowani na realizację zadania, a nie wyłącznie na czekanie na rozkaz. W XXI wieku otoczenie zmienia się bardzo dynamicznie, na współczesnym polu walki wręcz w mgnieniu oka, i musimy mieć świadomość, że rozkaz wydany godzinę temu, na podstawie danych sprzed dwóch godzin, może być już nieaktualny. Aktualne jest natomiast zadanie do wykonania i rolą dowódcy, który zawsze będzie bliżej tematu niż jego przełożony, jest dobrać siły i środki w taki sposób, by je zrealizować.

Czy kadra oficerska Wojska Polskiego jest gotowa na takie wyzwanie?

Jestem optymistą. Pierwsze sygnały zapowiadające nowe podejście już wysłałem. Wojsko, jak każda organizacja, broni się przed zmianą, ale jest wielu ludzi, którzy powiedzieli „wreszcie”. Koncentruję się więc na pozytywach i wychodzę z założenia, że kiedyś negocjacje muszą się skończyć i będę korzystał z uprawnień, jakie będzie miał pierwszy żołnierz Rzeczypospolitej po wejściu w życie reformy dowodzenia.

Prezydent Andrzej Duda i minister Mariusz Błaszczak zapowiedzieli, że pierwszy etap reformy systemu kierowania i dowodzenia armią zostanie przeprowadzony jeszcze w tym roku. Jak wygląda harmonogram dokończenia tego procesu?

Cały czas prowadzimy analizę operacyjną i finansową, która zadecyduje o terminie i tempie wejścia w życie drugiego etapu reformy SKiD. Przed Wojskiem Polskim jest wiele wyzwań – budowa czwartej dywizji, integracja wojsk obrony terytorialnej, uczestnictwo w reformie struktur dowodzenia NATO – które mogą mieć wpływ na nasze plany. Jeżeli mówimy o dokończeniu rozpoczynającej się reformy, to stanie się to, jak sądzę, za dwa, trzy lata.

Czy zetknął się już Pan z typowym w takiej sytuacji myśleniem, że skoro zapowiedziano reformy strukturalne, to pojawiają się możliwości szybkiego awansu?

Zjawisko to można zmierzyć liczbą telefonów, które odebrałem po nominacji na stanowisko szefa Sztabu Generalnego [śmiech]. Dziękuję za wszystkie gratulacje, ale podchodzę do tego na chłodno. Chciałbym, by moi podwładni mieli świadomość, że nie zadowolę każdego, a zmiany będą kosztowne, nawet bolesne. Jeżeli zgodzimy się co do wizji dowódcy, jaką zamierzam promować – że ma być samodzielny, elastyczny i mobilny – to dotyczy to każdego. I mówiąc krótko, trzeba się będzie przeprowadzić, bo być może umiejętności i doświadczenie danego oficera, podoficera będą potrzebne w innym miejscu. Jeżeli mam wypełnić powierzoną mi misję, to wszyscy muszą odegrać powierzoną im rolę. Sam nie zrobię nic. Postaram się, by wszelkie koszty i wyrzeczenia były kompensowane, ale nie zapewnię każdemu komfortu. Powiem więcej, nie jest to moim celem. Zależy mi na intensywniejszych szkoleniach w skomplikowanym środowisku, samodzielności w dowodzeniu, odpowiedzialności dowódców, dyspozycyjności, na standardach, poprawie gotowości bojowej. Chcę wyrwać wojsko ze swoistej strefy komfortu, w której tkwi od dawna. ■



PÓŁ ROKU Z SOPHIA

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Prowadzili rozpoznanie od Sycylii po wybrzeża Afryki. Wykonali przeszło 70 operacji lotniczych, spędzając w powietrzu ponad 300 godzin. Pod koniec sierpnia do Polski powrócili żołnierze I zmiany PKW EU „Sophia”.

W Sigonelli dostaliśmy kawałek lotniska i usłyszeliśmy: tutaj zbudujcie sobie bazę”, wspomina kmr por. Cezary Kurkowski, dowódca I zmiany PKW EU „Sophia”. A potem było ustawianie kontenerów, przeciąganie niezliczonych kabli i przewodów, bo przecież trzeba sobie zapewnić prąd i łączność, przekopywanie się przez tony dokumentów. Nerwówka, czasem – co tu dużo mówić – przeradzająca się w irytację. W końcu na Sycylię jechali po to, żeby latać... „Kamień z serca spadł mi dopiero wtedy, kiedy wciągaliśmy na maszt biało-czerwoną flagę. A już naprawdę odetchnąłem, gdy nasz samolot wystartował na pierwszą misję”, opowiada dowódca.

Był 15 marca 2018 roku, a polskie lotnictwo morskie otwierało zupełnie nowy rozdział.

DZIECI W GÓRĘ

Z samolotu niemal ich nie widać. Ciemna kropka w bezmiarze błękitu. „Podczas lotów nad Bałtykiem wypatrujemy rosyjskich okrętów. A tutaj najczęściej trzeba odnaleźć ponton, łódź, w najlepszym razie niewielki kuter”, tłumaczy kpt. Mariusz Sasim, nawigator w załodze rozpoznawczej bryzy. Maszyna obniża więc pułap. I wtedy kropka przeradza się w plamę, z której zaczynają wyłaniać się ludzie. Na widok bryzy wyciągają ku niebu trzymane na rękach dzieci. Jedno, drugie, trzecie... Czasem bywa jeszcze dramatyczniej. „Pewnego dnia podeszliśmy we wskazany rejon i zobaczyliśmy w morzu ponad stu rozbitków”, wspomina kmr ppor. Robert Nowakowski, pilot bryzy i zastępca dowódcy, biorący udział w misji zespołu lotniczego. „Chwilę wcześniej przeciężo-



ARCHIWUM PKW EU
„SOPHIA” (3)

W LUTYM 2018 ROKU NA SYCYLIĘ WYRUSZYŁ 100-OSOBOWY KONTYN- GENT, KTÓREGO TRZON STANOWILI ŻOŁNIERZE BRY- GADY LOTNICTWA MARY- NARKI WOJENNEJ

na łódź, którą próbowali przedostać się z Libii do Europy, zaczęła tonąć. Na wodzie unosił się tylko jeden, oblepiony przez ludzi pływak. Mielśmy rzucić im ratunkową tratwę, ostatecznie jednak zrezygnowaliśmy, ponieważ do miejsca katastrofy podchodził już libijski kuter”, opowiada.

Takie sytuacje, jak przyznają lotnicy, są trudne także ze względów czysto ludzkich. „Mimo że na naszych oczach rozgrywa się tragedia, przez cały czas musimy podchodzić do tego na chłodno, bez emocji. Owszem, przydzielone nam zadania wiążą się również z ratowaniem ludzi. Przede wszystkim jednak mamy odszukać łódź na morzu, sporządzić dokumentację fotograficzną i wysłać do bazy meldunki. Reszta w rękach dowództwa misji i okrętów, które biorą w niej udział”, tłumaczy kmdr ppor. Nowakowski. Jeszcze do niedawna nielegalni migranci byli przejmowani na morzu i przewożeni do Włoch, gdzie trafiali do obozów przejściowych. Tam sprawdzały ich służby, potem zaś zapadała decyzja: zostają lub wracają. Większość mogła liczyć na pierwsze z rozwiązań. Nowy włoski rząd zaostrzył jednak politykę migracyjną. „Ostatnio po raz pierwszy zdarzyło się, że pasażerowie łodzi zmierzającej ku Sycylii zostali zawróceni do Libii”, przy-

znaje kmdr por. Kurkowski, zaraz jednak zastrzega: „O szczegółach nie chciałbym mówić, bo to jest poza naszymi kompetencjami”.

Tymczasem uwagę polskich żołnierzy zaprzatają nie tylko łodzie z nielegalnymi migrantami. „Misja ma również zapobiec przemytowi ropy. Dlatego śledzimy statki, wobec których są takie podejrzenia”, wyjaśnia kpt. Sasim. Sztab, który obecnie stacjonuje na okręcie IT „San Marco”, opracował listę takich jednostek z numerami MMSI (morski numer identyfikacyjny) oraz IMO (nadany przez Międzynarodową Organizację Morską). Jeśli któraś z nich pojawi się w rejonie misji, jest do niej wysyłany samolot. „Staramy się sprawdzić, dokąd taki statek płynie i co wiezie. Nawijujemy łączność z załogą, aby uzyskać niezbędne informacje. Nie wszystko jednak odbywa się w ten sam sposób”, przyznaje nawigator. „Ostatnio na przykład mieliśmy sporządzić dokumentację fotograficzną statku, ale tak, by jego załoga nie zorientowała się, że jesteśmy w pobliżu...”.

GODZINA NA START

„Sophia” została uruchomiona w 2015 roku. Odpowiada za nią Unia Europejska. Zaangażowani w misję żołnierze





ARCHIWUM PKW EU
„SOPHIA” (4)

**„SOPHIA” ZOSTAŁA
URUCHOMIONA
W 2015 ROKU. ODPO-
WIADA ZA NIĄ UNIA
EUROPEJSKA. ZAA-
GAŻOWANI W MISJĘ
ŻOŁNIERZE ŚCIŚLE
WSPÓŁPRACUJĄ
Z SIŁAMI NATO, KTÓRE
DZIAŁAJĄ W TYM
SAMYM REGIONIE
PRZY OKAZJI OPERACJI
„SEA GUARDIAN”**

rze ściśle współpracują z siłami NATO, które działają w tym samym regionie przy okazji operacji „Sea Guardian”. Podstawowym celem „Sophii” jest zahamowanie nielegalnej migracji na popularnym szlaku z Libii na południe Włoch. Pomóc w tym mają libijska straż przybrzeżna oraz tamtejsza marynarka wojenna szkolone przez specjalistów z Europy. Przeszło pół roku temu do misji dołączyła Polska. W lutym na Sycylię wyruszył 100-osobowy kontyngent, którego trzon stanowili żołnierze Brygady Lotnictwa Marynarki Wojennej. Do bazy Sigonella poleciał też samolot rozpoznawczy Bryza. Kiedy rozmawiam z uczestnikami misji, pierwsza zmiana PKW EU „Sophia” powoli dobiega końca. Jej uczestnicy właśnie przekazują obowiązki zmiennikom, którzy kilkanaście dni wcześniej zameldowali się na południu Włoch.

„Do tej pory wykonaliśmy ponad 70 misji. W powietrzu spędziliśmy przeszło 300 godzin”, wylicza kmdr ppor. Nowakowski. Przez pierwsze trzy, cztery miesiące loty odbywały się według zaplanowanego wcześniej harmonogramu. Później w określone dni załoga pełniła dyżury. Kiedy przyszedł sygnał z dowództwa, musiały w ciągu 60 minut przygotować się do startu i poderwać maszynę. „Najczęściej nasze misje trwały sześć i pół godziny, z czego pięć spędzaliśmy w powietrzu. Ale były też i takie, które pochłaniały dużo więcej czasu: siedem godzin zajmował sam lot, a trzy – planowanie i podsumowanie”, wspomina kmdr ppor. Nowakowski. W takich wy-

padkach bryza musiała wykonywać międzyrządowanie na wyspie Lampedusa, gdzie uzupełniano paliwo. „Loty nad Morzem Śródziemnym nie różnią się zbytnio od tych, które wykonujemy nad Bałtykiem. Większy jest jednak obszar działania. Trzeba też pamiętać o silnym wietrze, dość często pojawiającym się na Sycylii

i w jej okolicach”, wyjaśnia kmdr ppor. Nowakowski. Znacznie bardziej uciążliwe są jednak wysokie temperatury. „W bryzie nie ma klimatyzacji, jest jedynie system wentylacji. Tymczasem każdy z członków załogi musi mieć na sobie kombinezon, kamizelkę taktyczną oraz ratunkową. Podczas lotu w temperaturze sięgającej 40 stopni Celsjusza wewnątrz samolotu szybko się nagrzewa i trudno w nim wytrzymać. Dlatego za każdym razem wypijaliśmy hektolitry wody”, podkreśla pilot.

Polacy współdziałali m.in. z włoskimi okrętami dowodzenia IT „San Giusto”, a potem IT „San Marco” oraz samolotami rozpoznawczymi z Hiszpanii i Luksemburga. Wykonując loty, docierali w pobliże Afryki, na pogranicze wód libijskich. „Bardzo pomocny okazał się sprzęt, w który bryza została wyposażona już podczas misji”, przyznaje kpt. Sasim. „Dostaliśmy system AIS, służący do szybkiej identyfikacji jednostek pływających. W naszej brygadzie nie jest on nowością, ale wcześniej miały go jedynie bryzy wykonujące loty związane z monitoringiem ekologicznym. W samolocie pojawił się też system łączności satelitarnej, który ułatwił nam kontakt ze sztabem operacji. Dzięki niemu łatwiej było modyfikować za-



dania, wyznaczać nowe cele już podczas lotu”, dodaje. Na czas montażu nowego sprzętu bryza musiała wrócić do kraju, a w jej miejsce na Sycylię poleciał z Siemirów inny samolot. Potem maszyny ponownie zostały wymienione. Druga z nich przejdzie podobną modernizację. „Zmiany pomogą nam także w codziennej służbie nad Bałtykiem”, podsumowuje kpt. Sasim.

ELASTYCZNY JAK PRZEMYTNIK

„Wkład polskiej armii w misję »Sophia« był istotny i różnorodny”, ocenia kpt. mar. Antonello de Renzis Sonnino z kwatery głównej operacji i przypomina, że nad Morze Śródziemne wysłano z Polski nie tylko lotników i wspomagający ich personel techniczny. „W Rzymie, gdzie mieści się kwatera główna, na co dzień pracuje czterech polskich oficerów, z kolei na okręcie flagowym stacjonuje gotowy do użycia zespół abordażowy z polskich wojsk specjalnych”, podkreśla. I choć Polacy byli na Sycylii nowi, to z całą pewnością nie pojechali tam, aby tylko się uczyć. „Śledziliśmy poczynania kolegów z innych państw, ale oni także nas podpatrywali. Niektóre stosowane przez nas rozwiązania na tyle im się spodobały, że wprowadzili je również u siebie”, przyznaje kmr por. Kurkowski. Wystarczy wspomnieć o procedurach związanych ze startami samolotu. „Baza w Sigonelli sąsiaduje z lotniskiem cywilnym w Katanii. Są one obsługiwane przez jeden ra-

dar, a to wprowadza istotne ograniczenia. W ciągu godziny w regionie można przeprowadzić jedynie 23 operacje lotnicze”, tłumaczy kmr ppor. Nowakowski. „Wpadliśmy na pomysł, by po starcie przez pewien czas lecieć nisko, poza strefą ograniczeń, a dopiero później podrywać samolot na wyższy pułap. Bardzo spodobało się to naszym sąsiadom z Sigonelli – Hiszpanom, którzy również zaczęli w ten sposób latać”, dodaje. Najważniejsze okazały się jednak doświadczenia, które Polacy zdobyli na Sycylii. „Mogliśmy operować na znacznie większych niż dotychczas obszarach, wykonywać dłuższe loty, doskonalić współpracę z sojusznikami”, wylicza kmr ppor. Nowakowski. Poza tym, jak dodaje kmr por. Kurkowski, polska armia pokazała, że ciągle jest w stanie zaangażować się w rozwiązywanie kluczowych dla kontynentu problemów. „Choć udało się zrobić niemało, nielegalna migracja ciągle jeszcze pozostaje jednym z nich”, przyznaje. W ostatnim czasie liczba łodzi zmierzających z Libii na południe Włoch spadła. Ale organizatorzy tego proceduru szukają nowych kanałów przerzutu. „Łodzie, pontony, a nawet odpowiednio zamaskowane kutry coraz częściej wyruszają z Tunezji”, informuje kmr por. Kurkowski. „Sytuacja wymaga od uczestników misji sporej elastyczności. Przed kolegami z drugiej zmiany polskiego kontyngentu na pewno wiele pracy”.

**KMDR PPOR.
ROBERT
NOWAKOWSKI:**
Wpadliśmy na pomysł, by po starcie przez pewien czas lecieć nisko, poza strefą ograniczeń, a dopiero później podrywać samolot na wyższy pułap. Bardzo spodobało się to naszym sąsiadom z Sigonelli – Hiszpanom, którzy również zaczęli w ten sposób latać.

PIOTR RASZEWSKI

ZMIANA WARTY

Na niektórych stanowiskach w wojsku powinno się służyć nie dłużej niż trzy, cztery lata. Tak jest w Wielonarodowej Brygadzie.

Rozpoczęły się rotacje oficerów w LITPOLUKRBRIG. Jako pierwsi, po trzech latach spędzonych w Wielonarodowej Brygadzie, do kraju wrócili Litwini. Pod koniec września z Lublina wyjedzie część oficerów ukraińskich, kolejni opuszczają Polskę u schyłku roku. W tym miesiącu zmieni się również dowództwo jednostki z siedzibą w Lublinie.

„Takie rotacje są bezwzględnie potrzebne dla prawidłowego rozwoju oficera. Przede wszystkim chodzi o to, by zdobyte umiejętności mogły procentować w innych dowództwach w kraju czy za granicą. Zależy nam też na tym, aby oficerowie zdobywali kolejne doświadczenia bądź wykształcenie w uczelniach wojskowych.

Ponadto na niektórych stanowiskach powinno się służyć nie dłużej niż trzy, cztery lata, bo później brakuje wyzwań”, wyjaśnia gen. bryg. Zenon Brzuszek, dowódca Litewsko-Polsko-Ukraińskiej Brygady im. Wielkiego Hetmana Konstantego Ostrońskiego.

TRZYLETNI CYKL

W brygadzie rotacji podlegają żołnierze z Litwy i Ukrainy, czyli odpowiednio pięciu i osiemnastu oficerów. Tak przewiduje trójstronne porozumienie techniczne, podpisane przez kraje założycielskie międzynarodowej jednostki. Dokumenty przewidują, że oficerowie z tych państw będą się zmieniali w cyklu trzyletnim, chyba że ich kadencja zostanie przedłużona. Z tego zapisu skorzystała Litwa i pozostawiła w Lublinie na kolejny rok jednego oficera, a wezwała do kraju czterech. Litwini dotarli do Polski jako pierwsi, w sierpniu 2015 roku, i to właśnie ten kontyngent opuścił nasz kraj najszybciej.

„Gdy przyjechaliśmy do Polski, jednostka była dopiero w fazie tworzenia. Zaczynaliśmy od zera. Mieliśmy

co prawda sporo doświadczeń, bo przecież wcześniej funkcjonował już LITPOLUKRBAT, ale przeorganizowanie wszystkiego tak, by powstała tu brygada, zajęło nam kilka miesięcy”, wspomina ppłk Eligijus Senulis, pierwszy szef sztabu LITPOLUKRBRIG. „Powoli dołączali kolejni oficerowie, tworzyliśmy dokumentację niezbędną do funkcjonowania, poznawaliśmy się i wyznaczaliśmy ramy naszej współpracy. Przejmowaliśmy od siebie to, co najlepsze z naszych trzech armii. Po kilkunastu miesiącach podeszliśmy do najważniejszego testu. Ćwiczenia certyfikujące »Common Challenge« pokazały, że osiągnęliśmy zdolność bojową”, kontynuuje litewski oficer.

Odpowiedzialność spoczywającą na pierwszej grupie żołnierzy zauważa też dowódca Litewsko-Polsko-Ukraińskiej Brygady: „Pierwsza zmiana miała niezwykle trudne zadanie, bo stanęła przed wyzwaniem zbudowania zrębów jednostki. Trzeba było działać szybko, ponieważ brygadzie dano bardzo mało czasu na osiągnięcie pełnej zdolności operacyjnej, a należało zająć się praktycznie wszystkim – od organizacji miejsc pracy, przez wypracowanie procedur, po budowanie tożsamości nowej jednostki. Oczywiście ocena osiągnięć LITPOLUKRBRIG należy do naszych przełożonych, ale

uważam, że pierwsze trzy lata w brygadzie wykorzystano w stu procentach. Bez wątpienia jednostka ma fundamenty, na których można budować nowe zdolności i doskonalić kolejne pokolenia oficerów i podoficerów trzech państw”, zwraca uwagę gen. bryg. Zenon Brzuszek.

WARTOŚĆ DODANA

Od momentu powołania brygada stawiała na szkolenie żołnierzy. Chodziło o stworzenie własnych procedur, ale

KALENDARIUM ROTACJI W LITPOLUKRBRIG:

- **sierpień 2018** – wymiana kontyngentu litewskiego
- **wrzesień 2018** – wymiana części kontyngentu ukraińskiego; rotacja na stanowiskach dowódczych brygady
- **listopad/grudzień 2018** – wymiana części kontyngentu ukraińskiego



WARTOŚCIĄ DODANĄ SŁUŻBY W JEDNOSTCE JEST WYMIANA DOŚWIADCZEŃ MIĘDZY OFICERAMI TRZECH NACJI



W brygadzie rotacji podlegają żołnierze z Litwy i Ukrainy, tak przewiduje tróstronne porozumienie techniczne, podpisane przez kraje założycielskie międzynarodowej jednostki.

również maksymalne wykorzystanie trzyletniego okresu, tak by oficerowie nabyli możliwie dużo doświadczenia przydatnego zarówno podczas służby w LITPOLUKRBRIG, jak i po powrocie do swoich krajów. Szczególny nacisk położono na przygotowanie oficerów ukraińskich, którzy mają być liderami zmian w swojej armii.

„Od początku jednym z kluczowych celów naszej jednostki było tworzenie platformy szkoleniowej między sojuszem północnoatlantyckim a siłami zbrojnymi Ukrainy. Najtrudniejszym etapem wszelkich zmian jest przekonanie do nich ludzi, ale myślę, że oficerowie ukraińscy po trzech latach służby w brygadzie przekonali się, że procedury

NATO dobrze funkcjonują i warto je wprowadzić u siebie”, podkreśla generał. Opinię dowódcy potwierdzają sami zainteresowani i podkreślają, że trzy lata służby w Lublinie dały im całkowicie inne spojrzenie na funkcjonowanie armii. „Polacy i Litwini przekazali nam sporo użytecznej wiedzy. Nie do przecenienia były też cykliczne warsztaty, które prowadzili tu na przykład Amerykanie”, podkreśla ppłk Andrij Kotselko, p.o. szef sekcji planowania LITPOLUKRBRIG.

„Braliśmy udział w wielu międzynarodowych ćwiczeniach, dzięki czemu mogliśmy zrozumieć używane w NATO procedury”, dodaje oficer. Z kolei ppłk Anatolii Ichenskiy zauważa: „Chcemy zintegrować się z sojuszem



BRYGADA STAWIA NA SZKOLENIE ŻOŁ- NIERZY. CHODZI O STWORZENIE WŁA- SNYCH PROCEDUR, A TAKŻE MAKSYMALNE WYKORZYSTANIE TRZY- LETNIEGO OKRESU, TAK BY OFICEROWIE NABYLI MOŻLIWIE DU- ŻO DOŚWIADCZEŃ PRZYDATNYCH PO ICH POWROCIE DO WŁA- SNYCH KRAJÓW

północnoatlantyckim, więc się cieszyłem, że mogę tu przyjechać. Przyznam, że obawiałem się pracy w międzynarodowym środowisku, ale teraz wiem, że zupełnie niepotrzebnie. Przez te trzy lata udało się zdobyć sporo doświadczeń, szczególnie z planowania działań. Choć nie ukrywam, że przydałoby się nieco więcej praktyki, czyli udziału w międzynarodowych misjach”, mówi zastępca szefa sekcji rozpoznania.

Udział w wielonarodowych ćwiczeniach i warsztatach z udziałem specjalistów z całego świata to wartość dodana służby w międzynarodowej jednostce. Kolejna to wymiana doświadczeń między oficerami trzech nacji. „Dla mnie to był owocny czas. Wiele nauczyliśmy się od ukraińskich żołnierzy. Oni mieli świeże doświadczenia bojowe, bo przyjechali tu niemal prosto ze wschodu Ukrainy. Dowiedziałem się również sporo o funkcjonowaniu polskiej armii. Nasze siły zbrojne są dużo mniejsze, więc wszystko wygląda tu nieco inaczej niż na Litwie”, twierdzi kpt. Karolis Grabauskas, który służył w LITPOLUKRBRIG w sekcji logistycznej, i dodaje: „Trzy lata to wystarczający czas, żeby się czegoś nauczyć, ale zarazem nie znudzić tym, co się robi na co dzień. Nie ma wypalenia zawodowego”.

WSPOMNIENIA Z LUBLINA

Trzy lata to również wystarczający czas, by zawrzeć przyjaźnie. Oficerowie podkreślają, że w lubelskiej jednostce udało się stworzyć rodzinny klimat. „Na co dzień wszyscy się wspieraliśmy, dzięki czemu praca była dużo przyjemniejsza i łatwiejsza. Także w życiu prywatnym tak było. Nie miałem problemu, kiedy na przykład potrzebowalem pomocy, bo urodziła mi się tu córka i musiałem załatwiać wiele formalności”, przyznaje kpt. Donatas Giedrikas. Wtórzy mu kpt. Andrzej Woźniak z sekcji rozpoznawczej: „Różni nas język ojczysty i kolor kamufażu, ale tak jak w każdym zespole nawiązują się sympatie”, mówi szef sekcji zabezpieczenia geograficzno-meteorologicznego LITPOLUKRBRIG.

Żołnierze po powrocie do swoich ojczystych krajów zdobyte tu doświadczenia będą wykorzystywali na wyższych stanowiskach niż te, które pełnili przed przyjazdem do Polski. Większość ukraińskich oficerów trafi do dowództwa wojsk powietrznodesantowych w Żytomierzu. Część Litwinów będzie kontynuowała pracę w tamtejszym ministerstwie obrony. Jak podkreśla dowódca

LITPOLUKRBRIG: „To niewątpliwie dodatkowa korzyść z działalności brygady i jej rotacyjnego charakteru. Mam nadzieję, że oficerowie z Litwy i Ukrainy oprócz wiedzy i doświadczenia z Lublina wywożą też miłe wspomnienia”, zaznacza gen. bryg. Zenon Brzuszek i podkreśla: „Wykonywanie zadań pod presją czasu integruje środowisko, w którym rodzi się atmosfera wzajemnego wsparcia i życzliwości, a przecież w przyszłości, gdy przyjdzie nam razem działać, to oprócz wspólnych procedur i standardów właśnie życzliwość i zrozumienie będą kluczem do sukcesu”.

A czy rotacje nie zaburzają pracy w LITPOLUKRBRIG? „Rotacja to w wojsku standardowa sprawa. Tutaj będzie nieco trudniej, bo zmienia się większa grupa, czyli około 30% całej jednostki. W naszej sekcji wymiana dotyczy połowy personelu, więc czeka nas okres wytężonej pracy, by wprowadzić nowych ludzi w ich obowiązki. Na szczęście jest tak, że nie wszyscy żołnierze wyjeżdżają jednocześnie, bo rotacja jest rozciągnięta na kilka miesięcy. Dlatego jest to dla nas wyzwanie, ale nie problem”, zapewnia kpt. Andrzej Woźniak, oficer sekcji rozpoznawczej.

W związku z rotacyjnym charakterem jednostki, w okresie przejściowym wyzwania stają również przed całą Wielonarodową Brygadą. „Nowy personel musi się przede wszystkim zintegrować z jednostką. Testem oceniającym poziom zgrania będą ćwiczenia »Maple Arch« na Litwie. Wierzę, że wypadnie pozytywnie, bo nowi oficerowie dostaną odpowiednie dokumenty i właściwe narzędzia do tego, żeby ten proces przebiegł bez zakłóceń. Opracowaliśmy i przetrenowaliśmy wszystkie procedury, wprowadziliśmy odpowiednie standardy i zgromadziliśmy wiedzę, którą kolejnej zmianie będą przekazywać polscy oficerowie”, zaznacza gen. Brzuszek.

Co ciekawe, rotacji podlegają również Polacy, ale w procesie ciągłym. „Od czasu mojego przyścia do brygady, a było to dwa lata temu, wymieniliśmy ponad 30% polskiego personelu. To musi tak przebiegać, by zachować pamięć instytucjonalną w sytuacji, gdy wymieniają się całe kontyngenty ukraiński i litewski”, kończy gen. bryg. Zenon Brzuszek, którego również czeka rotacja. W myśl dokumentów statutowych LITPOLUKRBRIG po upływie trzech lat następuje bowiem narodowa zmiana na szczeblu dowódczym. ■



Lubawa SA na XXVI Międzynarodowym Salonie Przemysłu Obronnego

Lubawa SA od 67 lat dostarcza najwyższej jakości produkty oraz technologie zapewniające bezpieczeństwo nie tylko Rzeczypospolitej Polskiej, lecz także innym krajom.

Podczas tegorocznego Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach spółka pokaże swoje innowacyjne produkty w kilku kategoriach.

W kategorii ochrony zbiorowej zaprezentowane zostaną wyróżniony nagrodą Defender w 2017 roku mobilny wielkogabarytowy hangar KT-Shelter M5 oraz zmodyfikowana wersja szybkorozstawialnego namiotu NS-26 wraz z łącznikiem zwiększającym funkcjonalność.

W kategorii ochrony pojazdów Lubawa SA przedstawi siatki maskujące Berberys, cechujące się bardzo wysoką skutecznością dzięki zastosowaniu tekstur imitujących środowisko naturalne, tłumieniu radarowemu do 20 dB i redukcji promieniowania termalnego nawet do 85%.

Jako uzupełnienie ekspozycji poświęconej systemom kamuflażu zademonstrowana zostanie pneumatyczna maskieta pojazdu KTO Rosomak, pozorująca odpowiednik w zakresie radiolokacyjnym, widzialnym oraz termalnym.

Prócz zaawansowanych systemów kamuflażu i pozoracji zaprezentowane zostaną również demonstratory projektu MODPANC, którego celem było stworzenie lekkiego, dodatkowego modularnego opancerzenia transporterów i pojazdów gąsienicowych, składającego się zarówno z osłon balistycznych, jak i elementów ich mocowania umożliwiających szybki demontaż, wymianę lub serwis.

Podczas targów pokazane zostaną także kompozytowe zbiorniki paliwowe do śmigłowców, z rozwiązaniem minimalizującym wyciek paliwa po przestrzeleniu. Oferta Lubawy obejmuje również sprzęt pływający, między innymi łódź ŁRM-3 przeznaczoną do pływania po wodach śródlądowych przy sile wiatru do 4 w skali Beauforta.

Szeroką ofertę Lubawa SA zaprezentuje w kategorii ochrony indywidualnej. Wśród kamizelek kulo- i nożo-odpornych na szczególną uwagę zwiedzających zasługuje nowa linia kamizelek kamuflowanych, ze zmodyfikowaną wersją wyróżnionej Nagrodą Komendanta Głównego Policji podczas XXV MSPO damskiej kamizelki kamuflowanej Venus.

W ofercie spółki znaleźć można również kombinezony do pracy w wodzie, w których wykorzystano rozwiązania z dziedziny nanotechnologii, a także odzież przeznaczoną do ochrony skóry przed działaniem bojowych środków chemicznych i biologicznych. Te produkty również znajdują się na tegorocznej ekspozycji.

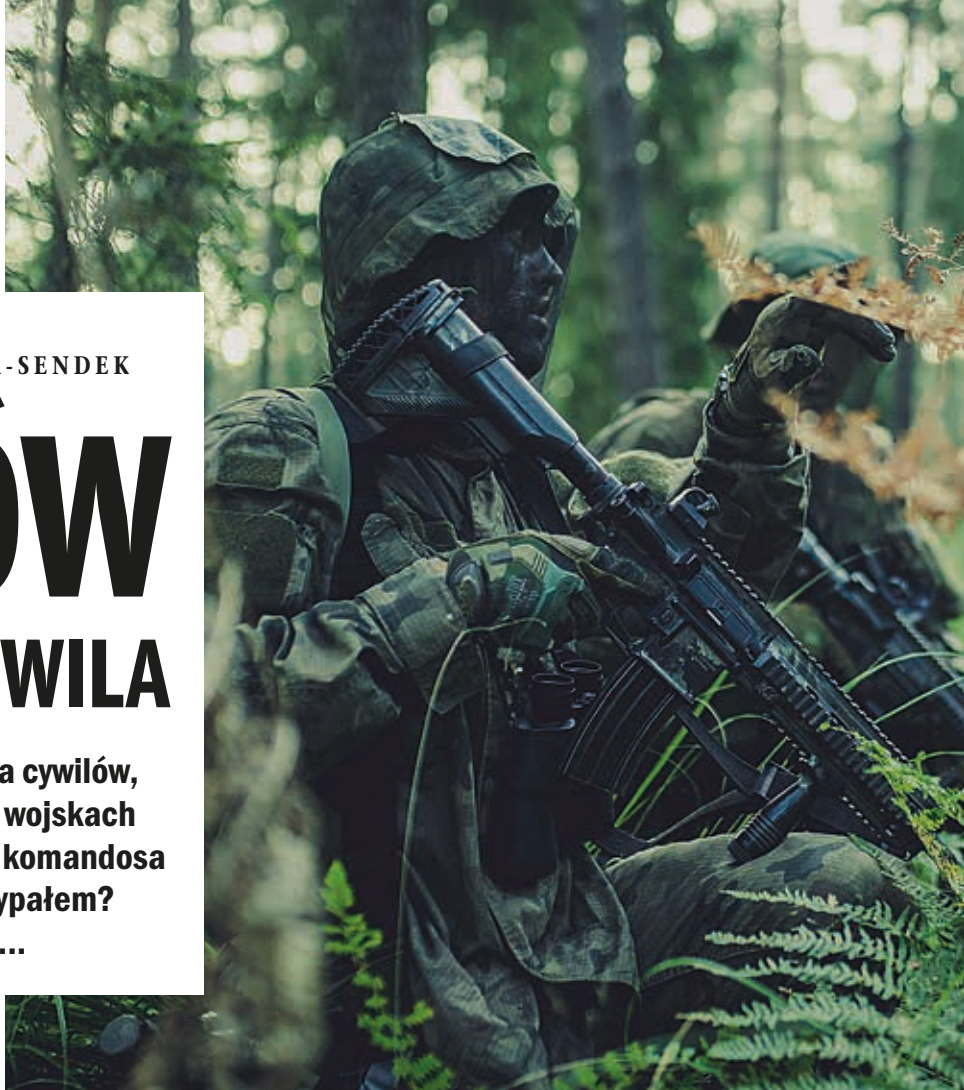
W grupie produktów ochrony przeciwybuchowej (EOD) zaprezentowane zostaną dwa kombinezony podchodzeniowe: Titania, wyróżniająca się wysokim poziomem ochrony przeciwołamkowej, oraz nowość w ofercie – lekki kombinezon podchodzeniowy trudnopalny Szerszeń – stworzony z myślą o komforcie i mobilności użytkownika, przy jednoczesnym zachowaniu wysokiego bezpieczeństwa i lekkiej wagi.

Zapraszamy na stoisko ZC-15.

EWA KORSAK,
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

POŁÓW PEREŁ Z CYWILA

**To był ostatni kurs Jata dla cywilów,
którzy marzyli o służbie w wojskach
specjalnych. Czy pomysł na komandosa
z cywila okazał się niewypałem?
Wręcz przeciwnie...**



Skąd decyzja o wstrzymaniu kursu?”, pytamy „Wronka”, komendanta Ośrodka Szkolenia Wojsk Specjalnych w Lublińcu, który organizował obie edycje Jaty. „Trwają prace nad uruchomieniem Centrum Szkolenia Wojsk Specjalnych, które prawdopodobnie w przyszłości będzie organizowało takie zajęcia. Poza tym w jednostkach specjalnych powoli wyczerpują się wolne stanowiska dla żołnierzy korpusu szeregowych. Nie wiadomo, czy byłyby etaty dla kolejnych 30 kandydatów”, wyjaśnia „Wronek”. „A czy to nie dlatego, że nie ma możliwości, by kilkumiesięczny kurs zrobił z cywila komandosa?”, dopytujemy oficera. „Niektórzy z naszych absolwentów ukończyli już selekcję i za chwilę trafią na kurs bazowy, a potem prawdopodobnie do zespołów bojowych. Myślę więc, że możemy wykluczyć tę opcję”, mówi komendant.

ZASKOCZENI? O TO CHODZIŁO!

Ostatni kurs Jata ukończyło 28 osób – cywilów, którzy zdecydowali się wyrzucić swoje życie do góry nogami i przez sześć miesięcy szkolić się z podstaw wojskowego rzemiosła. Jego zwieńczeniem był kilkudniowy egzamin. „Za nami pół roku ciężkiej pracy. Wiedzieliśmy, że czeka

nas na koniec sprawdzian. Podpytywaliśmy nawet absolwentów ubiegłorocznego kursu, czego możemy się spodziewać, ale... na niewiele się to zdało”, mówi jeden z elewów.

Elewi przed chwilą położyli się spać. Po kolejnym dniu szkolenia przyszedł czas na odpoczynek. Zaledwie po kilku minutach pobudka. Tak zaczął się egzamin kończący kurs Jata. Instruktorzy zaprowadzili „jatamanów” (tak kadra żartobliwie mówi o elewach) na widostrzelnicę. „Przy głośniejszych i monotonna dźwiękach musieli przypomnieć sobie regulaminy i zasady prowadzenia strzelania. Na wrywki sprawdzaliśmy ich wiedzę. Potem musieli rozwiązać test i dopiero przystąpili do strzelania”, opisuje jeden z instruktorów.

Zaraz po ocenie umiejętności strzeleckich nadszedł czas na kontrolę sprawności fizycznej. Elewi musieli zdawać WF według norm obowiązujących w wojskach specjalnych. Mężczyźni zaliczali bieg wahadłowy, brzuszki, podciągnięcia na drążku i bieg na 3000 m, a kobiety – bieg wahadłowy, brzuszki, pompki i bieg na 1000 m. „Nie tylko byli zmęczeni, ale też wytrąceni z równowagi. Nie spodziewali się egzaminu w nocy”, mówi instruktor. Po sprawdzianie każdy z kursantów miał 1,5 godziny, by się

ELEWI MUSIELI ZDAWAĆ WF WEDŁUG NORM OBOWIĄZUJĄCYCH W WOJSKACH SPECJALNYCH

przygotować do działania w terenie. Dostali trzy racje żywnościowe. „Po trzech dniach kolejną rację, potem kolejną – chodziło o to, by nie wiedzieli, ile dni potrwa egzamin”, wyjaśnia instruktor.

Do lasu, gdzie odbywała się dalsza część sprawdzianu, zabrali ze sobą plecaki, w których musiały się znaleźć m.in. zapasowe buty, ubranie cywilne, farbki do maskowania, sprzęt do bytowania, woda i jedzenie. Podzieleni na dwie grupy ruszyli w głąb lasu. Przez pierwsze trzy doby bez przerwy padał deszcz. Przemoczeni do suchej nitki kursanci Jata z nadzieją wypatrywali słońca, by wysuszyć mokre buty, ubrania, plecaki i śpiwory. Instruktorzy natomiast byli zadowoleni z pogody: „Kurs to nie przedszkole. Obserwujemy, jak radzą sobie z dyskomfortem”, mówi „Wronek”.

Pierwsze zadanie elewów – 37-kilometrowa pętla taktyczna. Szli nocą i mrok rozświetlali sobie latarkami tylko na chwilę, gdy sprawdzali kolejne współrzędne. „Po drodze musieli dotrzeć do kilku punktów, w których otrzymywali dalsze wytyczne. Posługiwali się jedynie mapą i kompasem”, mówią instruktorzy. „Nogi poobcieraliśmy do krwi. Wszystko, co mamy, jest mokre”, mówi „Gira”, 26-latek, absolwent Akademii Wychowania Fizycznego,

jeden z kursantów. Po drodze musieli też wykonywać różne zadania, np. programowali radiostację, zakładali maski przeciwigazowe na czas, wyznaczali azymuty oraz ewakuowali rannego z pola walki.

KASZTANY NA PLACU PIGALLE

Kolejna doba przyniosła nowe zdania. Tym razem elewi mieli działać w terenie kontrolowanym przez przeciwnika. „Do przejścia mieli zaledwie kilka kilometrów, ale ze względu na okoliczności liczyły się ich spryt, zachowanie ostrożności, dobre maskowanie i utrzymywanie łączności”, wymienia „Wronek”. „Oceniani byli także z prowadzenia rozpoznania specjalnego. Przez dwie doby musieli obserwować budynek, w którym terroryści przetrzymywali zakładniczkę”, dodaje. By urealnić przebieg egzaminu, w rolę wrogich sił wcielili się współpracujący z Jednostką Wojskową Komandosów członkowie Szkolnej Grupy Przysposobienia Obronnego „Orlęta Poland Commando” z Małogoszczy. „Kursanci nigdy wcześniej nie widzieli tych ludzi, więc dla nich było to spore zaskoczenie”, dodaje komendant.

Wchodzimy do restauracji z komendantem ośrodka. W drzwiach mijamy grupkę młodzieży. Zamawiamy →

kawę i zajmujemy miejsce przy jednym ze stolików. Obok nas siedzą dwóch mężczyzn. „Wronek” dyskretnie zwraca na nich uwagę. „To nasi »jatomani«. Zobaczymy, jak sobie poradzą. Ich zadaniem jest namierzyć osobę kontaktową, która przekaże im cenne informacje”, wyjaśnia. Jest pora obiadowa, więc ruch w knajpce dość spory. Źródłem może być każdy. Po 40 minutach do restauracji wchodzi mężczyzna po czterdziestce i zamawia obiad. Wyróżnia go jedynie gazeta w ręku – „Polska Zbrojna”. Po kilkunastu minutach elewi podchodzą do niego i pytają: „Czy wie pan może, o której odjeżdża autobus do Lublińca? Reszty rozmowy nie słyszemy, ale komendant wyjaśnia, że pytanie to hasło, na które na pewno padł umówiony odzew. „Nie poszliśmy w stronę kasztanów z placu Pigalle. To musiało być pytanie, na które przypadkowa osoba nie zwróciłaby uwagi”, mówi oficer.

SPEŁNIANIE SIĘ W WOJSKU

Elewi zdobyli współrzędne skrytki, gdzie są składowane broń i jedzenie. Kiedy mieli już sprzęt, przez dwa dni obserwowali obiekt, w którym terroryści ukrywali zakładniczkę. Zadania kursantów polegały na meldowaniu o tym, co się dzieje wokół obiektu, i szturmie na budynek. „To ostatnie jest bonusem i nie ocenimy tego, jak zostanie ono wykonane. Wiadomo, że planowanie i przeprowadzenie szturmów to nie jest działanie na poziomie żołnierzy po sześciomiesięcznym przeszkoleniu. Mam jednak nadzieję, że ta namiastka zadań typowych dla żołnierzy wojsk specjalnych zainspiruje kursantów do tego, by podeszli do selekcji, ukończyli kurs bazowy i zostali żołnierzem zespołu bojowego”, wyjaśnia „Wronek”.

We wszystkich etapach egzaminu elewom towarzyszą instruktorzy z ośrodka szkolenia, m.in. osoby z doświadczeniem w zespołach bojowych i po kursie bazowym. „Na egzaminie oceniam, ale nie podpowiadam. Szkolili się przez pół roku, teraz czas na sprawdzian”, wyjaśnia Andrzej, jeden z instruktorów. „Widzę, czy są zgrani, jak pracują w grupie, wiem, jak zachowywali się na stanowiskach dowódczych i czy radzili sobie jako nawigatorzy”, dodaje. Opinie instruktorów i oceny z poszczególnych zadań złożyły się na wynik końcowy. Egzamin zdali wszyscy elewi.

Kim są absolwenci Jaty? „To barwny zespół. Ludzie z ciekawym wykształceniem i dorobkiem zawodowym. Myślę, że kilku z nich ma szansę zostać oficerami wojsk



IREK DOROŻAŃSKI / JWK LUBLINIEC

OSTATNI KURS JATA UKOŃCZYŁO 28 OSÓB – CYWILÓW, KTÓRZY ZDECYDOWALI SIĘ WYWRÓCIĆ SVOJE ŻYCIE DO GÓRY NOGAMI

specjalnych. Na przykład jeden z kandydatów ma duże doświadczenie w pracy na morzu. Wyróżnia się charakterem i cechami przywódcy, potrafi wziąć odpowiedzialność za grupę i pomagać słabszym. To osoba, która naprawdę dobrze rokuje. A takich perełek mamy teraz więcej”, mówi „Wronek”. Historia chłopaka, o którym mówi komendant ośrodka, jest niczym z filmu. 29-latek porzucił świetnie płatną i bardzo ciekawą pracę nawigatora na statkach. Pływał po całym świecie, a pewnego dnia... postanowił się spełnić w wojsku.

W kursie brał udział również „Gira”, absolwent Akademii Wychowania Fizycznego. Na Jatę próbował się dostać dwukrotnie. „Jestem wy-

sportowany, jeżdżę na nartach, skaczę ze spadochronem, nurkuję. Chciałbym wszystkie te pasje wykorzystać w wojsku. Jestem gotowy do ciężkiej pracy, dlatego już nie mogę się doczekać selekcji”, dodaje.

Jedną z dwóch kobiet na kursie jest „Gaduła”, która już od kilku lat marzyła o służbie w wojskach specjalnych. W cywilu prowadziła firmę, która specjalizuje się w pracy na wysokościach. „Na początku było mi tu ciężko, bo dyscyplina wojskowa jest dla mnie czymś obcym. Zastanawiałam się, co ja tu robię, ale postanowiłam za wszelką cenę dokończyć kurs”, przyznaje. Trzydziestolatka dodaje, że kurs uświadomił jej, że może jeszcze bardziej przekraczać swoje granice. „Wcześniej uprawiałam sporty ekstremalne, ale jak przemokłam, to po prostu zmieniałam ubranie. Tu mundur schnie na mnie już trzy dni. Nauczyłam się nie wycofywać, kiedy coś mi nie pasuje, tak jak to zwykłam robić w cywilu”.

KAPITAŁ NA PRZYSZŁOŚĆ

Co dalej z Jatą? W tym roku minister obrony nie wydał decyzji o naborze na kolejny turnus szkoleniowy. „Wronek” podkreśla jednak, że te dwie edycje Jaty, które się odbyły, nie poszły na marne. Po pierwsze, Jednostka Wojskowa Komandosów i Agat zyskały nowych żołnierzy. Po drugie, została opracowana cała metodyka, która może się przydać w przyszłości.

„Wierzę, że nasza praca jeszcze się przyda. Program szkolenia jest sprawdzony i mamy przygotowaną kadrę do zajęć z cywilami. A co ważniejsze, udowodniliśmy, że przygotowywanie ich ma sens. Jeśli zapadnie decyzja o kolejnych kursach, my będziemy gotowi”, podkreśla komendant Ośrodka Szkolenia Wojsk Specjalnych. ■

GLOBALNE ROZWIĄZANIA PATRIOT®

SKUTECZNE DZIŚ.

GOTOWE NA WYZWANIA JUTRA.

Raytheon dostarczy Polsce baterie Patriot zgodnie z wymaganiami i ze znaczącym udziałem polskiego przemysłu. Patriot, stanowiący najnowocześniejszą na świecie, sprawdzoną w boju obronę przeciwlotniczą i przeciwrakietową, ewoluuje wraz z nowo pojawiającymi się zagrożeniami, gwarantując bezpieczeństwo 16 państwom po umiarkowanych kosztach.



Raytheon.com/Poland



Raytheon

MOC LEOPARDÓW

Z Dariuszem Parylakiem

o modernizacji czołgów Leopard 2A4 oraz rozwoju 10 Brygady Kawalerii Pancernej po otrzymaniu nowego sprzętu rozmawia Bogusław Politowski.

KATARZYNA SAWICKA/10 BKPanc

Modernizacja leopardów to przedsięwzięcie na dużą skalę. Czy rzutuje na gotowość bojową brygady?

To wieloletni program, który został zaplanowany z uwzględnieniem zachowania gotowości bojowej oddziału i całej dywizji. Sprzęt trafia do modernizacji według ustalonego harmonogramu, po powrocie do brygady zmodernizowanych czołgów do zakładów oddamy kolejne.

Sześć czołgów w wersji Leopard 2PL trafi do was jeszcze w tym roku.

Tyle potrzeba, żeby rozpocząć szkolenie załóg. Wozy te nie trafią do pododdziałów, tylko w pierwszej kolejności do Ośrodka Szkolenia Leopard, gdzie pod okiem instruktorów członkowie załóg będą się uczyli pracy na nowym sprzęcie. Później będą się zgrywali w składzie załóg i plutonów. Planujemy, że do połowy 2019 roku będziemy mieli już jedną kompanię wyposażoną w nowe wozy i przygotowaną do wykonywania zadań.

Powstanie nowy batalion wyposażony w spolonizowane leopardy?

Nowe wozy będą wprowadzone i do pierwszego, i do drugiego batalionu. Drugi zostanie w ten sposób reakty-

wowany. Po dwóch latach 10 Brygada Kawalerii Pancernej będzie miała dwa dobrze wyposażone bataliony pancerne.

Co z załogami wozów, które już trafiły do modernizacji? Chyba nie wysłaliście ich na tak długie urlopy?

Załogi tych wozów na dwa lata skierowaliśmy do służby w 34 Brygadzie Kawalerii Pancernej. Żołnierze przesiedli się na czołgi Leopard 2A5, bo od dawna byli szkoleni na obu typach wozów. Dzięki temu została zachowana zdolność bojowa 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej. Gdy do Świętoszowa powrócą czołgi po modernizacji, to załogi też sukcesywnie będą wracać do jednostki. Ich miejsce w 34 BKPanc zajmą nowi żołnierze, którzy rozpoczną swą przygodę z czołgami.

Czy w brygadzie powstały już programy szkoleniowe dla pododdziałów wyposażonych w ten sprzęt?

Przygotowujemy je, nie czekamy na wytyczne, bo jeśli chodzi o system Leopard, to my dyktujemy tempo i sposób szkolenia pododdziałów pancernych. Jesteśmy pomysłodawcami tego systemu, mamy własny ośrodek szkolenia, więc definiujemy zdolności, potrzeby i sposoby tego szkolenia. W pierwszej kolejności w nowym programie znajdują się zajęcia w ośrodku Leopard, przeznaczonym w głównej

WIZYTÓWKA

GEN. BRYG.
DARIUSZ PARYLAK

Do 3 sierpnia 2018 roku był dowódcą 10 Brygady Kawalerii Pancernej w Świętoszowie. Obecnie jest zastępcą dowódcy 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej w Żaganiu. ■

mierze właśnie do indywidualnego przeszkolenia poszczególnych specjalistów, a następnie wspólnego zgrywania – w składach załóg. Další etap, w pododdziałach, nie wymaga wielu modyfikacji.

Instruktorzy ośrodka powinni zacząć się szkolić na nowym sprzęcie lada chwila...

Mamy już przygotowany dwuczęściowy program. Pierwszy etap szkolenia rozpoczyna się we wrześniu, a drugi w październiku, u producenta sprzętu, w miejscu, gdzie została przeprowadzona modernizacja pierwszych kilku czołgów. Ponadto jeszcze w tym roku do naszego ośrodka powinny trafić pierwsze symulatory i narzędzia do spolonizowanego sprzętu.

Co zostanie zmodernizowane w nowych wozach?

W wersji PL zmieni się ochrona balistyczna wieży, dzięki której zwiększy się bezpieczeństwo załóg oraz żywotność maszyn na polu walki. Nowe systemy poprawią zakres obserwacji w różnych kierunkach. Będzie ją można prowadzić na znacznie większe odległości niż dotąd, bez względu na porę dnia, warunki terenowe i atmosferyczne. Jeżeli nasza załoga będzie mogła wykryć cel wcześniej, niż znajdzie ją przeciwnik, to zyska olbrzymią przewagę w walce. To czas na dobór rodzaju amunicji i precyzyjne kierowanie ogniem. Jego celność poprawi zaś nowy system stabilizacji armaty.

Zmiana ta łączy się z wprowadzeniem do tego typu czołgów nowej amunicji. Nowej, czyli jakiej?

Skuteczniejszej, mającej większą siłę rażenia i zdolność przebijania pancerzy, bo czołg jest środkiem walki ofensywnej. Amunicji umożliwiającej skuteczne rażenie z odległości większej niż dotąd. Chodzi o to, abyśmy mogli podjąć walkę z przeciwnikiem z takiego dystansu, z jakiego on nie będzie w stanie tego zrobić. O tym, jak bardzo jest to ważne, można było się przekonać, obserwując pancerne potyczki Amerykanów z żołnierzami Saddama. Irakijczycy byli bez szans ze względu na brak możliwości prowadzenia ognia z dużych odległości. Mówimy także o amunicji odłamkowo-burzącej programowalnej. Załoga będzie mogła ustalać, w jakiej odległości ma eksplodować pocisk, który odłamkami może razić żołnierzy przeciwnika.

Pierwsza partia wozów jest modernizowana u producenta, w Niemczech. Pozostałe czołgi przejdą lifting w krajowych zakładach. Nie obawia się Pan, że jakość tych pierwszych będzie różniła się od pozostałych?

Nie ma podstaw do takich obaw. Program został tak pomyślany, że w ciągu kilku lat od otrzymania nowych wozów będą one objęte specjalnym nadzorem. Każda niedoskonałość zauważona w trakcie eksploatacji zostanie przez nas zgłoszona, aby zakłady zbrojeniowe mogły ją usunąć. I z pewnością w trakcie różnych ćwiczeń wyjdzie coś, co będzie należało zmodyfikować.

Nic nie wskazuje na to, aby zmodernizowana wersja leopardów została wyposażona w system zarządzania polem walki BMS.

Nie umiem na to odpowiedzieć. Jako praktyk uważam, że w naszej armii w każdej jednostce operacyjnej powinna zostać szybko wprowadzona platforma techniczna możliwa do zastosowania we wszystkich środkach walki. Zamontowanie w leopardach urządzeń takiego systemu nie jest wielkim przedsięwzięciem.

Zmodernizowana wersja leoparda będzie cięższa o prawie 5 t, co jest pewnym utrudnieniem dla wozów zabezpieczenia technicznego Bergepanzer 2 w wypadku holowania. Czy planuje się ich modernizację?

Nie mam takiej wiedzy, ale jako użytkownik tego sprzętu uważam, że powinno to nastąpić jak najszybciej. Postulat ten dotyczy nie tylko wozów zabezpieczenia technicznego. Modernizacji lub wymiany wymaga też system mostów towarzyszących Biber, które mają nośność do 50 t z możliwością jedynie krótkotrwałego obciążenia masą do 60 t. To za mało dla brygady w czasie działań taktycznych.

Kończy Pan dowodzenie 10 Brygadą Kawalerii Pancernej, więc nie będzie Panu dane przyjąć pierwszych czołgów po modernizacji, do której Pan je skierował...

Dowódca jednostki nie zawsze może brać udział w finale programu czy projektu, który zapoczątkował. Jako zastępca dowódcy 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej nie stracę kontaktu z brygadą i leopardami. Nadal będę bardzo zainteresowany programem „Leopard” oraz efektem modernizacji.

Rozwój 10 Brygady Kawalerii Pancernej związany jest nie tylko z tym programem. Jednostka bierze udział także w kilku innych projektach. Tutaj mają trafić pierwsze nowe bojowe wozy piechoty, armatohaubice Krab, systemy przeciwlotnicze, samobieżne moździerze Rak i nowe wozy dowodzenia. Za kilka lat będzie to najsilniejsza jednostka bojowa w tej części Europy. To dla mnie wielki zaszczyt, że przez blisko dwa lata mogłem być jej dowódcą. ■

MICHAŁ ZIELIŃSKI

NIC NIE MOŻE NAS ZASKOCZYĆ

Akrobacje wykonywane przez pilotów wojskowych potrafią zachwycić nie tylko miłośników lotnictwa. Podczas obserwacji pokazów lotniczych warto zastanowić się nad tym, w jakim stopniu program odzwierciedla prawdziwe pole walki.

Podczas Air Show w Radomiu można podziwiać jedno z najśłynniejszych samolotów wojskowych świata. Piloci na oczach widowni wykonują spektakularne manewry, prezentując przy tym możliwości maszyny oraz własne umiejętności. Jeśli chodzi o nowoczesne myśliwce lub śmigłowce, to ich osiągi mają

drugorzędne znaczenie. O ile jeszcze kilkadziesiąt lat temu zwycięstwo w walce powietrznej zależało przede wszystkim od kunsztu pilota, o tyle w dobie niezwykle precyzyjnych radarów i autonomicznego uzbrojenia dużo ważniejsze jest opanowanie systemów pokładowych. Nie jest jednak tak, że pokazy lotnicze są oderwane od co- ➔





PRZELOT NA POKAZACH ZAWIERA W SOBIE WSZYSTKIE NAJTRUDNIEJ- SZE FIGURY BOJOWE

dziennej służby pilotów. „Mój pokaz to połączenie manewrów, które wykonujemy podczas walk powietrznych na krótkich dystansach. Zdarza się, że musimy rozpoznać cel wzrokowo. Wtedy odległość do celu jest tak mała, że pozostaje nam dogfight”, tłumaczy por. pil. Rafał Pinkowski z 22 Bazy Lotnictwa Taktycznego, który podczas pokazów lata jako solista. Wszystkie prezentowane przez niego manewry wchodzi w skład bojowego programu szkoleniowego. Przelot wyróżnia się niuansami. „Każdy z nas jest w stanie zrobić ten pokaz. Kwestią otwartą pozostaje sposób, w jaki to robi – czy zachowa większy margines bezpieczeństwa, czy robi to na tyle dynamicznie, że będzie to bardzo efektowne dla publiczności”.

Por. Pinkowski zaznacza, że niezależnie od rodzaju lotu, za każdym razem stara się wykorzystywać 100% swoich umiejętności. Podobnie sytuacja wygląda w wypadku ograniczeń eksploatacyjnych maszyny. „Na granicznych parametrach mam największe osiągi, ale zarazem pozostawia to najmniejszy margines bezpieczeństwa. Najtrudniejsze jest to, że na pokazach wszystko dzieje się na bardzo małej wysokości. Mam jedynie ułamek sekundy, by naprawić ewentualny błąd”. Przelot na pokazach zawiera w sobie wszystkie najtrudniejsze figury bojowe. Pilot nie kryje, że dzięki ich wielokrotnemu przećwiczeniu lepiej wyczuwa maszynę. Nie musi poświęcać tyle uwagi na odczytywanie parametrów, zwiększa się także zasób jego energii. Jeżeli zatem kiedykolwiek w powietrzu spotka się z przeciwnikiem dysponującym podobnym myśliwcem i porównywalnymi umiejętnościami, najprawdopodobniej jego doświadczenie z pokazów zapewni mu przewagę.

Dodatkowym atutem jest również przygotowanie kondycyjne. „Dużo biegam oraz trenuję na siłowni. Dzięki temu mogę więcej znieść w powietrzu, pokaz się zawęży, a ja jestem coraz bliżej publiki”, dodaje por. Pinkowski. Sam MiG-29 wykorzystywany do pokazów solowych różni się od standardowej maszyny jedynie tym, że ma pusty zbiornik podwieszany, dzięki czemu samolot jest lżejszy, bardziej manewrowy i od początku może latać z maksymalnym przeciążeniem 9G.

ŻYCIE MA NAJWIĘKSZĄ WARTOŚĆ

O ile piloci nowoczesnych myśliwców starają się zachować jak największy dystans między samolotem a celem, o tyle w wypadku śmigłowców bojowych taka taktyka nie zawsze okazuje się efektywna. Piloci Mi-24 często wcho-



Mjr pil. Dominik „Zippity” Duda:
 „W czasie lotu demonstracyjnego wykonuję figury, które mają na celu zaprezentowanie manewrowości samolotu. Wymagają one skupienia i pomimo że lot trwa kilka minut, kosztują sporo wysiłku. Przeciężenia robią swoje”.

dzą w bezpośredni kontakt z przeciwnikiem. Prezentację tego typu zadań można zobaczyć podczas pokazu kpt. Przemysława Bielawskiego oraz kpt. Mariusza Królika. „Jednym z przykładów jest nurkowanie do minimalnej wysokości, wykonanie ataku na cel naziemny i odejście w lewo bądź prawo wraz z nabieraniem wysokości. Wszystkie te elementy mają zastosowanie bojowe, aczkolwiek na pokazie są one zaplanowane i przećwiczone. Wykorzystujemy przy tym w pełni możliwości naszego śmigłowca, co oznacza maksymalną prędkość, przechylenie oraz pochylenie”, wyjaśnia kpt. Bielawski.

Program prezentowany przez pilotów z 56 Bazy Lotniczej w Inowrocławiu obejmuje także loty synchroniczne, podczas których śmigłowce lecą w odstępach poniżej 50 m. Taki przelot jest bardzo efektowny, ale od pilota

drugiego śmigłowca wymaga dużej koncentracji na prowadzącym. W praktyce oznacza to, że mniej uwagi może on poświęcać obserwacji ziemi oraz przestrzeni powietrznej, co podczas walki może okazać się kluczowe. W wypadku awarii lub zestrzelenia pierwszego śmigłowca pozostaje także mniej czasu na reakcję, co z kolei grozi uszkodzeniem obu maszyn. „Ze względu na doświadczenia zebrane na misjach oraz zaczerpnięte od kolegów z armii sojuszników, zmieniliśmy taktykę. Teraz w czasie ataku jeden śmigłowiec zostaje z tyłu i osłania prowadzącego. Odstęp wynosi zwykle około 200–300 m. Ale wszystko zależy od sytuacji, dlatego ćwiczymy również strzelanie w zwartym szyku”, wyjaśnia kpt. Bielawski i zaznacza, że wraz ze zmianą taktyki modyfikacji uległ także ich program na Air Show. ➔

Obecnie znacznie więcej elementów pokazu prezentowanych jest przez jeden śmigłowiec.

Ze względu na realia panujące na polu walki, podczas lotów bojowych piloci dostosowują manewry do potrzeb. Jednocześnie każdy tego typu lot w pewnym zakresie jest improwizacją. W sytuacjach kryzysowych doświadczony pilot może wycisnąć z maszyny znacznie więcej, niż przewidują zakładane ograniczenia. W trakcie pokazów takie zachowanie nie może mieć miejsca. Wszystkie przeloty muszą w pełni odpowiadać uprawnieniom pilotów, parametrom granicznym statków powietrznych oraz warunkom atmosferycznym. Ze względu na bezpieczeństwo ludzi na ziemi są one traktowane dużo bardziej restrykcyjnie niż w czasie zadań bojowych.

„Organizatorzy muszą poszerzyć margines bezpieczeństwa. W lotach bojowych przed misją zawsze szacujemy ryzyko. Jeżeli mamy zniszczyć obiekt, to sprawdzamy, czy pozwalają na to warunki pogodowe i czy ewentualnie możemy poczekać kilka godzin. Inaczej sytuacja wygląda na przykład podczas osłony ewakuacji rannych z pola walki lub ich transportu pomiędzy bazami. Życie ludzkie ma największą wartość, dlatego jeżeli wszyscy członkowie załogi zgodzą się na lot w warunkach przekraczających te dopuszczalne, dowódca załogi może podjąć taką decyzję”.

Większe ograniczenia w czasie pokazów nie wykluczają jednak silnych emocji. Pilotom zależy na tym, żeby ich program został wykonany perfekcyjnie i doceniony przez publiczność. Nie towarzyszy im jednak stres związany z nieprzewidywalnością lotów bojowych. „W locie pokazowym wszystko jest ustalone. Na misjach bojowych musimy zdawać sobie sprawę z tego, że w każdej chwili może nas zaatakować przeciwnik. Na zagrożenia trzeba reagować na bieżąco”, podkreśla kpt. Bielawski.

PRZECIĄŻENIA ROBIA SVOJE

Siłą F-16 są nie tylko znakomite osiągi, lecz także możliwości awioniki, zamontowanego na pokładzie radaru oraz uzbrojenia. Pilot musi potrafić połączyć w całość wszystkie te elementy, co zapewnia mu przewagę w powietrzu i w razie potrzeby czyni z niego skuteczną broń. „Właśnie z tych względów latanie na pokazach różni się diametralnie od bojowego. W czasie lotu demonstracyjne-



DOBRE WYSZKOŁONY PILOT BOJOWY BĘDZIE ZAWSZE DYSPONOWAŁ UMIEJĘTNOŚCIAMI POTRZEBNYMI DO TEGO, ŻEBY ZOSTAĆ DOBRYM PILOTEM POKAZOWYM

go wykonują figury, które mają na celu zaprezentowanie manewrowości samolotu. Wymagają one skupienia i pomimo że lot trwa kilka minut, kosztują sporo wysiłku. Przeciążenia robią swoje”. Mjr pil. Dominik „Zippity” Duda z F-16 Tiger Demo Team stwierdza, że jego lot pokazowy można porównać do typowej walki powietrznej jeden na jeden. Z tą różnicą, że zaplanowane figury wykonuje względem punktu centralnego pokazu, a nie samolotu, który ma zestrzelić.

Prawdziwe loty bojowe są znacznie bardziej złożone. Pilot musi perfekcyjnie znać nie tylko możliwości samolotu, lecz także obowiązujące go procedury oraz taktykę sił sojuszniczych i przeciwnika. Zarazem najczęściej lata w ugrupowaniu, co wymaga ścisłej współpracy z innymi lotnikami. Jest to tym trudniejsze, że zadania zwykle wykonuje się w formacji międzynarodowej. Istotne róż-

nice można zauważyć także w wypadku uzbrojenia. „Konfiguracja na pokazy to zaledwie dwa pociski rakietowe typu AIM-120, dodatkowe zbiorniki i trochę flar. F-16 może zabrać pod swoje skrzydła znacznie więcej. Przygotowanie do misji bojowej wymaga skonfigurowania samolotu pod kątem postawionego zadania. Inne uzbrojenie wybiera się, lecąc na misję typu powietrze-powietrze, a nieco inne wykonując zadanie związane z niszczeniem celów naziemnych”, wylicza mjr Duda.

Tym, co łączy loty bojowe z pokazami lotniczymi, jest niewielki margines bezpieczeństwa, który w wypadku błędu pilota może oznaczać jego śmierć. Między innymi dlatego, aby zostać pilotem demonstracyjnym F-16, trzeba spełnić odpowiednie warunki. Przed przystąpieniem do przeszkolenia należy być aktywnym pilotem bojowym ze statusem „combat ready”, legitymującym się uprawnieniami do dowodzenia minimum czterema samolotami lub licencją instruktora. Dodatkowo nalot na jastrzębiu nie może być mniejszy niż 600 godzin. W praktyce oznacza to, że dobrze wyszkolony pilot bojowy będzie zawsze dysponował umiejętnościami potrzebnymi do tego, żeby zostać dobrym pilotem pokazowym. „Jesteśmy przede wszystkim pilotami bojowymi i staramy się profesjonalnie wykonywać postawione przed nami zadania. Rozdzielamy świat pokazów od codziennych obowiązków. Ale na pewno latanie w ramach Tiger Demo Team w tym nie przeszkadza”, podsumowuje „Zippity”. ■



JEDNODNIÓWKI HISTORYCZNE

stylizowana seria edukacyjna



POZNAJCIE
Z NAMI SPECYFIKĘ
SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻ-
NYCH JEDNOSTKACH POLSKIE-
GO WOJSKA. W CYKLU „WOJSKO
OD KULIS” PRZECZYTACIE O MA-
RYNARZACH, PILOTACH, LOGI-
STYKACH, ARTYLERZYSTACH,
PRZECIWŁOTNIKACH CZY
CHEMIKACH.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

STRAŻNICY PÓŁNOCY

Tutaj czuć ducha zespołu – oficerowie
zachwalają służbę w szczecińskim
korpusie wielonarodowym.





ARCHIWUM WK P W

Na pierwszy rzut oka trudno dostrzec zmiany, które nastąpiły od mojej ostatniej wizyty w Wielonarodowym Korpusie Północno-Wschodnim. Od bramy prowadzi w głąb jednostki ta sama Odra Street. Zanim dotrę do sztabu, przechodzę obok Brukseli, Warszawy, Berlina i Kopenhagi – każdy budynek na terenie korpusu ma niecodzienną nazwę. Mijam jednak znacznie więcej wojskowych w mundurach różnych armii niż przed miesiącami.

Przez ostatnie trzy lata liczba żołnierzy w korpusie wzrosła dwukrotnie. „Teraz nasz sztab składa się z ponad 400 osób. Trudno tak jak dawniej rozpoznać w stołówce każdą twarz”, mówi niemiecki wojskowy, ppłk Ulrich Pfuetzenreuter, gdy wspomina służbę w Szczecinie w latach 2010–2012. Był wówczas w wydziale operacyjnym. Do korpusu wrócił latem 2017 roku, a teraz jest szefem Oddziału Kształtowania Polityki Korpusu Zarządu J5. „Dziś mam poczucie, że znajduję się w centrum działań politycznych Europy”, mówi. Zadania korpusu są teraz o wiele bardziej skomplikowane. Szybsze jest także tempo ich wdrażania. „Gdy tworzymy scenariusze ćwiczeń, opieramy się na prawdziwych danych, bo informacje czerpiemy z naszego otoczenia”, mówi ppłk Ulrich Pfuetzenreuter.

NIEZASTĄPIONE DOŚWIADCZENIA

Dla jednych oficerów służba tutaj jest kolejnym szczeblem w karierze, dla innych jej zwieńczeniem, ale dla wszystkich cennym doświadczeniem, które daje szersze spojrzenie na sprawy bezpieczeństwa w regionie. „Jesteśmy gotowi 24 godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu, aby odpowiedzieć na jakiekolwiek wrogie działania zagrożające bezpieczeństwu obywateli Polski, Litwy, Łotwy i Estonii”, zapewnia gen. Manfred Hofmann, dowódca Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego. We wrześniu, po 44 latach służby żegna się z korpusem i odchodzi na emeryturę. Na stanowisku dowódcy, zgodnie z obowiązującą zasadą rotacji (zmiana na stanowiskach dowódczych następuje co trzy lata), zastąpi go Polak – gen. broni Sławomir Wojciechowski.

Na barkach dowódcy szczecińskiej jednostki będzie spoczywać obrona całej wschodniej flanki sojuszu. Gen. Hofmann wspomina, że gdy w 2015 roku dostał z ministerstwa obrony propozycję dowodzenia Wielonarodowym Korpusem Północno-Wschodnim, uznał to za wyzwanie. Miał doświadczenie w międzynarodowej służbie, bo poprzednio był m.in. szefem sztabu na misji „Althea” w kwaterze EUFOR w Sarajewie. Zadania, które wówczas otrzymał (zwiększenie gotowości bojowej korpusu, dowodzenie tzw. szpicą NATO) odbiegały jednak od tych wykonywanych dotychczas. Płk Henrik Søbakke Fischer również służy w Szczecinie od trzech lat, ocenia, że był to





TRZY PYTANIA DO

Manfreda Hofmanna

Na czym polega specyfika jednostki, którą Pan dowodzi?

Wielonarodowy Korpus Północno-Wschodni jest wyjątkową jednostką, gdyż reprezentowane jest w nim niemal całe NATO – w Szczecinie służą przedstawiciele 24 państw natowskich oraz Szwecji i Finlandii, krajów partnerskich sojuszu. Jesteśmy jedną z dziewięciu oficjalnie certyfikowanych kwater sił gotowości NATO w Europie, ale jako jedyni mamy zdefiniowany obszar operacyjny. Jesteśmy gotowi do natychmiastowego dowodzenia zarówno oddziałami stacjonującymi na wschodniej flance, jak i Siłami Odpowiedzi NATO, w tym tzw. szpicą,

a zatem do przejęcia odpowiedzialności za prowadzenie wszystkich operacji lądowych sojuszu w rejonie Morza Bałtyckiego.

Jak można zostać żołnierzem korpusu?

Żołnierze, którzy chcą dołączyć do korpusu, muszą spełniać wymagania określone w opisie danego stanowiska. W czasie pokoju obowiązek obsadzenia poszczególnych etatów spoczywa na państwie, które wysyła żołnierza. Opracowuje ono odpowiednie procedury i określa warunki, które musi spełniać kandydat na stanowisko w korpusie, a potem monitoruje sytuację personelu, gdyż ze względu na

status jednostki wysokiej gotowości ponad 90% stanowisk musi być obsadzone. Teraz mamy około 400 żołnierzy, którzy służą od kilku miesięcy do kilku lat.

Jakie wymagania stawia Pan kandydatom?

Mają być świetnie wykształconymi wysokiej klasy fachowcami w swojej dziedzinie. Muszą znać na bardzo wysokim poziomie język angielski, którym posługujemy się w korpusie, oraz międzynarodowe regulacje i procedury, z których korzystamy. ■

Gen. MANFRED HOFMANN jest dowódcą Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego w Szczecinie



ciekawym czasem, bo korpus stał się jednostką wysokiej gotowości. „Mogłem uczestniczyć w tym procesie przekształceń”, podkreśla.

Dziś gen. Hofmann ma poczucie dobrze spełnionego obowiązku, a „każdy żołnierz w korpusie włożył ogromny wysiłek, aby osiągnąć założone cele”. Na pytanie, dlaczego rola tej jednostki jest tak ważna w zapewnieniu bezpieczeństwa na wschodniej flance, generał odpowiada krótko: „Od czerwca 2017 roku jesteśmy dowództwem sił wysokiej gotowości. Monitorujemy sytuację w Europie Środkowej i Północnej. Jesteśmy gotowi do przejęcia odpowiedzialności za prowadzenie wszystkich operacji lądowych sojuszu w rejonie Morza Bałtyckiego”. Generał podkre-

śla jednak, że na co dzień najważniejsze są manewry, gdyż żołnierze różnych narodowości muszą działać według takich samych procedur.

Zgadza się z nim ppłk Henrik Søbakk Fischer, szef Oddziału Operacyjnego w Zarządzie Logistyki J4. Bez jego udziału nie odbyłyby się żadne ćwiczenia. „Dowódca podejmuje decyzję o przerzucie wojsk. Moim zadaniem jest zagwarantowanie, aby porty, lotniska i drogi były do tego przygotowane, a na miejscu zapewnione amunicja, żywność oraz opieka zdrowotna. Gdy rozpoczynają się ćwiczenia, 95% mojej pracy jest już wykonane”, opowiada. Jako logistyk blisko współpracuje z jednostkami integracji sił NATO (NATO Force Integration Units – NFIU),



ARCHIWUM WKPW (3)

GDY TWORZYMYS SCENARIUSZE ĆWICZEŃ, OPIERAMY SIĘ NA PRAWDZIWYCH DANYCH, BO INFORMACJE CZERPIEMY Z NASZEGO OTOCZENIA

które są łącznikiem między sojuszem a państwami, na terenie których się znajdują. To dzięki codziennym telefonicznym konsultacjom z kolegami z NFIU, organizowanym raz w miesiącu wideokonferencjom oraz odbywającym się dwa razy w roku seminariom, na których omawiane są wyzwania logistyczne, podczas ćwiczeń wszystko działa jak w zegarku.

WŁAŚCIWI LUDZIE

Płk Frank Ennen ma „tylko” 34 lata służby za sobą i nie wybiera się na emeryturę, choć jak mówi, nadszedł czas, aby po blisko dekadzie pobytu poza Niemcami wrócić w strukturę rodzimej armii. W korpusie już służył w latach 2012–2015 – jako szef Oddziału Kształtowania Polityki Korpusu w Zarządzie G5 współpracował z państwami ra-

mowymi (Polska, Niemcy i Dania). Był wówczas odpowiedzialny za przygotowanie nowej struktury jednostki, o której zdecydowano w 2014 roku na szczycie NATO w Walii. Można powiedzieć o nim: właściwy człowiek na właściwym miejscu, bo świetnie zna realia flanki wschodniej. W latach 2005–2007 studiował w Akademii Obrony Narodowej w Warszawie, a od 2009 do 2012 roku był oficerem łącznikowym Bundeswehry.

„Każdy dzień przynosi nowe wyzwania”, tak płk Ennen mówi o swojej pracy w korpusie. Dni służby wypełniają ćwiczenia, spotkania, konferencje, przegląd analiz z think tanków oraz informacji z portali, a także mediów społecznościowych. Płk Ennen nie tylko doradza dowódcy, lecz także towarzyszy mu w podróżach służbowych. Bez wątpienia wniósł spory wkład w transformację jednostki. Aby





WIELONARODOWY KORPUS PÓŁNOCNO- WSCHODNI

Historia korpusu sięga roku 1997, kiedy ministrowie obrony z Danii, Niemiec i Polski uzgodnili utworzenie wspólnej jednostki. Dwa lata później państwa założycielskie wciągnęły flagi na maszty w szczecińskich koszarach. Powołanie korpusu poprzedziło podpisanie porozumienia w Gre-

ifswaldzie o współpracy wojskowej pomiędzy 12 Dywizją Zmechanizowaną, duńską Jutlandzką Dywizją Zmechanizowaną i 14 Niemiecką Dywizją Grenadierów Pancernych. Stanowiły one trzon nowej jednostki.

Korpus ma własne godło. Jego niebieskie tło wskazuje na związek z so-

juszem północnoatlantyckim. Trzy fale odnoszą się do Morza Bałtyckiego, łączącego kraje założycielskie. Siły zbrojne reprezentowane są przez trzy miecze, które symbolizują wspólną odpowiedzialność za obronę. Gryf zaś wskazuje na powiązanie korpusu ze Szczecinem. ■

te przekształcenia zakończyły się sukcesem, konieczne było zaangażowanie oficerów służących w poszczególnych wydziałach.

Jednym z nich był Oddział Kształtowania Polityki Korpusu w Zarządzie J5, w którym służą oficerowie z Polski, Belgii, Holandii, Francji, Niemiec, Danii, USA i Estonii. „Jesteśmy jednym z najbardziej międzynarodowych zespołów”, mówi ppłk Pfuetzenreuter. Podlegli mu oficerowie utrzymują kontakty z sześcioma jednostkami sił integracji NATO, wielonarodowymi batalionowymi grupami bojowymi rozmieszczonymi w Polsce, Estonii, na Litwie i Łotwie w ramach tzw. wzmocnionej wysuniętej obecności, z Wielonarodową Dywizją Północny Wschód w Elblągu, z Naczelnym Dowództwem Sił Sojuszniczych Europa w Mons, z kwaterą główną NATO w Brukseli oraz z trzema stolicami państw ramowych korpusu.

W odpowiedzi na pytanie, jak w praktyce wygląda współpraca z NFIU, ppłk Pfuetzenreuter opisuje przygotowywanie wytycznych dla tych jednostek: „Są one dla nas kluczowe przy przerzucie wojsk w rejon kryzysu lub konfliktu. Współpracują z różnymi organizacjami rządowymi i pozarządowymi, pozyskują informacje dotyczące systemu prawnego danego państwa. To praca sztabowa wykonywa-

na przy biurku, ale bez niej nie zostałyby przygotowane bocznice kolejowe, porty morskie i lotnicze oraz drogi”. Pułkownik zwraca uwagę na to, jak ważna jest wymiana informacji. Dlatego do szczecińskiej kwatery przyjeżdżają dziennikarze, politycy, generałowie, dowódcy różnych jednostek. „Od czasu do czasu musimy się spotkać osobiście, żeby podzielić się doświadczeniem i wnioskami. Nie wszystko da się załatwić e-mailem czy rozkazem”, tłumaczy gen. Hofmann.

W wielonarodowym środowisku korpusu powoli odnajduje się chor. Kainar Kruus. Do Szczecina przyjechał kilka tygodni temu z Estonii. Służy w Zarządzie Planowania Operacyjnego J3/5 i wspiera oficerów łącznikowych z jednostek podległych korpusowi. „Przesyłam im informacje i aktualizacje różnych dokumentów. Jeżeli np. podczas planowanych ćwiczeń nie można wykorzystać miejscowego lotniska, taka wiadomość musi dotrzeć do odpowiednich osób”, tłumaczy.

W Estonii chorąży był członkiem sekcji operacyjnej w dowództwie sił obrony. Uważa, że miał przygotowanie do służby w korpusie, bo uczestniczył w cotygodniowych telekonferencjach z estońskim NFIU. „Praca w wielonarodowej jednostce to wyzwanie. W Estonii miałem kontakt



PRZEZ OSTATNIE TRZY LATA LICZBA ŻOŁNIERZY W KORPUSIE WZROSŁA DWUKROTNIE

wstało główne stanowisko dowodzenia. Ustawiono tam kilkadziesiąt namiotów i kontenery z komputerami, które zapewniały łączność. Ulokowano w tym miejscu także oddziały zabezpieczenia z obroną przeciwlotniczą i przeciwhemiczną, urządzenia do uzdatniania wody, kontenery z generatorami energii i punkt medyczny. Takie stanowisko dowodzenia żołnierze korpusu mogą wybudować w warunkach bojowych w ciągu siedmiu dni. „Takie ćwiczenia jak »Saber Strike '17« pomagają eliminować słabe punkty i zwiększają zdolność do współdziałania jednostek z różnych państw. Pozwalają nam także zdiagnozować trudności we współdziałaniu między jednostkami z różnych krajów i natychmiast znaleźć rozwiązanie”, mówi gen. Hofmann.

głównie z Amerykanami i Brytyjczykami. W Szczecinie żołnierze noszą różne mundury i w odmienny sposób patrzą na wiele spraw, choć mają wspólny cel. Dla mnie jest to ciekawe doświadczenie”, mówi chor. Kainar Kruus.

O burzy mózgów podczas dyskusji, których efektem są ulepszone procedury czy uaktualnione dokumenty natowskie, opowiada ppłk Grzegorz Parol. W korpusie służy od jesieni 2016 roku, jest szefem oddziału zajmującego się targetowaniem. „Przez lata dowodziłem pododdziałami artylerii na różnych szczeblach. Teraz przesiadłem się za biurko, co sprawiło, że patrzę na wojsko z innej perspektywy”, wyjaśnia. W skład zespołu, którym kieruje podpułkownik, wchodzi dwóch duńskich żołnierzy i jeden niemiecki. Czym się zajmują? „Doradzamy dowódcy. Mamy także udział w przeprowadzanym co trzy lata procesie dostosowania natowskich dokumentów do nowych warunków”, mówi ppłk Grzegorz Parol. Jak wyjaśnia, chodzi o wydarzenia za naszą wschodnią granicą: „Wiemy, że licho nie śpi, co zmusza nas do aktualizacji dokumentów określających procedury NATO na wypadek wojny lub konfliktu”.

Za jedno z ciekawszych i trudniejszych ćwiczeń dowódczo-sztabowych ppłk Parol uważa „Saber Strike '17”. W Szczecinie na potrzeby dowodzenia siłami sojuszu po-

NIEKOŃCZĄCE SIĘ WYZWANIA

Żaden z oficerów nie powiedział wprost: „jestem dumny z tego, że służę w korpusie”. Takie poczucie przebijało jednak w relacjach żołnierzy. Ppłk Grzegorz Parol przypomniał słowa gen. broni Darryla A. Williamsa, stojącego na czele Dowództwa Komponentu Wojsk Lądowych NATO w Izmirze, który na zakończenie ćwiczeń „Saber Strike '17” ocenił, że kwatera w Szczecinie jest wzorcem działania dla pozostałych dziewięciu korpusów. Szczecińską jednostkę mogą czekać kolejne wyzwania. Polski rząd zabiega o to, aby korpus stał się natowskim dowództwem szczebla operacyjnego. Decyzja w tej sprawie ma zapaść jesienią. „Jesteśmy gotowi do przejęcia zadań, które zostałyby nam powierzone”, zapewnia gen. Hofmann. Szczecińska jednostka musi pozostać strażnikiem bezpieczeństwa w regionie. Kolejnym testem będą ćwiczenia „Anakonda '18”.

„Czas spędzony w korpusie oceniam jako intensywny, ale interesujący. Byłem częścią ważnych zmian w nim zachodzących, a stanowisko doradcy do spraw politycznych pozwoliło mi na wykorzystanie innych umiejętności niż te typowo sztabowe czy wojskowe. Z zainteresowaniem będę śledził dalszy rozwój korpusu”, mówi płk Frank Ennen. ■

PAULINA GLIŃSKA

Legia wzywa

Pierwsi żołnierze Legii Akademickiej ukończyli szkolenie wojskowe i jako kaprale zasilili rezerwy sił zbrojnych.



Pięćdziesiąt dziewięć szkół wyższych z całego kraju wzięło udział w pilotażowym programie resortu obrony „Legia Akademicka”, skierowanym do ochotników, którzy w trakcie studiów chcą przejść wojskowe przeszkolenie. Pierwsza, teoretyczna część zajęć odbywała się na uczelniach. W wykładach uczestniczyło niemal 5 tys. studentów. Na szkolenie praktyczne, prowadzone w jednostkach i centrach szkolenia, zgłosiło się 3,3 tys. osób, w tym 1,2 tys. kobiet.

WAKACJE Z WOJSKIEM

Cześć studentów trafiła m.in. do Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki w Zegrzu (CSŁiI). „Pierwszy turnus praktyczny rozpoczęliśmy 1 lipca 2018 roku. Stało się u nas 158 ochotników”, mówi kpt. Krzysztof Baran, oficer prasowy zegrzyńskiego centrum. Najpierw przeszli 21-dniowe szkolenie podstawowe, podczas którego uczyli się musztry, strzelania i taktyki, a także poznawali zagadnienia z terenoznawstwa czy ratownictwa. „Byłem zaskoczony. Ale nie tylko ja. Musieliśmy się szybko dostosować do wojskowego życia w koszarach, do intensywności zajęć, dyscypliny i napiętego harmonogramu dnia. Żeby zdążyć na pobudkę o 5.30, trzeba było wstawać o 4.50”, wspomina Jakub Widomski, student piątego roku prawa na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Jakub Pyśk dodaje: „Spodziewałem się, że moduł podstawowy tak właśnie będzie wyglądał: duży wysiłek, czołganie, strzelanie. Największym zaskoczeniem było dla mnie to, jak szeroką wiedzę trzeba mieć już na tym

najniższym poziomie szkolenia. W ciągu czterech lat studiów nie uczyłem się tak intensywnie, jak przez te sześć tygodni”, mówi student piątego roku na kierunku bezpieczeństwo narodowe w Akademii Sztuki Wojennej.

Nie wszystkim odpowiadało takie tempo zajęć. „Ci, którzy zrezygnowali w pierwszych dniach szkolenia, stwierdzali, że ich wyobrażenia o armii minęły się z rzeczywistością. Niektórzy być może źle zrozumieli ideę Legii Akademickiej. Myśleli, że to coś w rodzaju obozu survivalowego. Tymczasem tak nie jest”, mówi mjr Marek Liszewski, komendant Ośrodka Szkolenia Podstawowego CSŁiI w Zegrzu.

Zdarzało się też, że niektórzy nie byli w stanie podołać ogromnemu wysiłkowi fizycznemu i obciążeniu psychicznemu. Mjr Liszewski przyznaje, że w porównaniu z ochotnikami służby przygotowawczej studenci mieli o wiele trudniej. Program Legii Akademickiej, choć zawiera podobne zagadnienia, jest bardziej skondensowany i składa się przede wszystkim z praktyki.

„Szkolenie podstawowe w służbie przygotowawczej trwa niemal trzy miesiące. Ochotnicy zaczynają od teorii, mają sporo czasu na aklimatyzację, krótszy dzień szkoleniowy oraz wolne soboty. Studenci natomiast już trzeciego dnia wyszli w teren i na strzelnicę. Właściwie od razu zostali wdrożeni w tryb 11-godzinnego dnia zajęć od poniedziałku do piątku i dodatkowych sześciu godzin szkolenia w soboty. Niektórzy uznali, że to dla nich zbyt dużo. Dodatkowo dały się im we znaki panujące w tym czasie upały”, mówi major.

„Owszem, zdarzyło się, że myślałem o zrezygnowaniu, ale od razu tłumaczyłem sobie: »Łukasz, zgłosiłeś



MARCIN SOCHON (2)

Porozumienie w sprawie uruchomienia pilotażowej edycji programu zostało podpisane przez Ministerstwo Obrony Narodowej i Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego pod koniec sierpnia 2017 roku. W tym samym roku na kilkudziesięciu uczelniach w całej Polsce ruszyły pierwsze, teoretyczne zajęcia dla studentów. 30 godzin wykładów poświęcono m.in. strukturze i wyposażeniu armii, wojskowym regulaminom, teoretycznym podstawom taktyki i strzelania.

STUDENCI PIERWSZEGO TURNUSU SĄ JUŻ PO EGZAMINACH. WYKŁADOWCY PODKRE- ŚLAJĄ, ŻE ZASKOCZYLI ICH **OGROMNĄ DETERMINACJĄ I ZAANGAŻOWANIEM**

się na ochotnika. Zaciśnij zęby, dasz radę». Paradoksalnie pomogło to, że mieliśmy intensywne szkolenie. Nie było czasu na zastanawianie się», mówi Łukasz Kurowski, student trzeciego roku logistyki na Politechnice Białostockiej. W sumie w trakcie modułu podstawowego zrezygnowało 31 osób, 127 zaś zakończyło go egzaminem i uzyskaniem stopnia starszego szeregowego.

Nie dla wszystkich jednak był to koniec pobytu w armii. 81 ochotników wyraziło chęć dalszego szkolenia w ramach modułu

podoficerskiego. „Studenci wcielali się w rolę dowódców najniższego szczebla, czyli drużyny, i uczyli się prowadzenia zajęć z taktyki czy strzelania», dodaje major. Wykładowcy podkreślają, że młodzi ludzie zaskoczyli ich ogromną determinacją i zaangażowaniem. Wielu przejawiało predyspozycje dowódcze. „Dopytywali o różne rzeczy, cały czas pogłębiali swoją wiedzę, nie trzeba ich było dodatkowo motywować. Po prostu chcieli się szkolić» mówi mjr Liszewski.

TRZEBA ROBIĆ SVOJE

Nie zniechęcały ich też niepochlebne komentarze, jakie na portalach społecznościowych publikowali przeciwnicy programu. Wytykano, że w ciągu sześciu tygodni z nikogo nie da się zrobić żołnierza. „Ważne jest, by pamiętać, że w Legii Akademickiej nie przygotowujemy zawodowców. Korzystamy z jedynej dla nas w tej chwili możliwości, by się przeszkolić. Chodzi o to, żeby w razie powołania do wojska wiedzieć, co robić. Tak czy inaczej, zapewniam, że było to trudne, intensywne szkolenie», mówi Jakub Pyśk.

Podobnego zdania jest Maja Wojtach, studentka czwartego roku pedagogiki resocjalizacyjnej w Akademii Pedagogiki Specjalnej. „Na studiach przyzwyczailiśmy się do siedzenia w auli, notowania, do dłuższych przerw. Jesteśmy tam panami swojego losu i czasu. Tu natomiast był rygor, trzeba było się trzymać harmonogramu dnia. Nauczyłam się, że nie ma złej pogody na szkolenie. Deszcz czy słońce, trzeba zrobić swoje», mówi Maja.

Jakub Pyśk zauważa, że o trudności szkolenia świadczą m.in. liczby: „Wystarczy spojrzeć, ilu nas zaczęło, a ilu skończyło. Ja czuję ogromną satysfakcję. Na zawsze zapamiętam jeden z pierwszych dni zajęć, gdy poszliśmy na plac ćwiczeń, a tam strzelanie, bieganie, non stop wysiłek i adrenalina. Po powrocie do koszar czułem się jak wrak. Do tego stopnia, że wzięcie prysznica było nie lada wyzwaniem. I chociaż potem wszyscy w izbie leżeliśmy plackiem i nie mieliśmy siły nawet rozmawiać, to na naszych twarzach widać było uśmiechy od ucha do ucha».

Szkolenie studentów jest pilotażowe, więc po jego zakończeniu przedstawiciele



Ministerstwa Obrony Narodowej będą analizować wnioski i rozważać sugestie zmian. Pierwsze uwagi już się pojawiły. „Być może warto pomyśleć o tym, aby część teoretyczna, którą studenci przechodzili na swoich uczelniach, była bardziej weryfikowalna, realizowana także w formie e-learningu. To pozwoliłoby instruktorowi mieć pewność, że każdy przerobił ten sam materiał. Teraz były bowiem różnice w wiedzy ochotników”, mówi major.

Swoje wnioski przedstawiają też studenci. „Uważam, że można wydłużyć czas szkolenia w obu modułach”, mówi Łukasz Kurowski. Wtórują mu koledzy. „Ogrom nowych rzeczy do nauczenia, cegła w postaci metodyki to naprawdę dużo, jak na tak krótki okres. Chcielibyśmy mieć więcej czasu na doskonalenie, szlifowanie nowych umiejętności, na poukładanie w głowie całej zdobytej wiedzy. Wiadomo, że trening czyni mistrza”, mówi Jakub Pyśk.

POWIEKSZĄ REZERWY

Na razie studenci pierwszego turnusu są już po egzaminach. Jako kaprale zasilili rezerwy polskiej armii. Czy jeszcze kiedykolwiek włożą mundur? „Trudno nam to ocenić, choć większość osób z pierwszego turnusu nie deklarowała chęci zostania żołnierzem zawodowym. Wielu z nich przyszło ze świadomością, że po szkoleniu powiększą rezerwy armii. Chcieli skorzystać z możliwości przeszkolenia po to, by w razie konieczności wzięcia broni do ręki, być do tego przygotowanym. Na pewno jednak każdy z nich ma uchyloną furtkę do wojska”, mówi mjr Liszewski. Jakub Widomski, którego do udziału w programie skłoniła m.in. ciekawość wojska, mówi, że na razie nie jest zainteresowany służbą. „Ale może kiedyś połączę kierunek studiów z mundurem? Może zostanę wojskowym radcą prawnym, może prokuratorem? Tak czy inaczej, szkolenie uważam za bardzo przydatne”.

Jednym z tych, którzy planują związać swą przyszłość z mundurem, jest Łukasz Kurowski. „Najpierw byłem w klasie mundurowej, a przy wyborze kierunku studiów brałem pod uwagę taki, który byłby przydatny w armii. Z tym wiąże swoją przyszłość”, mówi mężczyzna. Żołnierzem zawodowym chce też zostać Jakub Pyśk: „Moim marzeniem jest czerwony beret. Mam nadzieję, że udział w Legii pomoże mi je spełnić”. Szkolenie wpłynęło na plany Mai Wojtach: „Od wielu lat widzę siebie w mundurze. Jeszcze do niedawna miałam jednak zamiar zająć się resocjalizacją w więzienictwie. Tak bardzo spodobało mi się jednak w wojsku, że już nie widzę dla siebie innej drogi. Chcę wstąpić do armii”.

EWA KORSĄK

ZEW syreny

**Portal społecznościowy dla
krwiodawców ma pomóc w skutecznym
reagowaniu na apele o krew.**

Ile razy w sieci widziałem prośbę o oddanie krwi dla chorego dziecka czy dorosłego wraz z numerem telefonu, sprawdzałem jej wiarygodność w prosty sposób: wrzucałem numer w wyszukiwarce. W stu przypadkach na sto apel okazał się oszustwem, a za połączenie telefoniczne trzeba było słono zapłacić”, mówi Łukasz Sikora, były żołnierz Jednostki Wojskowej Komandosów, ratownik medyczny. Ostrożność wobec internetowych zbiorów krwi zaleca też st. sierż. Robert Kowalewski, prezes Klubu Honorowych Dawców Krwi Legion. Dodaje, że nie tylko trzeba sprawdzić informację, lecz warto także pamiętać o tym, że aby oddać krew dla konkretnej osoby, trzeba to zrobić w pobliżu miejsca jej leczenia.

POMAGAĆ SKUTECZNIE

Odpowiadanie na apele o krew ma ułatwić Portal Legion, na którym w marcu 2018 roku powstał pewnego rodzaju miniportal społecznościowy dla krwiodawców – Syrena Legionu (SYstem REagowania Na Apele o krew). Można na nim także umieścić ogłoszenie o zbiórce krwi. Każdy taki apel jest dokładnie weryfikowany. „Sprawdzamy nie tylko, czy osoba potrzebująca krwi w ogóle istnieje, ale też czy w danym miejscu leczenia rzeczywiście brakuje krwi z danej grupy”, wyjaśnia Kowalewski.

Co sprawia, że system Syrena Legionu jest skuteczny? Jeżeli okaże się, że pomocy potrzebuje osoba z grupą krwi 0 Rh-, przebywająca w szpitalu w Legionowie, krwiodawcy, którzy mieszkają lub przebywają w okolicy

i mają odpowiednią grupę krwi, zostaną powiadomieni o apelu e-mailem lub SMS-em. Jeśli natomiast krwi potrzebuje mieszkaniec danego osiedla, zostaną o tym poinformowani jego sąsiedzi – krwiodawcy zarejestrowani na portalu. Jednym słowem system łączy osoby potrzebujące z krwiodawcami, ale to nie wszystko. „Gdy w danym centrum krwiodawstwa i krwiolecznictwa zabraknie krwi konkretnej grupy, możemy skierować odpowiednich użytkowników Syreny do tej placówki, by można było uzupełnić braki”, dodaje st. sierż. Kowalewski.

KRWIODAWCY ONLINE

Na razie Syrena Legionu jest rozbudowywana w powiecie legionowskim. „Od września dołączy do nas powiat nowodvorski. Chcemy jednak rozwijać tę ideę w miejscach, gdzie działa Klub Legion oraz tam gdzie ideę krwiodawstwa krzewią inne kluby”, informuje prezes HDK Legion. Do tej pory w Syrenie zarejestrowało się niemal 1400 krwiodawców – żołnierzy i cywilów. Wśród nich jest również Łukasz Sikora. „Ufam apelom, które

oddanej krwi i jej składników oraz sygnalizuje, gdy dawca może oddać ją po raz kolejny”, wyjaśnia prezes HDK Legion. Na swoim koncie użytkownicy mogą również wprowadzać informacje na temat otrzymanych odznaczeń HDK, opisywać swoje osiągnięcia i działania na rzecz krwiodawstwa. „Wkrótce uruchomimy kolejne funkcje, wśród nich: automatyczne obliczanie ulgi od podatku za oddaną krew, pokazywanie ilości krwi potrzebnej do uzyskania odznak i odznaczeń w krwiodawstwie oraz możliwość złożenia wniosku o odznaczenie Serce Legionu. Ta ostatnia opcja przeznaczona będzie wy-

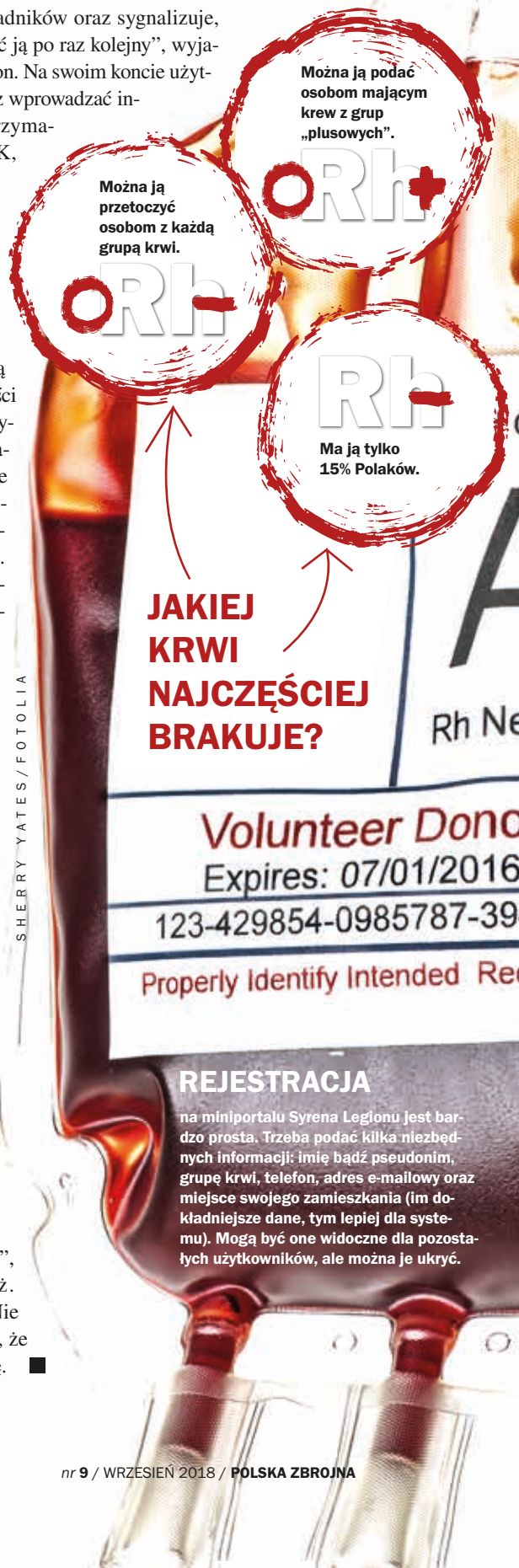
SYRENĘ STWORZYLI ŻOŁNIERZE Z KLUBU HONOROWYCH DAWCÓW KRWI LEGION

wychodzą z klubów honorowych krwiodawców, nie muszę sam niczego weryfikować. Ostatnio oddałem krew, odpowiadając na taki apel. Okazało się później, że pomocy potrzebowała siostrzenica mojego kolegi”, mówi Sikora. „W Syrenie też już się zarejestrowałem i trzymam kciuki, żeby ten pomysł wypalił”, dodaje były komandos, który zauważa, że portal społecznościowy dla krwiodawców to również dobre miejsce do nawiązania znajomości. „Przyznaję, że nie bywam na spotkaniach dla krwiodawców, nie wiem nawet, czy takie są organizowane. Fajnie, że można poznać tych ludzi w sieci”, przyznaje Sikora.

Do tej pory uruchomiono 70% funkcji typowych dla mediów społecznościowych. Dodatkowo można na przykład wprowadzić datę ostatniej donacji krwi. „System automatycznie oblicza ilość

łącznie dla członków Klubu Legion”, mówi Kowalewski.

Do tej pory alarm Syreny nie został uruchomiony. „Działamy zbyt krótko i na niewielkim terenie. By system się sprawdził, potrzebujemy więcej zarejestrowanych krwiodawców”, podkreśla st. sierż. Robert Kowalewski. Nie ukrywa, że liczy na to, że obejmie on całą Polskę. ■



REJESTRACJA

na miniportalu Syrena Legionu jest bardzo prosta. Trzeba podać kilka niezbędnych informacji: imię bądź pseudonim, grupę krwi, telefon, adres e-mailowy oraz miejsce swojego zamieszkania (im dokładniejsze dane, tym lepiej dla systemu). Mogą być one widoczne dla pozostałych użytkowników, ale można je ukryć.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Walka o bicie serca

Ranny żołnierz powinien trafić na stół operacyjny w ciągu godziny. W praktyce jednak o jego przeżyciu może decydować każda sekunda.

Obrażenia żołnierzy są poważne – od amputacji kończyn po urazowe uszkodzenia mózgu.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Wśród odgłosów wystrzałów słychać krzyki wołających o pomoc rannych żołnierzy. Do akcji wkraczają medycy. Wiedzą, że najcięższe obrażenia odnieśli ci, którzy nie wydają żadnych dźwięków. To oni w pierwszej kolejności potrzebują pomocy i im najtrudniej będzie jej udzielić. Według statystyk na polu walki najczęściej umiera się w wyniku masywnych krwotoków, odmy opłucnowej oraz niedrożności dróg oddechowych. Świadomość, że od tempa działania oraz podejmowanych decyzji zależy ludzkie życie, wiąże się z ogromną presją. Wojskowi medycy dodatkowo muszą mierzyć się z sytuacją na polu walki oraz świadomością, że ratują swoich kolegów.

Pomimo ekstremalnie trudnych warunków trzeba zachować zimną krew. Protokół TC3 (Tactical Combat Casualty Care), opisujący sposób postępowania na polu walki, jasno określa, że najpierw trzeba zadbać o własne bezpieczeństwo. Jeżeli ranny żołnierz jest zdolny do udzielenia sobie pomocy, powinien odciążyć medyków. W tym czasie oni mogą skupić się na stabilizacji najciężej poszkodowanych. W tamowaniu krwotoków pomagają stazy taktyczne, opatrunki uciskowe oraz hemostatyczne, w wypadku odmy specjalne igły, którymi nakłuwa się klatkę piersiową. Ratownicy dysponują także rurkami nosowo-gardłowymi do udrażniania dróg oddechowych i zestawem ampułkostrzykawek.

WYŚCIG ZE ŚMIERCIA

„Nic mi nie jest, ratujcie jego! Moskwa!”. Jeden żołnierz próbuje wyrwać się ratownikom. Błędny wzrok i nieracjonalne, chaotyczne zachowanie wskazują na to, że jest w szoku. Jego stan jest zagrożeniem dla pozostałych żołnierzy z pododdziału, dlatego medycy muszą pacjenta rozbroić i obezwładnić. Pomagają w tym leki uspokajające, które każdy z walczących ma w wyposażeniu osobistym (indywidualnym). Po ich podaniu nad żołnierzem przez cały czas czuwa ktoś z drużyny. Medycy równocześnie walczą z upływającym czasem. W najbardziej optymistycznym wariantcie na pracę mają dziesięć minut – by wyeliminować czynniki będące przyczyną zgonu na polu walki. Po tym czasie wszyscy pacjenci powinni być przygotowani do ewakuacji. Obrażenia żołnierzy są poważne – wielu doznało amputacji kończyn oraz urazowych uszkodzeń mózgu. Klatka piersiowa jednego z nieprzytomnych wydeła się do nieproporcjonalnie wielkich rozmiarów. To on będzie ewakuowany jako pierwszy.

Triazowanie, czyli decydowanie o kolejności udzielania pomocy oraz ewakuacji, należy do najtrudniejszych i zarazem najbardziej niewdzięcznych zadań. Wyborów tych dokonuje się nie tylko na podstawie stanu rannego. Ratownik musi brać pod uwagę sprzęt, jakim dysponuje oraz to, czy w ogóle jest w stanie pomóc ofierze. Czas poświęcony na śmiertelnie rannego może okazać się krytyczny dla tych, których mógłby uratować.

Na niebie pojawia się śmigłowiec Powietrznej Jednostki Ewakuacji Medycznej. Dzięki informacjom przekazanym w meldunku MEDEVAC (tzw. 9-liner) piloci W3 Sokół znają nie tylko sytuację taktyczną oraz miejsce pobytu rannych, lecz także ich liczbę oraz stan. W tym czasie znajdujący się na pokładzie ratownik, lekarz oraz pielęgniarka przygotowują się do przyjęcia pacjenta. Pomaga im w tym meldunek MIST, który określa mechanizm urazu, odniesione rany, objawy, parametry życiowe, leczenie zastosowane u poszkodowanych.

W skrajnie trudnych sytuacjach ranny może zostać podebrany z ziemi za pomocą dźwigu pokładowego.

Tym razem pilot decyduje o lądowaniu maszyny. Błyskawicznie przyziemia na oznaczonym świecami dymnymi lądowisku. Dosłownie kilka sekund po tym, jak koła Mi-17 dotykają gruntu, z maszyny wybiega ratownik medyczny, który w bezpiecznej odległości przejmuje rannego. Bazując na wiedzy medyków z zaatakowanego pododdziału oraz własnym doświadczeniu, weryfikuje informacje, które otrzymał wcześniej. Przypadek jest bardzo ciężki – po zranieniu odłamkami żołnierz ma odmę oraz krwotok wewnętrzny w obrębie jamy brzusznej. Żeby przeżyć, musi niezwłocznie trafić na stół operacyjny.

Akcja odbywa się błyskawicznie, bo w okolicy wciąż przebywają wrogie siły. Po chwili śmigłowiec z rannym odlatuje. Na pokładzie maszyny trwa walka o jego życie, a w tym czasie piloci muszą dostosować parametry lotu do stanu zdrowia transportowanego pacjenta. Gwałtowne zmiany wysokości niosą ze sobą zmiany ciśnienia, które w wypadku odmy opłucnowej oraz krwotoków mogą okazać się śmiertelne. Jednocześnie maszyna musi nie tylko w jak najkrótszym czasie dotrzeć do szpitala polowego, ale także uniknąć ostrzału.

CHODZĄCY BANK KRWI

Ze względu na ciężki stan żołnierz trafia bezpośrednio do placówki zabezpieczenia medycznego poziomu dru-



BADANIE NIE ZAJMUJE WIĘCEJ NIŻ DWIE MINUTY. PO POTWIERDZENIU DIAGNOZY MEDYCY MOGĄ ZDECYDOWAĆ O PODJĘCIU BARDZIEJ ZAAWANSOWANYCH ZABIEGÓW RATUJĄCYCH ŻYCIE



giego. Tam są sala operacyjna, oddział intensywnej terapii oraz wyposażenie, pozwalające zarówno na zdiagnozowanie stanu pacjenta, jak i rozpoczęcie leczenia. Jest to możliwe przede wszystkim dzięki wykwalifikowanemu personelowi, w tym chirurgom o różnych specjalizacjach, anestezjologom oraz internistom.

Na jednym z łóżek znajdujących się w namiocie przyjęć rannego momentalnie otacza zespół urazowy, tzw. trauma team. Każdy specjalista ma z góry przydzielone zadanie. Dowódca nadzoruje prace i podejmuje decyzje o leczeniu. Pierwszy z medyków odpowiada za głowę oraz drogi oddechowe. Kolejnym członkiem zespołu jest tzw. prawa ręka, osoba, która zakłada dostęp dożylny. U najcięższych rannych pacjentów może dojść do wstrząsu, podczas którego zapadną się naczynia żyłne. Wtedy włączenie się w nie będzie niemożliwe, dlatego trzeba się śpieszyć. W tym czasie „lewa ręka” zakłada aparaturę potrzebną do monitorowania parametrów życiowych. Dzięki niej lekarze nadzorują m.in. pracę serca, saturację krwi oraz ciśnienie tętnicze.

Całe badanie nie zajmuje więcej niż dwie minuty. Po potwierdzeniu diagnozy medycy mogą zdecydować o podjęciu bardziej zaawansowanych zabiegów ratujących życie. Mają do dyspozycji defibrylator umożliwiający kardiowersję i elektrostymulację serca oraz specjalistyczny sprzęt do szybkiego przetaczania płynów. Urządzenie to pozwala podać do 450 ml krwi na minutę.

W tym czasie żołnierze włączeni w system chodzących banków krwi (walking blood

banks) dostają wiadomość o sytuacji kryzysowej. Lekarze mogą wręcz kierować swoje zapotrzebowanie do konkretnych osób. Po zweryfikowaniu pobranych dawek pod kątem czynników patogennych, krew jest gotowa do przetoczenia. Tymczasem specjaliści stwierdzają, że pacjent nie przeżyje transportu do znajdującej się kilkadziesiąt kilometrów dalej kliniki i zapada decyzja o natychmiastowej operacji.

SCENARIUSZE NA ZAPAS

Opisana sytuacja to jeden ze scenariuszy ćwiczonych podczas „Military Doctor '18”. W ciągu sześciu dni spędzonych na poligonie w Jeżewie podchorążowie z Wydziału Wojskowo-Lekarskiego Uniwersytetu Medycznego w Łodzi zdobywali praktyczne doświadczenie z medycyny pola walki. Nad ich pracą czuwali instruktorzy z Wojskowego Centrum Kształcenia Medycznego. Jednym z nich jest st. chor. sztab. Leszek Świerczyński, który służył jako ratownik medyczny na IX zmianie PKW Afganistan.

„W warunkach bojowych jest inna presja. Tutaj nie ma ostrzału, podczas którego nie można odejść od rannych. Mimo to staramy się jak najwierniej odwzorować te ekstremalne realia”. Chorąży podkreśla, że sprawdzenie wiedzy lekarskiej podchorążych w praktyce to ważny i trudny etap. „Ćwiczenia te przygotowują ich do pracy na szpitalnych oddziałach ratunkowych, a później na misjach. Jestem pewien, że przypomną tam sobie przećwiczone tutaj scenariusze”.

Tekst powstał dzięki pomocy specjalistów: płk. Zbigniewa Aszkielańca, mjr. Wojciecha Stańcaka, por. Anity Podlasin i st. chor. sztab. Leszka Świerczyńskiego z Wojskowego Centrum Kształcenia Medycznego w Łodzi oraz kpt. pil. Marcina Krakowiaka i plut. Pawła Pecny z Powietrznej Jednostki Ewakuacji Medycznej w Nowym Glinniku.

ST. CHOR. SZTAB. JERZY OSIPOWICZ



Data i miejsce urodzenia:

14 marca 1970 roku,
Wałcz.

Tradycje wojskowe:

dziadek walczył
w armii gen. Andersa.

W wojsku

służy od:
1990 roku.

Zajmowane stanowisko:

dowódca plutonu
remontu pojazdów
kołowych w 7 Brygadzie
Obrony Wybrzeża
w Słupsku.

EDUKACJA WOJSKOWA:

Szkoła Chorążych Służby Czołgowo-Samochodowej w Pile.

NAJLEPSZA BRON:

niezawodny AK-47.

MISJE I ĆWICZENIA:

brałem udział w wielu ćwiczeniach wojskowych,
m.in. „Anakonda”, ale na misji jeszcze nie służyłem.

PRZEŁOMOWE WYDARZENIE W ŻYCIU:

zmiana jednostki wojskowej z 2 Brygady Zmechanizowanej
na 7 BOW i przeprowadzka do Słupska.

MOJE NAJWIĘKSZE OSIĄGNIĘCIE:

zdobycie tytułu najlepszego dowódcy plutonu
wśród podoficerów 12 Dywizji Zmechanizowanej w 2013 roku.

CO ROBIĘ PO SŁUŻBIE:

oddaję się swojej pasji, czyli wędkarstwu karpowemu.

GDYBYM MÓGŁ ZMIEŃIĆ COŚ W WOJSKU

przywróciłbym logistykę wykonawczą w jednostkach,
którą teraz zajmują się wojskowe oddziały gospodarcze.



**ZOSTAŁEM ŻOŁNIERZEM, BO: JUŻ
JAKO DZIECKO CHCIAŁEM BYĆ
ŻOŁNIERZEM LUB POLICJANTEM.**

HOBBY:



wędkarstwo



motoryzacja



podróże

OPRACOWAŁA MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK
FOT. ARCH. JERZEGO OSIPOWICZA



Jacek Łagiewka



Dlaczego zostałem krwiodawcą?

Po raz pierwszy oddałem krew w 1997 roku. Byłem wówczas uczniem technikum samochodowego w Stargardzie. Pewnego dnia zastanawialiśmy się z kolegami, jak się urwać z lekcji. Ktoś rzucił pomysł: idziemy oddać krew. Delegacja klasy udała się do dyrektora szkoły i przedstawiła naszą „bohaterską inicjatywę”. Pomysł został przyjęty entuzjastycznie i do stacji krwiodawstwa wybrała się cała klasa. Tak rozpoczęła się moja przygoda z krwiodawstwem. Wówczas ominęło nas kilka godzin lekcyjnych, ale cel był szczytny. Dziś mam za sobą ponad 20 lat oddawania krwi i ponad 50 donacji.

MICHAŁ NIWICZ

W 2011 roku w jednej z gablot w sali tradycji w 2 Stargardzkim Batalionie Saperów znalazła się odznaka „Zasłużony HDK III stopnia”, którą jednostka dostała w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Jestem krwiodawcą, podobnie jak wielu moich kolegów w mundurach, nic za-

tem dziwnego, że zainspirowała nas ona do reaktywacji ruchu HDK w naszej jednostce. Pomysł zyskał przychylność dowódcy i do Stargardu wrócił ruch wojskowego krwiodawstwa.

W tym roku mija pięć lat od powołania wojskowego Klubu HDK PCK Saper przy 2 Stargardzkim Batalionie Saperów. Dziś w naszych szeregach jest ponad 70 członków z całego garnizonu Stargard, czyli np. z 12 Brygady Zmechanizowanej, 2 Batalionu Saperów czy Brygady Wsparcia Dowodzenia WKPW. Na terenie jednostek wojskowych w naszym mieście zorganizowaliśmy ponad 30 akcji, w których krew oddało około tysiąca dawców w mundurach. W 2017 roku klub został wyróżniony pamiątkowym ryngrafem od dyrektora Wojskowego Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa w Warszawie oraz Odznaką Honorową PCK IV stopnia przez Zarząd Główny Polskiego Czerwonego Krzyża. Teraz staliśmy się mocną, rozpoznawalną marką w garnizonie. Ja czasami jestem zaskoczony tym, że nasza idea dociera do tak szerokiego grona osób. MSCH

HONOROWY
KRWIODAWCA

**SIERŻ. JACEK
ŁAGIEWKA**

**Służba: 2 Stargardzki Batalion
Saperów**

- krwiodawca od 1997 roku
- oddał 23 l krwi
- prezes Klubu HDK PCK Saper

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych.

Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

ŻOŁNIERZ FREELANCEREM

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU z 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 56 ust. 1–5; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie wykonywania pracy zarobkowej lub prowadzenia działalności gospodarczej przez żołnierzy zawodowych z 7 października 2009 roku (DzU nr 176 poz. 1366) – § 2.

Orzecznictwo: wyrok Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego z siedzibą w Gorzowie Wielkopolskim z 25 listopada 2009 roku, II SA/GO 676/09.

Ustawa o podatku dochodowym od osób fizycznych (art. 10 ust. 1 oraz art. 44 ust. 1c, 1d, 1f) dopuszcza możliwość wykonania pracy na podstawie umowy o dzieło bez zakładania działalności gospodarczej. Czy o zgodę na podjęcie takiej pracy trzeba prosić dowódcę jednostki? Jeżeli tak, to co powinno takie pismo zawierać?

➔ Freelancer, tzw. wolny strzelec, to osoba pracująca bez etatu, wykonująca projekty na zlecenie, najczęściej specjalizująca się w danej dziedzinie. Zgodnie z 56 ust. 1 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (...) **żołnierzowi zawodowemu nie wolno podejmować pracy zarobkowej i prowadzić działalności gospodarczej.** Za pracę zarobkową uważa się pracę świadczoną osobiście: w ramach stosunku pracy; na podstawie innego tytułu, jeżeli praca jest wykonywana przez okres dłuższy niż jeden miesiąc. Dowódca jednostki wojskowej, w której żołnierz zawodowy zajmuje stanowisko służbowe, może zezwolić mu na wykonywanie pracy zarobkowej lub prowadzenie działalności gospodarczej, jeżeli: nie koliduje to z wykonywaniem zadań służbowych; wpływa to na podwyższenie jego kwalifikacji; nie narusza jego prestiżu; prowadzona działalność gospodarcza lub działalność podmiotu, u którego będzie świadczona praca, nie dotyczy wyrobów, o których mowa w przepisach w sprawie kla-

syfikacji wyrobów obronnych oraz dostaw, robót budowlanych i usług, przeznaczonych na zamówienie jednostek wojskowych (art. 56 ust. 3 ustawy). Dodatkowe zastrzeżenia określają szczegółowo art. 56 ust. 3a i 3b ustawy.

Pamiętać jednak należy, że dowódca jednostki wojskowej w wypadku naruszenia warunków, o których mowa w ust. 3, może cofnąć zezwolenie na wykonywanie pracy zarobkowej lub prowadzenie działalności gospodarczej. Zgoda ma charakter fakultatywny i nie nakłada na właściwy organ wojskowy obowiązku wydania pozytywnej decyzji, nawet w wypadku spełnienia wszystkich wymienionych przesłanek. Decydujące w tej mierze jest dobro służby.

Odpowiedni wniosek w tej sprawie zawiera: nazwę pracodawcy, dla którego żołnierz będzie wykonywał pracę, i adres jego siedziby, podstawę wykonywanej pracy (w ramach stosunku pracy lub na podstawie innego tytułu), miejsce, okres, na jaki pracodawca zamierza zawrzeć umowę o pracę lub umowę na podstawie innego tytułu, wymiar czasu pracy, jej charakter oraz termin rozpoczęcia. Szczegółowe warunki i tryb postępowania w sprawie pracy zarobkowej lub prowadzenia działalności gospodarczej przez żołnierzy zawodowych reguluje rozporządzenie MON z 7 października 2009 roku.

ROBERT KŁOSIŃSKI

Kancelaria Radcy Prawnego Egida

KŁOPOTLIWY WF?

Na misji w Kosowie uległem wypadkowi. Terenowa wojskowa komisja lekarska orzekła, że jestem zdolny do służby wojskowej – nadano mi kategorię zdolny z ograniczeniami (Z/O). Jednocześnie w orzeczeniu napisano, że mogę zdawać egzamin tylko z dwóch konkurencji w czasie rocznego sprawdzianu fizycznego.

W rozporządzeniu ministra obrony narodowej z 12 lutego 2012 roku napisano, że „warunkiem otrzymania oceny pozytywnej ze sprawdzianu sprawności fizycznej jest uzyskanie przez żołnierza zawodowego co najmniej trzech ocen pozytywnych ze zdawanych ćwiczeń, bez względu na to, czy posiada kategorię Z czy kategorię Z/O”. Czy w takiej sytuacji muszę podchodzić do tego egzaminu, czy mogę być z niego całkowicie zwolniony? Czy całkowite zwolnienie nie będzie miało wpływu na roczne opiniowanie żołnierzy zawodowych? Jeżeli mogę być całkowicie zwolniony ze sprawdzianu fizycznego, to gdzie taka informacja powinna się ukazać? W rozkazie?

→ Informacja o żołnierzach zawodowych zwolnionych z egzaminu ze sprawności fizycznej powinna się ukazać w rozkazie dziennym dowódcy jednostki wojskowej.

Zgodnie z art. 50a ust. 2 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (...) żołnierz zawodowy jest poddawany w roku kalendarzowym rocznemu sprawdzianowi sprawności fizycznej. Jednocześnie ust. 3 powyższego przepisu stanowi, że może on zostać zwolniony ze sprawdzianu sprawności fi-

zycznej w danym roku kalendarzowym z przyczyn zdrowotnych, a kobieta również w okresie ciąży lub karmienia dziecka piersią. Osoba, która z przyczyn służbowych lub z powodu zwolnienia lekarskiego nie przystąpiła do sprawdzianu w czasie określonym w ust. 1, podlega mu po ustaniu przyczyny niemożności jego odbycia w terminie ustalonym przez dowódcę jednostki wojskowej, nie później jednak niż do końca danego roku kalendarzowego.

Dokumenty stanowiące podstawę zwolnienia ze sprawdzianu sprawności fizycznej żołnierza zawodowy przedstawia dowódcy jednostki wojskowej nie później niż w ciągu siedmiu dni od dnia ich wystawienia. Ten zaś przyczynę zwolnienia ogłasza w rozkazie dziennym jednostki wojskowej. O tym, czy żołnierz może zostać zwolniony całkowicie ze zdawania egzaminu ze sprawności fizycznej, decyduje lekarz lub właściwa wojskowa komisja lekarska. Mając na uwadze to, że dotychczasowe zwolnienie (ograniczenia zdrowotne) zostało orzeczone kilka lat wstecz, sugeruję skierowanie żołnierza ponownie do właściwej rejonowej komisji lekarskiej w celu orzeczenia o potrzebie udzielenia określonych ulg w służbie, wśród których znajdzie się również zwolnienie ze zdawania egzaminów ze sprawności fizycznej. Zwolnienie powinno dotyczyć całości z egzaminu, aby uniknąć sytuacji, w której podczas testów dojdzie do pogorszenia się stanu zdrowia żołnierza. Odpowiedzialność cywilną za to ponosi bowiem dowódca jednostki wojskowej.

ROBERT KŁOSIŃSKI

Kancelaria Radcy Prawnego Egida

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU z 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 50a ust. 2, art. 50a ust. 6 pkt 3); rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie przeprowadzania sprawdzianu sprawności fizycznej żołnierzy zawodowych z 12 lutego 2010 roku (DzU nr 27 poz. 138), tekst jednolity z dnia 5 maja 2014 roku (DzU z 2014 poz. 848) – § 3 ust. 3, § 10 ust. 1 i 2.

Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej” mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

NA WOKANDZIE

100% UPOSAŻENIA

**O tym, czy niezdolność żołnierza do pracy
ma związek ze służbą, może zdecydować
m.in. lekarz wystawiający L-4.**

Sprawa dotyczyła byłego żołnierza zawodowego, który uznał, że jego niezdolność do pracy od 22 lipca 2014 roku do 4 marca 2015 roku pozostawała w związku z wypadkiem na służbie. Zwrócił się on z pisemnym wnioskiem do dowódcy jednostki o wypłatę potrąconej w tym okresie kwoty stanowiącej 20% należnego uposażenia. Dowódca jednostki odmówił, bo uznał, że z przedłożonych przez wnioskodawcę dokumentów nie wynika, aby korzystanie ze zwolnień lekarskich w ww. okresie miało związek z wypadkiem i rozpoznaniem wówczas skręceniem prawego stawu kolanowego. Tego samego zdania był organ drugiej instancji, do którego zainteresowany złożył odwołanie. Wskazał, że zgodnie z przepisami w okresie przebywania na zwolnieniu lekarskim żołnierz zawodowy dostaje 80% uposażenia. Jeśli zwolnienie lekarskie obejmuje okres, w którym żołnierz zawodowy jest zwolniony od zajęć służbowych z powodu wypadku pozostającego w związku z pełnieniem służby, wtedy dopiero zachowuje on prawo do 100% uposażenia.

Sprawa trafiła na wokandę Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Szczecinie, który uchylił zaskarżoną decyzję (sprawa o sygn. akt. II SA/Sz 304/18) i wskazał, że organ, do którego wpłynął wniosek żołnierza zawodowego o zwrot kwot potrąconych z uposażenia, nie jest władny do samodzielnego ustalania okoliczności istotnych do ich zwrotu.

Ocena, czy niezdolność do pracy została spowodowana wypadkiem przy pracy, należy

do lekarza wystawiającego zwolnienie lekarskie. Ewentualnie taka informacja może również zostać zawarta w orzeczeniu wojskowej komisji lekarskiej. Organ nie ma natomiast uprawnień do samodzielnej oceny dokumentacji medycznej i jest nią związany, co oznacza, że nie może wydać rozstrzygnięcia wbrew jej treści. Tym samym powinien skierować wnioskodawcę do właściwej komisji lekarskiej, aby ta uzupełniła informacje medyczne, niezbędne do wydania decyzji w sprawie. Wyrok jest nieprawomocny.

ROBERT KŁOSIŃSKI

Kancelaria Radcy Prawnego Egidia

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU z 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 5 ust. 2 pkt 1, art. 89a ust. 3; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie orzekania o zdolności do zawodowej służby wojskowej oraz właściwości i trybu postępowania wojskowych komisji lekarskich w tych sprawach z 3 czerwca 2015 roku (DzU z 2015 poz. 761 z późn. zm.).

Źródło: <http://orzeczenia.nsa.gov.pl/cbo/query>

Orzecznictwo: por. wyrok Naczelnego Sądu Administracyjnego z 14 lutego 2013 roku sygn. akt. II OSK 2535/12.

„Organ administracji publicznej prowadzący postępowanie w przedmiocie choroby zawodowej nie ma prawa do samodzielnej oceny dokumentacji lekarskiej, prowadzącej do odmiennego rozpoznania choroby zawodowej, jeśli nie budzi wątpliwości w świetle pozostałych dowodów. Organ winien zatem ocenić orzeczenie jako dowód w postępowaniu z zachowaniem kanonów wyznaczonych przepisami Kodeksu postępowania administracyjnego”.

SPRAWY ŻOŁNIERZY

Awanse w ramach limitu

**Niemal 10 tys. żołnierzy może
w tym roku liczyć na wyższy
stopień wojskowy w ramach tego
samego stanowiska.**

Decyzja MON podpisana przez ministra Mariusza Błaszczaka w sprawie limitu awansowego w 2018 roku dotyczy wyłącznie tych żołnierzy, w przypadku których awans na wyższy stopień nie wiąże się ze zmianą stanowiska. Mianowani mogą być więc oficerowie młodszy (od podporucznika do kapitana) oraz szeregowi, których stanowiska są przypisane do dwóch stopni etatowych, a także podoficerowie, którzy mogą służyć na jednym stanowisku w trzech stopniach (jeśli chodzi o: podoficerów młodszych – kapral, starszy kapral i plutonowy; podoficerów – sierżant, starszy sierżant i młodszy chorąży; podoficerów starszych – chorąży, starszy cho-

raży i starszy chorąży sztabowy). Choć decyzja dotyczy limitu awansowego, de facto go nie zakłada. W praktyce więc wszyscy żołnierze, którzy mają możliwość awansu w ramach zajmowanego obecnie stanowiska i spełniają wymogi ustawowe, mogą być mianowani. Pierwsze awanse na mocy decyzji ministra żołnierze otrzymali 15 sierpnia, w dniu Święta Wojska Polskiego, na kolejne trzeba poczekać do 11 listopada.

Aby awansować, konieczne są co najmniej ocena bardzo dobra z ostatniej opinii służbowej oraz odpowiedni dla danego korpusu staż służby na zajmowanym stanowisku – w przypadku oficerów młodszych i podoficerów co najmniej trzy lata, w przypadku szeregowych co najmniej pięć.

Na awans mogą też liczyć oficerowie i podoficerowie, którzy na danym stanowisku służą co najmniej dwa lata, oraz szeregowi z trzyletnim stażem. Tu jednak warunkiem koniecznym jest ocena wzorowa z ostatniej opinii służbowej.

Zgodnie z szacunkami MON-u w 2018 roku warunki do awansu w ramach limitu ma spełniać około 9854 żołnierzy. Najwięcej, bo ponad 5,5 tys., ma być awansowanych podoficerów, w tym 1389 podoficerów starszych, 1603 podoficerów, 2607 podoficerów młodszych. Na wyższy stopień może też liczyć 3372 szeregowych zawodowych oraz 883 oficerów młodszych. PG/PZ ■

Cyville z szansą na kaprała

Nabór kandydatów na kurs podoficerski w dęblińskiej Szkole Podoficerskiej Sił Powietrznych będzie możliwy dzięki decyzji podpisanej przez Mariusza Błaszczaka, ministra obrony narodowej. Zakłada ona, że w szkoleniu na kaprała sił powietrznych będzie mogło wziąć udział 56 cywilnych ochotników. Sześciu z nich trafi na dziewięciomiesięczny kurs w grupie ruchu lotniczego, a 50 ma się szkolić przez rok w grupie inżynieryjno-lotniczej.

To pierwszy raz, kiedy w naborze do SPSP mogą wziąć udział cywile.

Jest to związane m.in. z koniecznością pozyskania osób z odpowiednim wykształceniem, których obecnie brakuje wśród szeregowych zawodowych (kursy podoficerskie organizowane są zazwyczaj dla tego korpusu).

Podstawę przyjęcia na szkolenie będą stanowić wyniki postępowania rekrutacyjnego. Obejmie ono testy sprawności fizycznej i znajomości języka angielskiego, analizę ocen na świadectwie ukończenia szkoły ponadgimnazjalnej (szkoły średniej) oraz rozmowę kwalifikacyjną.

Kurs rusza pod koniec listopada. Zgodnie z decyzją ministra szkolenie specjalistyczne zostanie przeprowadzone w Wyższej Szkole Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie (dla sześciu kandydatów) oraz w dęblińskim

Centrum Szkolenia Inżynieryjno-Lotniczego (dla 50 kandydatów). Po ukończeniu specjalistycznego szkolenia ochotnicy zostaną wyznaczeni na stanowiska służbowe związane z obsługą ruchu i sprzętu lotniczego.

Przedstawiciele resortu uspokajają, że rekrutacja do szkół podoficerskich kandydatów ze środowiska cywilnego ogranicza się jedynie do uzupełnienia stanowisk służbowych w deficytowych specjalnościach wojskowych, na które istnieje ograniczony zasób kandydatów spośród żołnierzy korpusu szeregowych mających stosowne wykształcenie i doświadczenie zawodowe. Podstawowym źródłem naboru żołnierzy do korpusu podoficerów zawodowych wciąż pozostaną szeregowi zawodowi. PG/PZ ■

ARSENAŁ

/ PRZEGLĄD

TADEUSZ WRÓBEL

KOSZTOWNA FLOTA

Amerykane zamierzają powiększyć swą
marynarkę wojenną, ale osiągnięcie
stanu **355 okrętów sił
bojowych** będzie niezwykle trudne.



U.S. NAVY





Okrety dowodzenia i wsparcia



Siły logistyki bojowej

KONCEPCJE LICZEBNOŚCI US NAVY

Jednostki pływające	Cel z marca 2015 – 308 okrętów	Cel z grudnia 2016 – 355 okrętów
Lotniskowce	11	12
Duże bojowe okręty nawodne	88	104
Małe bojowe okręty nawodne	52	52
Atomowe okręty podwodne z rakietami balistycznymi	12	12
Uderzeniowe atomowe okręty podwodne	48	66
Okręty desantowe	34	38
Siły logistyki bojowej	29	32
Szybkie ekspedycyjne transportowce	10	10
Okręty-ekspedycyjne bazy wsparcia	3	6
Okręty dowodzenia i wsparcia	21	23



Szybkie ekspedycyjne transportowce

Uderzeniowe atomowe okręty podwodne

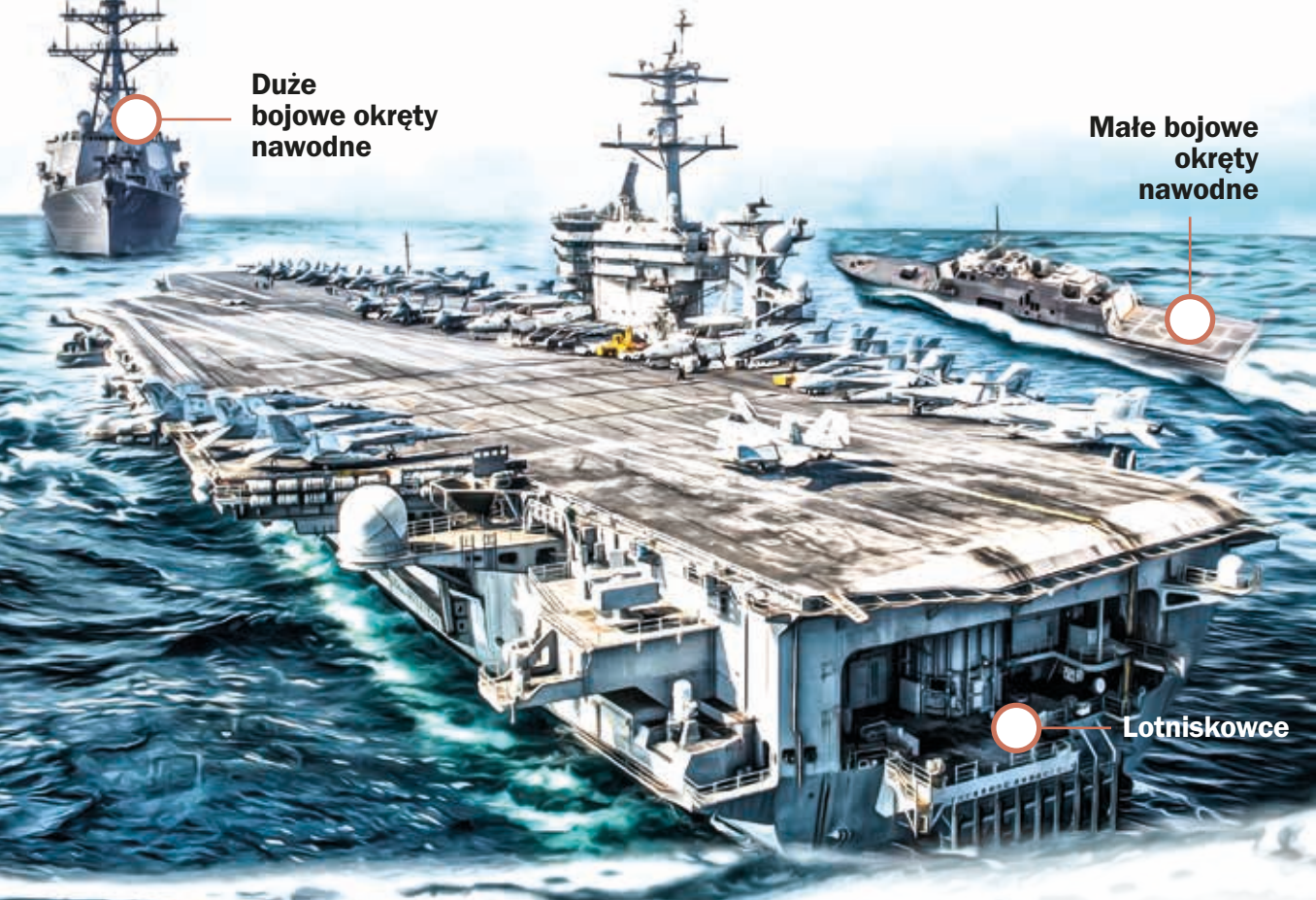
W

grudniu 2016 roku ówczesny sekretarz marynarki wojennej Ray Mabus oświadczył, że US Navy potrzebuje do wykonania zadań na różnych akwenach morskich 355 okrętów sił bojowych, czyli o 47 więcej niż zakładano jeszcze w marcu 2015 roku i o pięć więcej niż postulował podczas kampanii wyborczej prezydent Donald

Trump. Kongresowa Służba Badawcza (Congressional Research Service – CRS) przygotowała raport dla parlamentarzystów, upubliczniony w lipcu tego roku, w którym oceniła najnowsze plany marynarki wojennej dotyczące

budowy nowych jednostek w latach 2019–2048, a także przypomniała wcześniejsze zamierzenia.

Rozwój US Navy od lat jest jednym z głównych problemów, którymi zajmują się komisje obrony Senatu i Izby Reprezentantów. Admirałowie bowiem od dawna sygnalizują politykom, że brakuje im okrętów. Od 2003 roku US Navy nie ma nawet 300 jednostek pływających sił bojowych. Przy czym już w 2014 roku adm. Jonathan Greenert stwierdził, że potrzeba 450 takich okrętów, ze względu na bardzo szybko rozbudowującą się marynarkę wojenną Chin. Tym bardziej że jej okręty są obecne na mających strategiczne znaczenie dla USA



**Duże
bojowe okręty
nawodne**



**Małe bojowe
okręty
nawodne**



Lotniskowce



**Atomowe okręty
podwodne
z raketami balistycznymi**

PK/DZIAŁ GRAFICZNY, US NAVY

PLANY ZAMÓWIEŃ OKRĘTÓW SIŁ BOJOWYCH W LATACH 2017–2046 I 2019–2048

Okręty	2017–2046	2019–2048
Lotniskowce (CVN)	6	7
Duże nawodne okręty bojowe (LCS)	66	76
Małe nawodne okręty bojowe (SCS)	58	57
Okręty podwodne z pociskami balistycznymi (SSBN)	12	12
Uderzeniowe okręty podwodne (SSN)	44	60
Okręty podwodne dużej ładowności (LPS)	–	5
Okręty desantowe (AWS)	23	28
Okręty logistyki bojowej (CLF)	45	27
Okręty pomocnicze (Supt)		29

Oceanie Indyjskim i Pacyfiku. Jednocześnie wzrasta aktywność rosyjskiej floty na północnym Atlantyku i Morzu Śródziemnym.

DODATKOWE OKRĘTY

Amerykańska marynarka wojenna chce, aby w budżecie na rok 2019 znalazły się fundusze na dziesięć nowych okrętów: trzy niszczyciele rakietowe typu DDG-51 z systemem walki Aegis, dwa uderzeniowe atomowe okręty podwodne typu Virginia, dwa zbiornikowce typu John Lewis (T-AO-205), okręt walki przybrzeżnej LCS, okręt-ekspedycyjną bazę wsparcia ESB i jednostkę ratowniczą T-ATS. W raporcie CRS zwrócono uwagę na to, że obecnie US Navy planuje zamówić więcej jednostek, niż podawano przy okazji prac nad budżetem na 2018 rok. Jako

że budowa nowych okrętów to proces kosztowny i wieloletni, w budżecie znajdują się informacje nie tylko o tym, co będzie kupowane w danym roku, ale też o zamierzeniach na kilka lat do przodu, by politycy nie czuli się zaskoczeni koniecznością zarezerwowania konkretnych kwot pieniężnych.

W czasie prac nad budżetem na rok 2018 US Navy podała, że chce zamówić w następnym roku dziesięć okrętów, w tym dwa niszczyciele i jeden zbiornikowiec. Nie było też wówczas w planie ESB. Poczynione zmiany wskazują na to, że wojskowi dążą do przyspieszenia rozbudowy sił bojowych floty Stanów Zjednoczonych, które teraz mają około 280 okrętów. Amerykanie widzą, jak szybko zwiększa się potencjał marynarki wojennej ich najgroźniejszego rywala, którym są komunistyczne





Okręty-ekspedycyjne bazy wsparcia

US NAVY PODAŁA, ŻE NA REALIZACJĘ 30-LETNIEGO PLANU BUDOWY OKRĘTÓW POTRZEBA 24 MLD DOLARÓW ROCZNIE



Chiny. Liczniejsza flota powoduje, że Pekin zaczyna prowadzić w regionie Morza Południowochińskiego politykę z pozycji siły. Potwierdzeniem tego jest postępująca militaryzacja spornych wysepek na tym akwenie. Chińska bandera jest coraz bardziej widoczna na Oceanie Indyjskim. Chińczycy umieścili swoją pierwszą bazę zamorską w Dżibuti w Afryce Wschodniej, w pobliżu strategicznej cieśniny, łączącej Morze Czerwone z otwartym oceanem. Chińskie okręty stoją w tamtejszym porcie obok amerykańskich. Sytuacja jest tym bardziej skomplikowana, że z Chinami blisko współdziała Rosja, której marynarka wojenna ma bardzo silną flotę podwodną i nowoczesne systemy uzbrojenia rakietowego o bardzo dużym zasięgu, jak chociażby użyte w Syrii pociski typu Kalibr. Z powodu ograniczeń finansowych Rosja buduje głównie relatywnie tanie korwety i fregaty. Aby zatem utrzymać dystans wobec rywali, w najbliższej pięcioletce – w latach 2019–2023 – US Navy zamierza zamówić 54 nowe okręty, o 11 więcej niż było zapisane w przedłożeniu budżetu na 2018 rok. Z kolei do 2048 roku ma być zamówionych 301 jednostek.

W raporcie CRS wskazano, że zwiększenie liczby nowo budowanych okrętów o 47 w stosunku do planowanych w 2015 roku 254, gdy celem było 308 jednostek sił bojowych, nie pozwoli na osiągnięcie do 2048 roku poziomu 355 sztuk. Sama US Navy oszacowała potrzeby na 67–72 dodatkowe jednostki. Z kolei służba badawcza uznała, że należałoby zamówić o 57–67 okrętów więcej, a Kongresowe Biuro Budżetu (Congressional Budget Office) stwierdziło, że 73–77. Kiedy porównano te wielkości z aktualnym planem zamówień, okazało się, że maksymalnie w latach 2039 i 2041 w służbie będą 342 okręty. Potem zaś ich liczba znowu się zmniejszy.

US Navy znalazła jednak sposób na zwiększenie liczby okrętów. Otóż wydłużony zostanie okres użytkowania wielu jednostek i być może do służby powrócą niektóre z wycofanych egzemplarzy. Pierwszym krokiem w tym kierunku jest decyzja, ogłoszona 12 kwietnia 2018 roku podczas posiedzenia Komisji Sił Zbrojnych Izby Reprezentantów przez zastępcę szefa operacji morskich ds. sys-

temów uzbrojenia wiceadm. Williama Merza, że niszczyciele DDG-51 będą w służbie przez 45 lat. Marynarka chciałaby też przedłużyć czas użytkowania sześciu krążowników typu CG-47 Ticonderoga z systemem Aegis, czterech okrętów przeciwminowych i jednego okrętu podwodnego typu SSN-688 Los Angeles. Podobne posunięcia mogą dotyczyć też desantowców i okrętów logistycznych. Jednostkami, które mogłyby być przywrócone do służby, są fregaty rakietowe typu FFG-7 Oliver Hazard Perry i dwa szybkie okręty wsparcia logistycznego typu Supply. Wydłużenie czasu użytkowania okrętów o pięć do 15 lat może pochłonąć do 2047 roku ponad 200 mld dolarów. Niektóre jednostki, jak chociażby desantowce typu San Antonio i Whidbey Island, mogą służyć nawet ponad 50 lat. Dzięki temu posunięciu US Navy może mieć ponad 350 okrętów w latach budżetowych 2033 lub 2035.

MORSKIE PRIORYTETY

W kontekście zmiany celów dotyczących liczebności okrętów sił bojowych, jako priorytet potraktowano zwiększenie potencjału uderzeniowego US Navy. Otóż uderzeniowych okrętów podwodnych ma być więcej o 18, czyli o 37,5%. W latach 2019–2023 ma zostać zamówionych dziesięć jednostek typu Virginia. Inwestycje w okręty nie są przypadkowe – dysponują one bowiem uzbrojeniem, którym można zaatakować cele w głębi wrogiego terytorium, jak również zwalczać okręty przeciwnika. Co więcej, ma się pojawić nowa klasa jednostek – large payload submarine (LPS), które mają zastąpić wycofane ze służby cztery okręty typu Ohio, przebudowane z nosicieli pocisków balistycznych na pływające arsenały z tomahawkami. To posunięcie podwyższy poziom zdolności US Navy do zmasowanych uderzeń na odległe cele.

Liczba dużych nawodnych okrętów bojowych miałaby zostać zwiększona o 16 niszczycieli, co oznacza wzrost o 18,2%. Przy czym według najnowszego planu długoletniego 14 jednostek zostanie zamówionych w pierwszej pięcioletce. Amerykańskie niszczyciele dysponują uzbrojeniem (pociski Tomahawk) do prowadzenia dalekich

uderzeń. Inną ich zdolnością jest obrona powietrzna i przeciwrakietowa z wykorzystaniem systemu Aegis i pocisków SM-3. W zmienionych celach pojawiły się dodatkowy, dwunasty lotniskowiec i cztery kolejne desantowce. Co prawda liczbę okrętów-ekspedycyjnych baz wsparcia zwiększono tylko o trzy, ale to oznacza, że będzie ich dwa razy więcej przy docelowym modelu z 308 jednostkami.

Co ciekawe, nie zmieniła się liczba małych bojowych okrętów nawodnych, do których są zaliczane LCS, fregaty i okręty walki minowej. Amerykanie zderzają się tu z pewnym problemem. Okazało się, że bardzo nowoczesne jednostki LCS mają niewystarczające zdolności bojowe na wypadek konfliktu konwencjonalnego. Zapadła decyzja o doposażeniu części z nich do standardu fregaty i zredukowaniu planowanej wcześniej ich liczby. W latach 2019–2023 US Navy chciałyby zamówić tylko jeden okręt (w przyszłym roku), ale kongresmeni zarekomendowali kolejny. Jednocześnie powrócono do koncepcji fregaty raketowej, którą uznano za najlepszą do działań eskortowych i zwalczania okrętów podwodnych w razie konfliktu z przeciwnikiem mającym znaczące siły morskie. Program FFG(X) jest w bardzo wczesnej fazie, ale w najbliższych latach ma zostać zamówionych pierwszych sześć jednostek. Według wyliczeń CBO i CRS, przy celu określonym na 355 jednostek powinno być zamówionych dodatkowo od ośmiu do dziesięciu małych bojowych okrętów nawodnych.

Plan rozwoju marynarki wojennej jest niezwykle kosztowny. Budowa i późniejsze utrzymanie okrętów oraz ich załóg pochłaniają setki miliardów dolarów. Do obsadzenia nowych jednostek byłoby potrzebnych kolejnych 15 tys. marynarzy. Większość, ponad 12 tys., stanowiłyby załogi dodatkowych niszczycieli, okrętów podwodnych i lotniskowca. Większa flota wymagałaby też zwiększenia liczby personelu nabrzeżnego. Szacuje się, że US Navy potrzebowałaby nawet 40 tys. nowych etatów. Z drugiej strony przedstawiciele przemysłu stocznioowego podkreślają, że rozbudowa floty wojennej przyniesie korzyści gospodarcze, m.in. powstanie kilkadziesiąt tysięcy nowych miejsc pracy w sektorze.

Okręty sił bojowych to tylko część jednostek pływających pod amerykańską banderą. Do tej kategorii zalicza się te, które mają zdolności do bezpośredniego udziału w walce. Jednak w skład okrętów sił bojowych nie wchodzi jednostki patrolowe, morskie i przybrzeżno-rzeczne, choć są one uzbrojone. Poza tym marynarka wojenna USA ma kilkadziesiąt innych jednostek – m.in. okręty zaopatrzeniowe, ratownicze, szpitalne, oceanograficzne i rozpoznawcze, tendery okrętów podwodnych, holowniki oceaniczne, kontenerowce, zbiornikowce oraz rorowce, które podlegają Dowództwu Transportu Morskiego. ■



Metaloplastyka Brązownictwo

Puławska 41, Warszawa

Od 50 lat wykonujemy wysokiej jakości wyroby upominkowe dla służb mundurowych, instytucji państwowych, firm prywatnych i teatrów

Biała broń • pistolety • zbroje • świeczniki
• ramki • statuetki • ryngrafy • szyldy reklamowe
• litery i inne

Wykonujemy naprawy i renowacje
Oprawiamy obrazy • grafiki • dyplomy

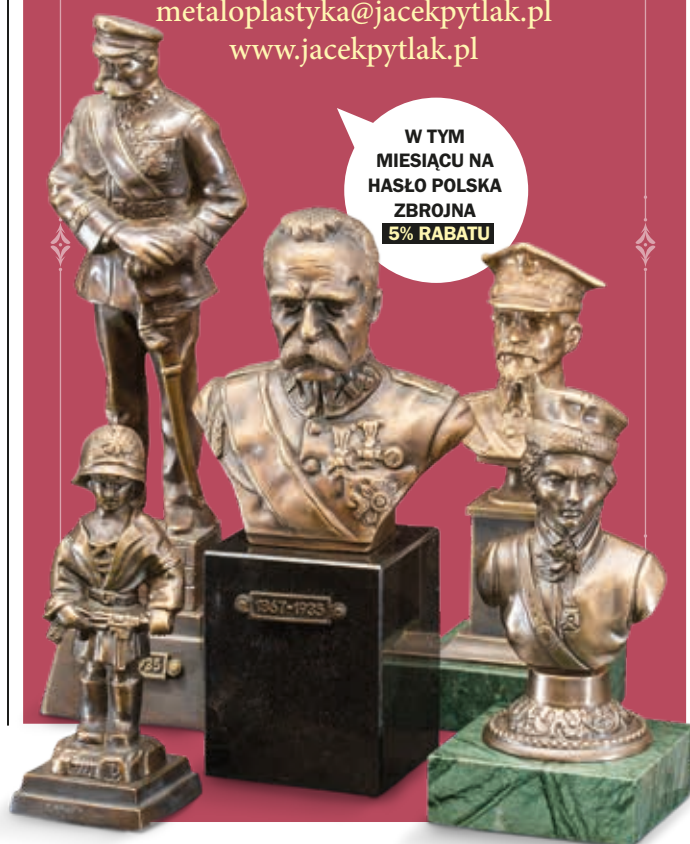
Zamów!

tel.: 22 849 82 62, 601 300 891

metaloplastyka@jacekpytlak.pl

www.jacekpytlak.pl

W TYM
MIESIĄCU NA
HASŁO POLSKA
ZBROJNA
5% RABATU



Optoelektroniczne nowości z PCO

Wyroby optoelektroniczne stanowią istotny element wyposażenia zarówno indywidualnego żołnierza, jak i platform bojowych, takich jak systemy obrony przeciwlotniczej czy rozmaite pojazdy wojskowe. Ich celem jest umożliwienie prowadzenia obserwacji, wykrywania oraz rozpoznania obiektów w różnych warunkach pogodowych i przy różnorodnym oświetleniu.

Warszawskie PCO SA, jako wiodący polski producent wyrobów optoelektronicznych, rozwija ofertę urządzeń wykorzystujących zarówno technologię noktowizyjną, termowizyjną, jak i telewizyjną, często łącząc ich zalety w ramach dostarczanych rozwiązań modułowych. Wiele wyrobów PCO SA od lat jest z powodzeniem używanych przez Wojsko Polskie i inne służby mundurowe. Spółka wprowadza także udoskonalenia, modyfikacje i modernizacje wcześniej oferowanych rozwiązań.

Wyroby noktowizyjne oferowane przez PCO należą do segmentu „premium”, charakteryzującego się zaawansowaniem technicznym oraz niezawodnością. Takie urządzenia można montować na hełmach, a także na broni. Są wodoszczelne i zasilane popularnymi ogniwami (najczęściej typu AA). Pracują w szerokim zakresie temperatur otoczenia (od -40 do $+65^{\circ}\text{C}$). Dzięki zastosowanym zabezpieczeniom można ich używać także w dzień lub w środowisku, w którym następują nagłe zmiany poziomu oświetlenia. Rozwiązania te są przeznaczone dla odbiorców służb mundurowych i niedostępne dla cywilów. Produkty z segmentu „premium” to wynik kompleksowych badań każdego egzemplarza oraz stosowania wyłącznie wyselekcjonowanych komponentów.

Wyroby te są stale udoskonalane dzięki działaniom podejmowanym przez własne zaplecze badawczo-rozwojowe oraz inwestycjom w zaplecze produkcyjne, głównie na potrzeby wykonywania elementów asferycznych oraz nanoszenia powłok cienkowarstwowych metodami próżniowymi na elementy optyczne.

Jedną z grup wyrobów znajdujących się w ofercie PCO stanowią urządzenia noktowizyjne dla indywidualnego żołnierza, w tym wciąż udoskonalane monokulary. Następca użytkowanych w Wojsku Polskim monokularów

noktowizyjnych MU-3 oraz MU-3M jest mniejszy i lżejszy MU-3MS. Urządzenie charakteryzuje się m.in. zmniejszoną długością (poniżej 10 cm), co jest bardzo ważne podczas prowadzenia działań bojowych w zamkniętych przestrzeniach, na przykład w pomieszczeniach. Masa sprzętu bez baterii nie przekracza z kolei 250 g. Jest to odpowiedź na uwagi zgłaszane przez użytkowników monokulara MU-3M. Ograniczyć rozmiary sprzętu oraz wagę udało się dzięki wykorzystaniu w jego produkcji najnowszych technologii. Układy z soczewkami asferycznymi zastosowane w MU-3MS są lżejsze od od klasycznych, złożonych z elementów sferycznych. Umożliwiają również uzyskanie o wiele lepszej rozdzielczości obrazu. Biorąc pod uwagę powyższe modyfikacje oraz niezwykle wytrzymałą, metalową konstrukcję (np. wodoszczelność przy zanurzeniu do 25 m!), monokular MU-3MS ma parametry korzystniejsze od najmniejszych i najlżejszych urządzeń tej klasy oferowanych przez zagraniczną konkurencję.

W zależności od zapotrzebowania użytkownika monokular może być dostarczany w wersji z obrazem z fosforem zielonym (P43) lub białym o wysokim kontraście (P45-ONYX). MU-3MS jest porównywalny z wiodącymi wyrobami konkurencji również ze względu na uniwersalność zastosowań. Może być wykorzystywany jako monokular lub stereoskopowe gogle do obsługi bez użycia rąk. Jest kompatybilny z większością celowników, co umożliwia montaż na broni wyposażonej w szynę Picatinny, a także hełmów bojowych. Istotne jest również to, że MU-3MS może nieprzerwanie pracować przez ponad 40 godzin.

PCO podąża również za światowymi trendami w dziedzinie wyposażenia platform bojowych. Podobnie jak główni konkurenci, skupia się na dostarczeniu modułów optoelektronicznych wykorzystujących różne urządzenia. Wśród nowych produktów oferowanych przez spółkę jest zintegrowany moduł optoelektroniczny ZMO-3. Jest on przeznaczony do zdalnie sterowanego modułu uzbrojenia (ZSMU) w lekkim opancerzonym transporterze rozpoznawczym (LOTR). Moduł składa się z kamery termowizyjnej o zakresie $3\text{--}5\text{ }\mu\text{m}$, zespołu kamer telewizyjnych oraz monoimpulsowego, bezpiecznego dla oka dalmierza laserowego.

UZNANE SEGMENTY CENOWE



PREMIUM W tym segmencie znajdują się wyroby najwyższej jakości. Producenci wiele uwagi poświęcają ergonomii. Urządzenia te można podłączyć do hełmów, np. przez mocowanie typu Vas Shroud, lub przypiąć bezpośrednio na broni (MIL-STD). Są wodoszczelne, wytrzymałe na uderzenia i przeciążenia, zasilane popularnymi ogniwami (najczęściej typu AA) i pracują w szerokim zakresie temperatur otoczenia (od -40 do +65°C).



ŚREDNI Należą do niego starsze urządzenia wojskowe lub wykorzystujące ich komponenty. Zazwyczaj nie mają elementów mocujących do hełmów, są ciężkie, a gwałtowna zmiana warunków oświetlenia powoduje znaczne pogorszenie jakości obrazu, a nawet może doprowadzić do trwałego uszkodzenia urządzenia. Możliwość ich nabycia prywatnie jest bardzo ograniczona, choć pojawiają się niekiedy na internetowych portalach aukcyjnych. Nie ma gwarancji, że nie będą zużyte, a typy baterii w nich stosowane mogą być trudne do zdobycia.



BUDŻETOWO-CYWILNY Należą do niego urządzenia wykonane z niedrogich materiałów, z wykorzystaniem najtańszych komponentów. Podstawowym atutem jest niska cena. Urządzenia te znajdują zastosowanie szczególnie wśród miłośników nocnej obserwacji przyrody oraz... entuzjastów survivalu, ponieważ są dostępne na rynku cywilnym. Oprócz gorszej jakości obrazu urządzenia te cechuje mniejsza wytrzymałość mechaniczna.



P.C.O. (3)

**NOWOŚCI
PCO SA MOŻNA
ZOBACZYĆ NA
TEGOROCZNEJ
EDYCJI MSPO
W KIELCACH
4-7 WRZEŚNIA**

ZMO-3 spełnia najbardziej rygorystyczne wymogi stawiane urządzeniom tej klasy. Kamera telewizyjna w szerokim polu zapewnia wykrycie obiektu na dystansie do 3700 m, a w wąskim polu – do 12 000 m. Rozpoznanie jest możliwe w polu szerokim na dystansie do 1400 m, a wąskim – 3600 m, natomiast identyfikacja w polu szerokim – do 700 m, a wąskim – do 1800 m. Kamera termowizyjna umożliwia wykrycie na dystansie do 4000 m przy obserwacji w polu szerokim, a 12 000 m – w wąskim. Parametry dla rozpoznania to 1400 m przy polu szerokim i 3800 m przy wąskim. Z kolei identyfikacja jest możliwa na dystansie do 700 m przy polu szerokim i 1900 m przy wąskim. Zaletą ZMO-3 jest łatwa obsługa modułu za pomocą pulpitów wielofunkcyjnych.

W ofercie PCO znajdują się również głowice optoelektroniczne, które mogą być wykorzystywane w róż-

norodnych pojazdach wojskowych oraz systemach przeciwlotniczych. Stabilizowana obserwacyjno-celownicza głowica optoelektroniczna dowódcy GOD-1 oraz stabilizowana obserwacyjno-celownicza głowica optoelektroniczna GOC-1 znajdują się w wyposażeniu bezałogowej wieży ZSSW-30 do kołowego transportera opancerzonego Rosomak. Prace nad nią, prowadzone w konsorcjum, wpisują się w tendencje na światowym rynku obronnym dostarczania gotowych systemów zawierających różnorodne urządzenia, które ze sobą współpracują. Ułatwia to ich montaż na platformach bojowych.

Urządzenia optoelektroniczne produkowane przez PCO SA są obsługiwane na wszystkich etapach cyklu funkcjonowania wyrobu, włącznie z serwisowaniem, dostarczaniem części zamiennych oraz modernizacjami. ■

KRZYSZTOF WILEWSKI

MORSZY SAPERZY

Trzydzieści sekund. Tylko tyle czasu zajęło delfinowi z tajnego pododdziału amerykańskiej armii znalezienie ukrytej na dnie ćwiczebnej miny.

Organizowane przez amerykańską marynarkę wojenną od początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku manewry o kryptonimie RIMPAC (the Rim of the Pacific Exercise) to obecnie największe na świecie szkolenie wojennych flot. W tegorocznej, 26. edycji tych ćwiczeń wzięło udział 47 okrętów nawodnych różnych typów, pięć okrętów podwodnych, 200 samolotów, 25 tys. marynarzy i pracowników wojska z 26 krajów. Oprócz Stanów Zjednoczonych, które wystawiły aż 21 okrętów, po pięć przysłały Kanada i Australia, cztery – Korea Południowa, a po dwa – Indonezja i Filipiny.

Choć podczas trwających ponad miesiąc – od końca czerwca do początku sierpnia – manewrów przeprowadzono bardzo wiele ciekawych szkoleń, m.in. ćwiczone desant na wybrzeże, obronę przeciwnoczną i przeciwrakietową okrętów, zwalczanie jednostek podwodnych, działania antypirackie oraz pomoc ofiarom katastrof, to jedno z nich przy-

THE RIM OF
THE PACIFIC
EXERCISE

RIMPAC

47

okrętów nawodnych
różnych typów

5

okrętów
podwodnych

200

samolotów

25 000

marynarzy
i pracowników
wojska

ciągnęło szczególną uwagę specjalistów branżowych i mediów na całym świecie. Chodzi o pokaz szkolenia delfinów-saperów z tajnego pododdziału amerykańskiej armii (Marine Mammal System MK7 – MMS MK7).

W MINUTĘ DO CELU

Scenariusz zadania dla morskich ssaków na pozór był banalnie prosty. Zwierzęta – każdemu towarzyszyło dwóch wojskowych morskich saperów – miały odnaleźć ukryte na dnie miny. Na miej-

scie akcji ssaki były przewożone specjalnie do tego przystosowaną łodzią, z której ześlizgiwały się do morza na komendę swoich opiekunów. Wyniki ich pracy były imponujące. Znalezienie min zajmowało delfinom minuty. Rekordzista zrobił to w 30 s. Jego opiekun był tym tak zaskoczony, że nakazał zwierzęciu, które się wynurzyło, sygnalizując znalezisko, aby ponownie poszukiwania. Ssak wykonał polecenie i ponownie wskazał to samo miejsce. Po przeprowadzonej po chwili przez człowieka weryfikacji okazało się, że nie było mowy o pomyłce, rzeczywiście była tam ukryta dennna mina.

Dlaczego pokaz sprawności morskich ssaków był takim zaskoczeniem dla mediów i branżowych specjalistów? Przecież istnienie MMS, jednostki zajmującej się w ramach NMMP (US Navy Marine Mammal Program) szkoleniem zwierząt do podwodnych zadań wojskowych – nie tylko delfinów, lecz także lwów morskich, orek i białuch arktycznych – od dawna nie jest tajemnicą.

Amerykanie rozpoczęli program pod koniec lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, ale dopiero w połowie lat sześćdziesiątych, na podstawie prac specjalisty od sonarów dr. Jamesa Fitzgeralda, który wykazał, że delfiny mają organ emitujący sygnały odbijające się od przeszkód znajdujących się przed nimi, skoncentrowali się na szkoleniu ich do zadań saperskich – czyli znajdowania morskich min, zarówno dennych, jak i wolno pływających, podkładania ładunków wybuchowych, a także wykrywania nieprzyjacielskich nurków.

Ze względu na różnorodność zadań jednostka MMS, stacjonująca na co dzień w bazie Point Loma (Space and Naval Warfare Systems Center Pacific) w San Diego, została podzielona na pięć zespołów. Grupy MK 4 i MK 5 są przeznaczone do wykrywania min kontaktowych kotwicznych oraz do ich likwidacji poprzez umieszczanie na linach ładunków wybuchowych. MK 4 wykorzystuje do tego delfiny, a MK 5 – lwy morskie. Z kolei grupa MK 6 (złożona zarówno z lwów morskich, jak i delfinów) specjalizuje się w ochronie portów i kotwiczowisk przed wrogimi nurkami. Grupa MK 7 jest przeznaczona do wykrywania morskich min dennych i wykorzystuje w tym celu przede wszystkim delfiny. Ostatnia grupa, MK 8, opiera się na pozostałych ssakach morskich przygotowanych do wykonywania zadań wojskowych, czyli orkach i białuchach arktycznych. Ich tresura jest najtrudniejsza – wyszkolenie delfina przypomina bowiem w dużym uproszczeniu szkolenie

psa: opiera się na zasadzie powtarzalności pozytywnych bodźców, nagrody za dobrze wykonane zadanie – ale mają one zdolność znacznie głębszego zanurzenia się niż delfiny, dzięki czemu mogą wykrywać np. zagubione torpedy ćwiczebne, leżące na dnie na głębokości np. 500–600 m.

Co istotne, do najważniejszych zadań wszystkich zespołów z jednostki MMS należy również morskie ratownictwo. Delfiny i lwy morskie trenowane do wykrywania min morskich potrafią też odszukiwać różnego typu urządzenia wyposażone w nadajniki sygnałów akustycznych, więc świetnie nadają się np. do odnajdywania czarnych skrzynek samolotów.

SZKOLENIE POŁĄCZONE Z POKAZEM MOŻLIWOŚCI DELFINÓW-SAPERÓW ODBYŁO SIĘ W LIPCU 2018 ROKU PODCZAS NAJWIĘKSZYCH NA ŚWIECIE MIĘDZYNARODOWYCH MANEWRÓW MORSKICH ORGANIZOWANYCH PRZEZ US NAVY

NIE TYLKO AMERYKANIE

Skoro zatem program NMMS jest realizowany od ponad pół wieku (chrzest bojowy delfiny-saperzy zaliczyły podczas wojny w Wietnamie, gdzie w zatoce Rahn Bay pomagały wykrywać i zwalczać płetwonurków dywersantów z północnego Wietnamu, umieszczając w ich pobliżu ładunki wybuchowe), to skąd zaskoczenie pokazem podczas RIMPAC? Jeszcze kilka lat temu, a dokładniej gdy podczas konfliktu krymskiego armia rosyjska przejęła należącą do Ukrainy

jednostkę szkolącą delfiny, marynarka wojenna USA zapewniła, że swoją jednostkę w najbliższym czasie zlikwiduje. Zadania powierzane dotychczas delfinom, lwom morskim, orkom oraz białuchom arktycznym miały wykonywać morskie drony.

Teraz okazuje się, że jednostki nie tylko nie zlikwidowano, lecz także zdecydowano się ją rozwinąć o kolejne, bliżej nieokreślone zespoły. Co więcej, US Navy ujawniło, że zespoły MK z MMS mają wymagania operacyjne tożsame z wieloma jednostkami specjalnymi. Zwierzęta powinny być bowiem w gotowości do działania w każdym miejscu na świecie w 72 godziny.

Na decyzję Amerykanów o nielikwidowaniu programu NMMP i jednostki MMS na pewno miały wpływ informacje o tym, że nie tylko Rosjanie rozbudowują przejętą od Ukrainy jednostkę delfinów-saperów. Otóż podobną jednostkę ma armia chińska, która realizuje program badawczo-rozwojowy tego typu już od ponad 20 lat. Niestety niewiele wiadomo ani na temat tego, na jakich zwierzętach on się koncentruje, ani ile ich jest w „służbie”. Amerykański program obejmował w szczytowym momencie (za czasów prezydenta Ronalda Reagana) sto delfinów. Dziś jest ich wykorzystywanych na potrzeby armii około pięćdziesięciu. ■



WOJSKOWY INSTYTUT
TECHNICZNY UZBROJENIA

www.witu.mil.pl | witu@witu.mil.pl

PRZEMYSŁAW MILLER

Marynarka tonie

W Niemczech narastają problemy ze sprzętem wojskowym. Rok 2018 przynosi coraz bardziej alarmujące ostrzeżenia pod tym względem.

Do niedawna jedna z największych i najlepiej wyposażonych marynarek wojennych w Europie straciła praktycznie swoją zdolność bojową, o czym w marcu 2018 roku poinformowali analitycy wojskowi w specjalnym raporcie przygotowanym dla niemieckiego ministerstwa obrony. Według tego dokumentu, z 13 fregat jest do dyspozycji dowództwa Deutsche Marine zaledwie pięć. Z sześciu okrętów podwodnych typu 212A do misji bojowych w 2017 roku zdolny był tylko jeden, ale w grudniu i on pożegnał się ze służbą.

Autorzy raportu bezceremonialnie obnażają słabość niemieckiej armii, której kłopoty nie ograniczają się jedynie do Deutsche Marine. Do misji bojowych zdolnych jest zaledwie 13 z 58 śmigłowców transportowych NH-90 i 12 z 62 tigerów. Odnotowano też poważne problemy z samolotami transportowymi A 400 M – z 15 egzemplarzy do latania zdolne są trzy. Katastrofalna sytuacja ➔

**KRYZYS NIEMIECKIEJ ARMII
JEST EFEKTEM JEJ 28-LETNIEGO
NIEDOFINANSOWANIA PO UPAD-
KU ŻELAZNEJ KURTYNY**

Fregata „Baden-Württemberg”, pierwsza z czterech zaplanowanych, o masie 7 tys. ton.

BUNDES MARINE

DO SPEKTAKULARNEJ KLĘSKI W PROGRAMIE BUDOWY NIEMIECKIEJ SUPERFREGATY PRZY- CZYNIŁY SIĘ LICZNIE WPROWADZANE DO PROJEKTU NIEKORZYST- NE ZMIANY



Program
nowej fregaty
pochłonął
już ponad

3

mld euro.

panuje także w lotnictwie myśliwskim, gdzie ze 128 maszyn Eurofighter do lotu nadaje się tylko 39. Nie lepiej jest pod tym względem w wojskach pancernych, bo na 244 czołgi Leopard 2 sprawnych jest tylko 105 sztuk.

Kryzys niemieckiej armii jest efektem jej 28-letniego niedofinansowania po upadku żelaznej kurtyny. Do tego dochodzą jeszcze popularne w Niemczech poglądy pacyfistyczne i niezachwiana wiara w demokratyczny rozwój Rosji, z którą RFN od wielu dekad robi ważne interesy w sektorze energetycznym.

NIEREALNE MARZENIA

Gwoździem do trumny dla Deutsche Marine okazało się sfinalizowanie projektu budowy nowej fregaty. W 2005 roku planistom zamarzyły się okręty, które mogłyby przetransportować żołnierzy w każde miejsce na świecie, walczyć z wrogimi jednostkami, a na dodatek przez dwa lata nie musiałyby zawijać do portów. Miały one mieć też o połowę mniejszą załogę niż poprzednie, klasy F122 Bremen. Tak powstała fregata F125 „Baden-Württemberg”, pierwsza z czterech zaplanowanych, o masie 7 tys. t, która rozmiarami dorównuje niejednemu niszczycielowi.

Szybko jednak pojawiły się rysy na tym projekcie. Po pierwsze, chodzi o opóźnienia w budowie i kilkakrotne przekraczanie kosztów – program pochłonął już ponad 3 mld euro. Pierwszy okręt kosztował nie 650 mln euro, jak zakładano, lecz 800 mln euro. Po

drugie, po testach i próbach morskich wykryto całą serię usterek i poważnych błędów konstrukcyjnych.

Na dodatek później, podczas prac wykończeniowych, pozwolono sobie na wiele fuszek. Użyto m.in. niewłaściwej farby do pomalowania podwodnej części fregaty i blachy z poszycia kadłuba błyskawicznie zaczęły obficie obrastać muszlami. Z kolei firma odpowiadająca za elementy wewnętrzne okrętu wykorzystwała złą farbę ognioodporną, w wyniku czego niepalne pokrycie bardzo szybko odpadało, co zmusiło stocznię do ponownego częściowego otwarcia jednostki i usunięcia wad. Wiązało się to m.in. z niezwykle kosztownym demontażem nadbudówek. Niewłaściwie położono i rozprowadzono też 500 km kabli, w wyniku czego pojawiły się problemy z radarem i elektroniką. Niesprawne okazały się również systemy pokładowe – 80 komputerów tworzących mózg fregaty, który kieruje dowodzeniem i systemami broni, nie działa jak pierwotnie zakładano, podobnie jak dwie zainstalowane na dziobie anteny analizujące aktywności radarów oraz rejestrację łączności innych jednostek.

FREGATA Z PRZECZYŁEM

Do tak spektakularnej klęski w programie budowy niemieckiej superfregaty przyczyniły się licznie wprowadzane do projektu niekorzystne zmiany. Konstruktorom wytykano stosowanie niewłaściwych rozwiązań technologicznych oraz nieprzemyślane uzbrojenie okrętu. W wypadku korwety F125 postawiono głównie na zdolności do atakowania celów na lądzie z użyciem dział i działek kosztem możliwości zwalczania celów typowo morskich i uzbrojenia rakietowego.

Najpoważniejszym problemem okazała się jednak wada konstrukcyjna, przez którą okręt przechylił się na prawą burtę o 1,3 stopnia. Nie można w żaden sposób tego wyrównać przez dołożenie balastu, bo fregata ma już i tak większą o 180 t masę niż zakładano. Ze względu na przeciążenie nie można jej zatem uzbroić w zaplanowane systemy broni przeciwpodwodnej. Uznano w końcu, że jednostka nie nadaje się do służby, co było pierwszym takim wydarzeniem w historii Deutsche Marine. ■



Pomimo zapowiedzi czołg podstawowy **KARRAR**, zaprezentowany ponad rok temu, do dziś nie wszedł do służby.

ANDRZEJ PAWŁOWSKI

Potęga na makietach

Czy przemysł obronny jest w stanie podołać ambicjom Iranu i zdobyć palmę pierwszeństwa w wyścigu o hegemonię w muzułmańskim świecie?

Media państwowe w Iranie nieustannie przytaczają wypowiedzi polityków o potęgę i wystarczalności rodzimego przemysłu obronnego. Niemal w każdym rodzaju wojsk odnotowują oni znaczące osiągnięcia. Wojska lądowe liczą na czołg Karrar, lotnictwo – na samoloty Szafagh i Ghaher-313, marynarka wojenna zaś – na napęd nuklearny do okrętów. Do tego dochodzą programy rakietowy i nuklearny.

MARZENIA O NOWOCZESNOŚCI

Wojska lądowe z niecierpliwością oczekiwały dostaw pierwszych czołgów podstawowych Karrar. Linie produkcyjną uruchomiono w marcu 2017 roku w kompleksie przemysłu pancernego Bani-Haszem. Już wówczas wóz określano jako jeden z najbardziej zaawansowanych czołgów na świecie, zbudowany w całości w Iranie i w niektórych aspektach przewyższający T-90MS. Po ośmiu miesiącach ogłoszono, że pojazd jest gotowy i kwestią czasu jest rychłe przyjęcie pierwszych egzemplarzy do służby.

W kwietniu 2017 roku, podczas defilady z okazji narodowego dnia armii, zaprezentowano transporter opancerzony Heidar-6, bazujący na sowieckim BTR-60PB, będący zmodernizowanym sprzętem posowieckim. Kadłub w całości jest spawany, pokryty kostkami pancerza reaktywnego, który ma wzmocnić ochronę przed głowicami pocisków przeciwpancernych. Z odnowionego kadłuba BTR-60PB usunięto oryginalny moduł uzbrojenia i zastąpiono sowiecką wieżą z BMP-1 uzbrojoną w gładkolufową armatę 2A28 Grom kalibru 73 mm.

We wrześniu 2017 roku pojawił się sprzęt będący efektem lokalnej myśli technicznej, w tym samobieżny system artyleryjski Heidar-41 kalibru 122 mm z haubicą holowaną D-30 o takim samym kalibrze. Kolejny transporter, Heidar-7, wyposażono w zdalnie sterowany system wieżowy z działkiem kalibru 23 mm, lądującą przypominającą sowiecką dwulufową holowaną armatę przeciwlotniczą ZU-23-2 o takim kalibrze, z tym że pojedynczą. Dopełnieniem stał się system wyrzutni rakietowych Heidar-44 kalibru 122 mm.



PRZEMYSŁ OBRONNY IRANU NIE WYTRZYMA KONKURENCJI W STARCIU Z ARABIĄ SAUDYJSKĄ I IZRAELEM WSPIERANYM PRZEZ STANY ZJEDNOCZONE

W przypadku irańskiego lotnictwa wojskowego należałoby sięgnąć pamięcią do 2003 roku, gdy pojawiła się pełnowymiarowa makietka szafagha (w farsi: jutrzeńka lub brzask), „supernowoczesnego myśliwca”. Rok później miał się odbyć dziewiczy lot, ale plany te spaliły na panewce. Teheran zapewniał później, że egzemplarz prototypowy pokazano w 2005 roku, na 2008 rok zaś zaplanowano jego oblot. Jak łatwo się domyślić, terminu tego również nie dotrzymano. Do tej pory nie udało się potwierdzić, że myśliwiec został oblatany. Bardziej prawdopodobne jest to, że szafagh nie wyszedł poza fazę budowy pełnowymiarowej makietki. Do tego, że do oblotu nie doszło, pośrednio przyznali się sami Irańczycy podczas salonu lotniczego na wyspie Kisz w 2016 roku. Poinformowali wówczas o rychłych testach kołowania z dużą prędkością, a potem dziewiczym locie. Jest niemal pewne, że założeń tych nie osiągnięto.

Na początku 2018 roku gen. bryg. Hosejn Dehghan, minister obrony, ogłosił zaś, że myśliwiec Ghaher-313 (zdobycyca) wciąż jest przygotowywany do pierwszego lotu. Wciąż, bo to nie jest pierwsza wiadomość na ten temat. Podobne pojawiały się w 2017 roku: już wówczas mówiono o próbach na pasie startowym, w tym testach kołowania z dużą prędkością. Rewelacje o tej maszynie są bowiem kontrolowanym wypuszczaniem informacji, aby przypomnieć o wymagowanej potęgze technicznej irańskiego lotnictwa. Na podobnym etapie produkcji podobno jest dwumiejscowy samolot szkolenia zaawansowanego Kosar. O niechybnym wzbiciu się w powietrze informowano już w lipcu 2017 roku podczas testów naziemnych, w tym kołowaniu z dużą prędkością, ale wejście do służby tej maszyny zaplanowano na 2022 rok.

W marcu 2018 roku Teheran zapowiedział inspektorom Międzynarodowej Agencji Energii

Atomowej, że zamierza konstruować reaktory jądrowe do zastosowania na okrętach wojennych, co niesie groźbę złamania porozumień nuklearnych z mocarstwami z 14 lipca 2015 roku. Pojawiły się też szumne zapowiedzi potęgi marynarki wojennej, której ambitne plany dotyczyły wysłania flotyli okrętów do Ameryki Łacińskiej. Irańska bandera miała łopotać na masztach okrętów przebywających na wodach w bezpośrednim sąsiedztwie terytorium Stanów Zjednoczonych, co byłoby rewanżem za obecność Amerykanów w Zatoce Perskiej.

BRUTALNA PRAWDA

Porozumienie z lipca 2015 roku dało irańskiej gospodarce, opartej na sektorze paliwowym, pewien oddech i pozwoliło na powolne wychodzenie z zapaści gospodarczej. Sytuacja ta w połączeniu ze skutkami stosowania sankcji międzynarodowych doprowadziła do pojawienia się wewnętrznych sprzeczności – poprawiła się zdolność do produkcji uzbrojenia niższej jakości, a Iran pozostał uzależniony od importu zaawansowanych technologii. Dysponuje on sprzętem wyprodukowanym jeszcze w Związku Radzieckim, ale z wyposażeniem pozyskanym z zagranicy lub skopionym lokalnie.

Tamtejsze siły zbrojne wraz z ośrodkami badawczymi podejmują wysiłek w celu opracowania uzbrojenia przystającego do teraźniejszości, aby móc konkurować pod tym względem z innymi państwami. Starania przynoszą mizerny efekt, gdyż najczęściej dochodzi do opracowania sprzętu łączącego stare typy uzbrojenia, podczas gdy nowy istnieje jedynie w wymiarze propagandowym. Ostatnio prym w tej dziedzinie wiodą wojska lądowe. W mediach państwowych pojawiła się informacja, że wraz z Korpusem Strażników Rewolucji Islamskiej mają one otrzymać 800 czołgów podstawowych Karrar.



GEN. BRYG. HOSEJN DEHGHAN, minister obrony, ogłosił, że myśliwiec Ghaher-313 wciąż jest przygotowywany do pierwszego lotu.

Pojazd ten zaprezentowano ponad rok temu, a na początku 2018 roku zapewniano, że wprowadzenie go do służby jest tylko kwestią czasu. Na razie jednak się na to nie zapowiada. Przesadzone są też informacje o wyjątkowości tej maszyny. Istnieją podejrzenia, że prototyp czołgu mógł być sztuczką, by przekonać Rosjan do obniżenia ceny za T-90MS, które Teheran chciał jeszcze niedawno kupić. Tym samym prezentacja tej maszyny jako przewyższającej technologicznie T-90MS jest mistyfikacją, bo Iran w dziedzinie rozwoju i produkcji czołgów podstawowych jest na poziomie trzeciej wersji zulfikara. Kraju funkcjonującego w systemie sankcji nie stać na nic lepszego, a opracowanie czołgu tej jakości jest po prostu niemożliwe w tak krótkim czasie. Poza tym film promocyjny przedstawiający karrara ujawnia kolejne wątpliwości związane z wyglądem wnętrza czołgu i pozwala sądzić, że jest to starszy typ – T-72S Szilden (T-72M1M1) – choć wyglądem przypominający T-90MS. Czołg skonstruowany przez Irańczyków z pewnością zawiera zewnętrzne elementy T-90MS, które mogą być produkowane na rosyjskiej licencji.

W odniesieniu do samolotu szkolenia zaawansowanego Kosar prawda również może być brutalna, gdyż jest to nic innego, jak dość wierna kopia tajwańskiego AT-3 Tzu Chung, produkowanego w latach 1984–1990. Zaplanowane na 2022 rok wejście do służby tych maszyn może się przesunąć. Do tej pory irańskie lotnictwo wojskowe będzie zmuszone polegać na 30 chińskich samolotach Chengdu F-7M/FT-7.

Skoro zapewnienia lokalnych polityków i wojskowych dotyczące produkcji nowego sprzętu nie miały pokrycia w rzeczywistości, znaleziono temat zastępczy. W lutym 2018 roku zakończył się remont trzech statków powietrznych: dwóch myśliwców – F-14 Tomcat i Chengdu F-7 – oraz samolotu szkolenia zaawansowanego Pilatus PC-7. Tuba propagandowa Teheranu okrzyknęła to znaczącym osiągnięciem lokalnego przemysłu obronnego, rozwijającego się mimo sankcji. Odrestaurowany PC-7 był niezdolny do służby od 2016 roku, a myśliwiec F-7 nie latał od 2013 roku. Wobec braku zdecydowanych postępów w dwóch sztandarowych programach, dotyczących szafa-gha i ghahera, pewne jest, że o potencjale irańskiego lotnictwa myśliwskiego stanowić będą 24 tomcaty, służące od czasów Rezy Pahlawiego. Irańczycy chętnie się wydłużeniem resursu F-14AM do 2030 roku. W trakcie prac zamontowano nową lokalną awionikę i system ostrzegania przed opromieniowaniem wiązką radarową, zintegrowano system kontroli ognia z przenoszonym uzbrojeniem: R-73E, AIM-54A, AIM-7E and AIM-9J.

Iran nie jest też zdolny do budowy reaktorów potrzebnych do zainstalowania na okrętach marynarki wojennej. Nie chodzi tutaj o brak know-how, bo taką technologią

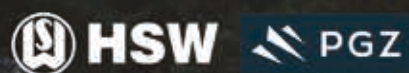
z pewnością dysponuje. Podjęcie decyzji politycznej będzie się wiązało z koniecznością dalszego zainwestowania milionów dolarów, na co Iranu po prostu nie stać. Nie przemawiają za tym również przesłanki logistyczno-strategiczne. Rozmiar floty, wielkość jednostek pływających i fakt, że okrętowe zespoły zadaniowe nie zapuszczają się daleko poza wody Zatoki Perskiej, nie uzasadniają stosowania napędu nuklearnego. Należy zauważyć, że instalacja reaktora i osłony w kadłubach okrętów podwodnych będzie wymagać dodatkowej przestrzeni, a także zmian konstrukcyjnych, podczas gdy wprowadzenie ich w irańskich jednostkach jest niemożliwe. Podobna sytuacja występuje w wypadku jednostek nawodnych, gdyż największe okręty – fregaty typu Alvand i Mudże – są zbyt małe w porównaniu do amerykańskich nosicieli napędu nuklearnego.

To nie koniec przykładów na potwierdzenie zacofania technicznego Iranu. Wydarzeniem, które z pewnością najbardziej obnażyło niemoc tego kraju, był atak raketowy na bojowników tzw. Państwa Islamskiego we wschodniej Syrii przeprowadzony w nocy z 18 na 19 czerwca 2017 roku. Sześć rakiet ziemia–ziemia średniego zasięgu wystrzelono z baz wojskowych w stanach Kermanszah i Kurdystan, położonych w zachodnim Iranie, w kierunku syryjskiej prowincji Dajr-az-Zaur. Według Irańczyków pociski Zolfaghar o zasięgu operacyjnym 700 km trafiły w cele. Irańskie media informowały opinię publiczną o skuteczności ataku. Późniejsze raporty podawały jednak, że w cele trafiły tylko dwa z sześciu pocisków.

FAŁSZYWE BEZPIECZEŃSTWO

Propagandowe informacje irańskich polityków nie są nowością. Wystarczy przypomnieć, że w 2010 roku pokazano systemy obrony przeciwlotniczej S-300, na które składały się m.in. wyrzutnie rakiet z kontenerami z pospawanych beczek po ropie. Faktycznie trafił on do Iranu kilka lat później i dopiero w marcu 2018 roku uzyskał gotowość operacyjną. Podobnie rzecz się miała z bezzałogowcem RQ-170 Sentinel sprowadzonym na ziemię przez żołnierzy Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej w 2011 roku. Irańską wersję drona pokazano dopiero w maju 2014 roku, sugerując, że jest to wierna kopia amerykańskiego bezzałogowca, która w istocie okazała się makietą, gdyż Iran nie był w stanie produkować materiałów ani awioniki użytych do budowy bezzałogowca.

Wypuszczanie informacji propagandowych i przesadzonych w połączeniu z niemocą techniczną nie prowadzi do zwiększenia bezpieczeństwa kraju ajatollahów, a wręcz przeciwnie – naraża go na przewencyjne ataki innych państw, w szczególności Izraela. Fałszywa samowystarczalność Iranu przynosi skutek odwrotny od zamierzonego, obniżając poziom bezpieczeństwa państwa. ■



www.hsw.pl

80 lat

HUTA STALOWA WOLA S.A.



155 mm samobieźna haubica

KRAB

Zapraszamy do odwiedzenia nas podczas **MSPÓ 2018**
Hala C i D, ekspozycja Grupy Kapitałowej PGZ



Artyleria z podkarpackiej zbrojowni

**HUTA STALOWA WOLA NA MIĘDZYNARODOWYM SALONIE
PRZEMYSŁU OBRONNEGO 2018**

Spółka Huta Stalowa Wola to przedsiębiorstwo z wieloletnią tradycją, wybudowane jako najważniejszy zakład infrastruktury przemysłowej składającej się na Centralny Okręg Przemysłowy i fabryka o strategicznym znaczeniu dla bezpieczeństwa Polski. W tym roku obchodzi jubileusz osiemnastolecia istnienia. Dziś Huta Stalowa Wola jest firmą wykorzystującą nowoczesne technologie, systematycznie implementującą nowe rozwiązania.

Goście odwiedzający wrześniowy Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego 2018 w Kielcach będą mogli zobaczyć najnowocześniejszą broń artyleryjską i pancerną pochodzącą z Huty Stalowa Wola (HSW). Pokaże ona nowy bojowy pływający wóz piechoty (model) z zaimplementowanym zdalnie sterowanym systemem wieżowym 30 mm ZSSW (prototyp), przygotowany w ramach programu „Borsuk”. Model, prezentowany podczas tegorocznych targów, jest już po testach uruchomienia, sprawdzenia układu traktacji oraz po pierwszych próbach pływania. Nowy bojowy pływający wóz piechoty ma się charakteryzować zdolnością pokonywania szerokich przeszkód wodnych, dużą manewrowością oraz zdolnością do działań w różnych warunkach terenowych i klimatycznych. Pojazd przeznaczony jest do ochrony żołnierzy załogi i desantu przed ostrzałem pociskami z broni strzeleckiej i granatników przeciwpancernych oraz przed wybuchami min i improwizowanych ładunków wybuchowych (IED). Projekt pod kryptonimem „Borsuk” jest współfinansowany w ramach środków pozyskanych z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, z którym HSW S.A. zawarła umowę jako lider konsorcjum.

Ponadto pojazd będzie wyposażony w gaśnicę elastomerową, które stanowią alternatywę dla prezentowanych w ubiegłym roku gaśnic stalowych, natomiast na kadłubie pojazdu zostaną zamontowane ekwiwalenty gabarytowo-masowe dopancerzenia. Należy zauważyć, że model pojazdu NBPWP jest wyposażony we wszystkie elementy docelowego pojazdu (prototypu) pod względem gabarytowo-masowym.

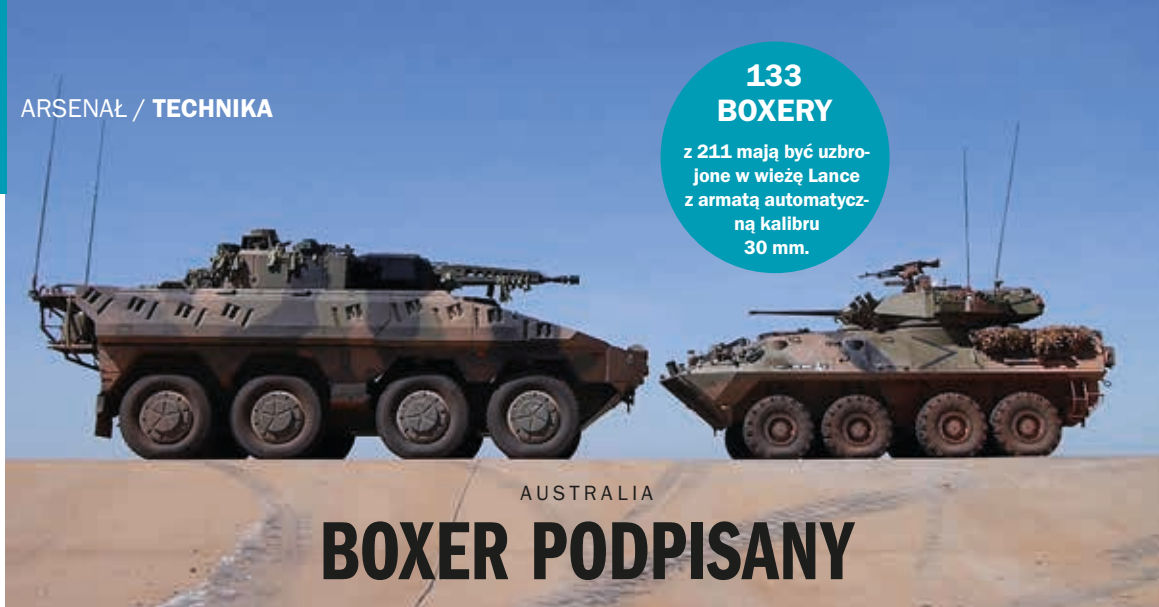
Na MSPO 2018 Huta Stalowa Wola zaprezentuje również 155-milimetrową samobieżną haubicę Krab. Warto przypomnieć, że w grudniu 2016 roku HSW podpisała umowę na dostawy czterech dywizjonowych modułów ogniowych o kryptonimie Regina. Jej wartość przekracza 4,5 mld zł. To jeden z największych kontraktów na dostawy sprzętu produkowanego przez polską zbrojeniówkę. Jego przedmiotem jest dostarczenie 96 armatohaubic samobieżnych kalibru 155 mm o kryptonimie Krab oraz wozów towarzyszących.

155-milimetrowa armatohaubica Krab to najpotężniejsze działo, jakim dysponują polscy artylerzyści. Ważący ponad 50 t gaśnicowy kolos jest w stanie wystrzelić na odległość około 40 km nawet sześć pocisków na minutę. Umożliwia to programowanie działań taktycznych w zupełnie inny sposób niż do tej pory. Nasze siły zbrojne zyskały dzięki nim nowe, większe możliwości działania.

„Udział w MSPO to dla naszej firmy przede wszystkim możliwość pokazania na dużą skalę produktów Huty Stalowa Wola S.A. Możemy pochwalić się naszymi osiągnięciami, przedstawiając innowacyjne rozwiązania, które mają realny wpływ na modernizację polskiego wojska i potrafią spełnić wysokie oczekiwania kontrahentów”, mówi Bernard Cichocki, prezes Huty Stalowa Wola S.A. ■

133
BOXERY

z 211 mają być uzbrojone w wieżę Lance z armatą automatyczną kalibru 30 mm.



AUSTRALIA

BOXER PODPISANY

COMMONWEALTH OF AUSTRALIA
DEPARTMENT OF DEFENCE

Władze w Canberrze poinformowały 17 sierpnia, że został podpisany z firmą Rheinmetall kontrakt o wartości 3,3 mld dolarów australijskich na dostawę 211 kołowych

opancerzonych wozów bojowych Boxer. Przy czym całkowite koszty zakupu sięgną 5,2 mld dolarów. Dostawy

rozpoczną się w przyszłym roku. 133 boxery z 211 mają być uzbrojone w wieżę Lance z armatą automatyczną kalibru 30 mm. TED



JAPONIA

Europejska szansa

W 2014 roku rząd japoński zliberalizował bardzo restrykcyjne przepisy dotyczące eksportu uzbrojenia i sprzętu wojskowego.

Jednak dotychczas nie udało się zawrzeć żadnych spektakularnych kontraktów. 20 sierpnia serwis Nikkei poinformował, że władze w Tokio rozmawiają z rządami Francji i Niemiec w sprawie wykorzystania technologii i części z japońskiego morskiego samolotu patrolowego P-1 w nowej konstrukcji, którą zamierzają opracować te państwa. Francuzi potrzebują następcy maszyn

Atlantique 2, a Niemcy – P-3 Orion. Japoński P-1, produkowany przez Kawasaki Heavy Industries, to jedyny na świecie morski samolot patrolowy od początku zaprojektowany do celów wojskowych. Mimo że P-1 interesowało się kilka państw, żadne nie zdecydowało się go kupić. Z pewnością wpływ na to miała wysoka cena samolotu, około 145 mln dolarów.

P-1 to jedyny na świecie morski samolot patrolowy od początku zaprojektowany do celów wojskowych.

UKRAINA

Czarnomorski Neptun

Ministerstwo obrony Ukrainy poinformowało 17 sierpnia o udanej próbie wystrzelenia pocisku przeciwokrętowego Neptun. Sekretarz Narodowej Rady Bezpieczeństwa i Obrony Ukrainy Ołeksandr Turczynow podał, że podczas testu na południu obwodu odeskiego trafił on w cel odległy o ponad 100 km. Według niego, pociski zapewnią skuteczną obronę wybrzeży kraju, gdyż mogą razić wrogie okręty w odległości do 300 km, w tym stojące w portach. Turczynow podkreślił, że będzie można nimi niszczyć cele nadbrzeżne oraz strategiczne mosty czy przeprawy promowe. WRT

TURCJA

WŁASNY
ŚMIGŁOWIEC

Firma Turkish Aerospace Industries zakończyła montaż pierwszego prototypu wielozadaniowego śmigłowca T625 rodzimej konstrukcji, poinformował 19 sierpnia Daily Sabah. Po testach naziemnych maszyna ma się wzbić pierwszy raz w powietrze w październiku 2018 roku. Dwusilnikowy T625 ma być śmigłowcem klasy sześciotonowej. Poza dwuosobową załogą zabierze na pokład 12 pasażerów. T625 zostanie przystosowany do działań w różnych środowiskach geograficznych oraz niekorzystnych warunkach pogodowych. WR



TAI

GOVERNMENT OF JAPAN



RAFAŁ
CIAŚOŃ

Mistrz rekordów



Tadeusz Sołtyk urodził się w Radomiu w 1909 roku. Po ukończeniu w 1928 roku gimnazjum przyszły konstruktor rozpoczął naukę na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej, szybko jednak zmienił go na Wydział Mechaniczny. Już na pierwszym roku studiów Sołtyk pomagał w organizacji II Krajowego Konkursu Awionetek na lotnisku mokotowskim. Lotnictwo, obok żeglarstwa, wkrótce stało się jego drugą pasją – w 1932 roku ukończył kurs szybowcowy, a trzy lata później Szkołę Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie. Rok wcześniej Sołtyk ukończył również studia, po których rozpoczął pracę w zakładach PZL na Okęciu w zespole inż. Stanisława Praussa. Był zaangażowany w prace mające na celu udoskonalenie samolotu liniowego PZL-23 Karaś oraz w zaprojektowanie jego niedoszedłego następcy – PZL-46 Sum.

Pracował także nad samolotami rozpoznawczymi, które nie zdążyły trafić do produkcji.

Po wybuchu wojny Sołtyk został ewakuowany ze stolicy wraz z bazą 1 Pułku Lotniczego. Brał udział w bitwie pod Kockiem, ostatecznie w kampanii wrześniowej. Dostał się wówczas do niewoli, z której udało mu się jednak zbiec. W czasie wojny ukrywał się w majątku Brzeście pod Radomiem. Po wyzwoleniu spod okupacji hitlerowskiej rozpoczął pracę w grupach operacyjnych zabezpieczających przejęty od Niemców sprzęt techniczny, ale już w październiku 1944 roku objął stanowisko kierownika Biura Studiów i Projektów Wydziału Lotnictwa Cywilnego Resortu Komunikacji, Poczty i Telegrafu, gdzie pracował nad samolotem dyspozycyjnym Szpak-1. W lutym 1945 roku został kierownikiem Biura Konstrukcyjnego Lotniczych Warsztatów Doświadczalnych w Łodzi, gdzie pracował nad kolejnymi projektami – takimi maszyn jak: Żak, Junak, Zuch, Żuraw, Miś, Goniec, Bies czy Skrzat. Jednocześnie prowadził wykłady na politechnikach Łódzkiej i Gdańskiej.

W 1950 roku Tadeusz Sołtyk został wyznaczony na stanowisko głównego konstruktora w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego na Okęciu, gdzie uruchomił produkcję zmodyfikowanej wersji samolotu szkolno-treningowego Junak-2 oraz zmodyfikowanej wersji Po-2 – sanitarki CSS S-13. Pracował również nad całkowicie metalowym samolotem szkolno-treningowym, oblatanym ostatecznie w 1955 roku i oznaczonym (w nawiązaniu do inicjałów konstruktora) jako TS-8 Bies, który w kolejnych dwóch latach zdobył w swej klasie trzy międzynarodowe rekordy. Cztery rekordy ustanowiła oblatana w 1960 roku TS-11 Iskra. Konstruktor nie spoczął na laurach – opracował dwusilnikową wersję tej maszyny, czyli Iskrę-2, również w wariantcie dyspozycyjnym, samolot dyspozycyjny TS-15 Fregata i rolniczy TS-17 Pelikan. W połowie lat sześćdziesiątych przygotował projekt ponaddźwiękowego samolotu szkolno-bojowego TS-16 Grot, który miał szansę stać się drugim na świecie tej klasy. Niestety w ówczesnych realiach politycznych nie mógł on trafić do produkcji seryjnej, a niewidzący szans rozwoju zawodowego konstruktor podjął pracę w Przemysłowym Instytucie Automatyki i Pomiarów. Już na emeryturze udzielał się jako konsultant przy projektach samolotów PZL-130 Orlik i I-22 Iryda.

Ogółem zbudowano około 1050 samolotów konstrukcji prof. Sołtyka, który zmarł w 2004 roku i spoczął na Starych Powązkach. ■



RAFAŁ CIAŚOŃ jest doktorantem Akademii Sztuki Wojennej, ekspertem Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.

STRATEGIE

/ ZAGROŻENIA

EBRAHIM NOROOZI/AP/EAST NEWS



Prezydent HASAN ROUHANI jest zdania, że Ameryka będzie żałować swojej decyzji o nałożeniu sankcji na jego kraj, i oskarża Waszyngton o prowadzenie „wojny psychologicznej” przeciw Iranowi.

TOMASZ OTŁOWSKI

W TEHERANIE BIJĄ W WERBLE

Hasan Rouhani ostrzega Donalda
Trumpa przed **matką wszystkich
wojen.** Czy grozi nam konflikt
na skalę globalną?



K

iedy w lipcu 2018 roku doszło do gwałtownego zaostrenia relacji na linii Waszyngton – Teheran, wymiany oskarżeń i wojowniczych zapowiedzi pomiędzy prezydentami Donaldem Trumpem i Hasanem Rouhanim, świat nie ukrywał zaskoczenia. Sytuacja ta nie powinna jednak dziwić, wszak napięcie między Stanami Zjednoczonymi a Islamską Republiką Iranu – które nigdy nie były przyjaciółmi – narastało sukcesywnie od chwili jednostronnego wypowiedzenia przez amerykańską administrację porozumienia nuklearnego z Iranem („Wspólny całościowy plan działania” – Joint Comprehensive Plan of Action – JCPOA). Układ ten, zawarty w 2015 roku między IRI a pięcioma stałymi członkami Rady Bezpieczeństwa ONZ oraz Niemcami, przewidywał zredukowanie irańskiej aktywności nuklearnej w zamian za zniesienie międzynarodowych sankcji i zagraniczne inwestycje w gospodarkę Iranu.

Wypowiedzenie JCPOA przez USA w maju 2018 roku postawiło dalsze obowiązywanie tej umowy pod dużym znakiem zapytania, nawet mimo deklaracji ze strony innych sygnatariuszy, że nadal pozostają związani jej postanowieniami. Waszyngton nie tylko sam ponownie wdrożył ostre sankcje ekonomiczne i finansowe wobec Iranu, lecz także stale podejmuje działania uniemożliwiające współpracę gospodarczą Teheranu ze światem. W praktyce dotyczy to swobody handlu ropą naftową, która jest podstawowym bogactwem surowcowym IRI i głównym źródłem wpływów do jej budżetu. USA mają tu potężne i skuteczne instrumenty oddziaływania. Taka perspektywa spędza sen z powiek ajatollahom.

Amerykańskie sankcje mogą osiągnąć każdej firmy z Zachodu chcącej dalej prowadzić biznes w Persji. Nic więc dziwnego, że w obawie przed amerykańskimi restrykcjami wiele

europejskich firm, w tym giganci z branży samochodowej i petrochemicznej, zrezygnowało z planowanych lukratywnych kontraktów z Iranem. Stało się tak nawet mimo obietnic rządów z Paryża, Londynu i Berlina, że zapewnią one swoim przedsiębiorcom wszelką ochronę polityczną i prawną w starciu z machiną sankcyjną.

W nieco lepszej sytuacji są podmioty gospodarcze z państw tradycyjnie rywalizujących z USA, jak Chiny czy Rosja, które już zapowiedziały, że nie podporządkują się amerykańskim żądaniom zastopowania wymiany handlowej z Teheranem. Jednak i one muszą liczyć się z konsekwencjami takiej decyzji, zwłaszcza jeśli będą chciały wejść na rynek amerykański lub współpracować z podmiotami już tam aktywnymi.

POD SZYICKIM PÓŁKSIĘŻYCEM

Dlaczego zatem prezydent Donald Trump podjął decyzję o jednostronnym wypowiedzeniu układu z Iranem? W dużym skrócie można powiedzieć, że obecna administracja amerykańska jest przekonana o złych korzeniach tej umowy. Zachodni negocjatorzy tego traktatu dążyli bowiem do jak najszybszego sfinalizowania rozmów i podpisania porozumienia za wszelką cenę. A więc bez uzyskania faktycznych, realnych ustępstw ze strony Iranu, szczególnie w kwestii jego agresywnej polityki międzynarodowej w regionie oraz rozbudowanego programu rakietowego. Donald Trump i jego najbliżsi współpracownicy są tu zresztą konsekwentni – jeszcze w trakcie prezydenckiej kampanii wyborczej w USA podkreślali konieczność renegowacji JCPOA. Teheran jednak kategorycznie odrzucił taką możliwość.

Fiasko porozumienia nuklearnego to niejedyny powód gwałtownie rosnącego napięcia między Iranem a USA. Równie ważne są, istniejące od dawna, fundamentalne różnice celów strategicznych obu państw w regionie bliskowschod-



Iran od początku wojny w Syrii wspiera reżim BASZSZARA AL-ASADA.



Waszyngton nie tylko sam ponownie wdrożył sankcje ekonomiczne i finansowe wobec Iranu, lecz także aktywnie działa na rzecz eliminacji możliwości współpracy gospodarczej tego państwa ze światem. Pierwsza część sankcji obejmuje m.in. dostęp do amerykańskiej waluty. Na zdjęciu ulica w Teheranie, sierpień 2018 roku

W OBAWIE PRZED AMERYKAŃSKIMI RESTRYKCJAMI WIELE EUROPEJSKICH FIRM ZREZYGNOWAŁO JUŻ Z PLANOWANYCH LUKRATYWNYCH KONTRAKTÓW Z IRANEM

nim. Relacje między nimi nigdy nie były najlepsze, ale teraz mocarstwa znalazły się na kursie kolizyjnym w odniesieniu do wszystkich gorących punktów na Bliskim Wschodzie: od konfliktu izraelsko-palestyńskiego i bezpieczeństwa Izraela, przez kwestię iracką, sytuację w Libanie, wojny w Syrii i Jemenie, aż po skomplikowane relacje międzynarodowe w subregionie Zatoki Perskiej.

Iran, od momentu przekształcenia się w rezultacie rewolucji Chomeiniego w teokratyczną islamską republikę, prowadzi w regionie agresywną politykę i dąży do realizacji własnych celów ideologicznych. Przez kilka pierwszych dekad istnienia IRI sukcesy w tej dziedzinie były jednak niewielkie. Teokratyczny Iran przejął co prawda rząd dusz nad większą częścią szyickiej społeczności w Libanie, co pozwoliło na utworzenie Hezbollahu i utrzymanie w szachu Izraela. Już później udało się mu nawiązać dobre relacje z palestyńskim Hamasem, a także stworzyć mechanizm wsparcia dla wywrotowych działań szyitów żyjących w wielu państwach regionu. Dopiero jednak

amerykańska interwencja w Iraku w 2003 roku i obalenie władzy Saddama Husajna otworzyły Teheranowi drogę do pełnej realizacji głównego celu – utworzenia w regionie szyickiego półksiężyca, czyli przejścia przez IRI politycznej i strategicznej kontroli nad pasem ziem Bliskiego Wschodu zamieszkanym przez szyitów: od Libanu i Syrii na zachodzie, przez Irak, aż po szyickie tereny w Afganistanie na wschodzie. Kontrolowanie tego obszaru ma być z kolei wstępem do ostatecznego wyzwolenia Jerozolimy, czyli likwidacji państwa żydowskiego.

SZANSA NA WYJŚCIE Z IZOLACJI

Irańskie zaangażowanie w wojnie w Syrii po stronie reżimu Baszszara al-Asada, wsparcie szyickiego ruchu Hutich w Jemenie, a także głębokie ingerowanie w sprawy polityczne i społeczno-gospodarcze Iraku to właśnie elementy działań na rzecz jednej i tej samej strategii IRI. Jednakże wydarzeniem, które paradoksalnie najbardziej ułatwiło realizację celów Teheranu, stało się powstanie kalifa-



tu Państwa Islamskiego w 2014 roku. Iran, dzięki zdecydowanym działaniom militarnym w Iraku i Syrii, pokazał się wówczas światu jako ważny gracz regionalny, zaangażowany w zwalczanie zagrożenia terrorystycznego ze strony radykalnego islamu sunnickiego. Notowania Teheranu na Zachodzie, zwłaszcza wśród nieświadomej niuansów geopolitycznych opinii publicznej, niespodziewanie bardzo wzrosły, co umożliwiło przyspieszenie i ostateczne sfinalizowanie negocjacji nad JCPOA.

Porozumienie nuklearne dawało Iranowi nadzieję – po raz pierwszy od rewolucji islamskiej z 1979 roku – na wyjście z roli regionalnego pariasa. Było też wymarzoną przez dużą część Irańczyków okazją do nawiązania ze światem normalnych relacji politycznych, a przede wszystkim ekonomicznych. Szczególnie ten ostatni aspekt miał niebagatelne znaczenie, IRI jest bowiem dysponentem czwartych co do wielkości na świecie złóż ropy naftowej, szacowanych na ponad 157 mld baryłek. I choć irański handel ropą nigdy nie został w pełni zatrzymany przez sankcje zachodnie, to lata restrykcji zrobiły swoje: przemysł petrochemiczny IRI jest zacofany, niedoinwestowany i tym samym niewydolny.

Otwarcie gospodarki irańskiej na świat było zatem szansą na zalanie światowych rynków ropą z Persji, a więc również znaczące zmniejszenie jej ceny. Nic dziwnego, że taka perspektywa nie spodobała się innym producentom czarnego złota, zwłaszcza arabskim krajom Zatoki Perskiej, od dawna skonfliktowanym z Iranem także w wymiarze ideologiczno-religijnym, oraz uzależnionej od cen ropy Rosji. Nadzieje społeczne na hossę po pełnym wejściu w życie JCPOA były w Iranie olbrzymie. Tym bardziej zabolęła Irańczyków decyzja USA z maja 2018 roku. Powróciły nastroje antyamerykańskie, umiejętnie podsycane przez konserwatystów, a zawołanie „śmierć Ameryce”, nazywanej wielkim szatanem, ponownie wybrzmiały na ulicznych demonstracjach, również tych, które zwoływano w proteście przeciwko polityce wewnętrznej rządu.

UCIECZKA DO PRZODU

Z takiego obrotu rzeczy cieszą się irańscy konserwatyści, będący w opozycji do rządu Rouhaniego. Od początku uważali oni negocjacje nad JCPOA jeśli nie za zdradę ideałów rewolucji Chomeiniego, to przynajmniej za błąd polityczny obecnej władzy, wspartej jednak autorytetem najwyższego przywódcy IRI, Alego Chameneiego. Podejmując próbę otwarcia Iranu na świat, prezydent Rouhani zagrał *va banque* i rzucił wszystko na jedną szalę. I aż do zwycięstwa Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich w USA wydawało się, że obstawił właściwie.

Teraz sytuacja polityczna w Iranie znacznie się jednak skomplikowała. Konserwatyści już zwietrzyli krew i oskar-



Samo tylko zaburzenie działania irańskiego systemu OPL wymagało- by od przeciwnika jednoczesnego użycia co najmniej 70–100 pocisków samosterujących, nie licząc znaczącego udziału komponentu lotniczego.

POROZUMIENIE NUKLEARNE DAWAŁO IRANOWI NADZIEJĘ NA WYJŚCIE Z ROLI REGIONALNEGO PARIASA

zają rząd Rouhaniego nie tylko o fiasko układu nuklearnego, ale i o fatalną koniunkturę gospodarczą, galopującą inflację i dwucyfrowy wskaźnik bezrobocia. Paradoks polega na tym, że lekiem na większość z tych bolączek Iranu miał być właśnie masowy napływ zagranicznych inwestycji po wdrożeniu JCPOA. Dzisiaj widać już, że perspektywy realizacji takiego scenariusza są więcej niż mgliste. Jakby tego było mało, Iran został dotknięty klęską suszy i związanym z tym kryzysem energetycznym, który obnażył dramatyczne zacofanie technologiczne i niedoinwestowanie tego sektora gospodarki.

W tle tego wszystkiego, gdzieś za kulisami kulis, zaczyna się zażarta walka o polityczną schedę po Alim Chameineim, którego stan zdrowia – jak głoszą plotki w Teheranie – jest tak poważny, że duchowny może umrzeć w każdej chwili. Niepowodzenie misternej strategii Rouhaniego, której osią było wdrożenie JCPOA i wyciągnięcie Iranu z głębokiego kryzysu, poważnie osłabiło szanse obecnego prezydenta na zajęcie miejsca po Chameneim. W takiej rzeczywistości prezydent został zmuszony do klasycznej ucieczki do przodu, czyli próby przelicytowania w radykalizmie konserwatywnej opozycji. Stąd właśnie zaostrenie stanowiska nie tylko wobec USA, ale także Europy, w po-

staci szantażu w sprawie utrzymania w mocy przez UE porozumienia nuklearnego. Stąd też nagły zwrot Rouhani ku irańskim twardogłowym wojskowym środowiskom rewolucyjnym. Wszystko to sprawiło, że w Teheranie po kilku latach względnej ciszy znowu słychać odgłos wojennych werbli.

CZARNE SCENARIUSZE

Równie istotnym problemem jest to, że obecny prezydent Stanów Zjednoczonych jest nieprzewidywalny. To, co przeciętny zawodowy polityk lub dyplomata z Zachodu zasadnie uznałby za zwykłą grę dyplomatyczną irańskich władz, Trump gotów jest potraktować jako osobiste wyzwanie wojenne i realne zagrożenie dla bezpieczeństwa USA oraz ładu międzynarodowego. Dowodem na to, że otoczenie wóldarza Białego Domu nie do końca orientuje się w subtelnych zawiłościach realiów bliskowschodnich, była operacja militarna wymierzona w kwietniu 2018 roku w Syrię za rzekome użycie przez nią broni chemicznej w trakcie walk z rebeliantami.

Jak widać, Trump i jego administracja ważkie decyzje dotyczące sfery międzynarodowej podejmują pod wpływem emocji. Na stosunek prezydenta USA do kwestii irańskiej wpływa zaś obecnie nie tylko prowokacyjna retoryka (a za chwilę być może i konkretne działania w regionie) samego Teheranu, lecz także nieustanne podburzanie przeciwko Iranowi – z jednej strony przez Izrael i proizraelskie lobby w Waszyngtonie, z drugiej przez Arabię Saudyjską i inne państwa sunnickie. W specyficznych okolicznościach może to się okazać mieszkanką wybuchową, która zainicjuje otwarty konflikt między USA a Iranem. Wojny, której na Bliskim Wschodzie wszyscy od dawna się spodziewają, ale nikt nie bierze na poważnie możliwości jej wybuchu, głównie ze względu na niewyobrażalnie negatywne konsekwencje.

Warto zastanowić się nad tym, jaki mógłby być najbardziej prawdopodobny przebieg ewentualnego otwartego konfliktu militarnego między USA a IRI. Zarówno prezydent Donald Trump, jak i sekretarz stanu Mike Pompeo wielokrotnie się zarzekali, że nie dążą do zmiany reżimu w Teheranie, choć zachęcają do tego samych Irańczyków. Jeśli brać te wypowiedzi serio, to najpewniej celem ewentualnych ataków byłoby wyłącznie zlikwidowanie potencjału atomowego Iranu, czyli eliminacja instalacji związanych z programem nuklearnym. Realizując to zadanie, amerykańskie siły zbrojne musiałyby także zająć się obiektami typowo militarnymi, a także odpowiadać na nieuchronne kontrataki i reakcje przeciwnika.

Uwzględniając rozmiary terytorium Iranu, specyfikę jego położenia i potencjał militarny, warto jednak zauważyć, że już samo tylko ogłuszenie irańskiego systemu OPL wy-

magałoby jednoczesnego użycia co najmniej 70–100 pocisków samosterujących, nie licząc znaczącego udziału komponentu lotniczego, w tym zwłaszcza samolotów walki radioelektronicznej. Osobnym problemem są same instalacje nuklearne – Irańczycy od początku budowali je przy założeniu, że któregoś dnia mogą stać się one celem zmasowanego ataku wrogów Islamskiej Republiki: jeśli nie Izraela, to USA. Są to więc potężnie ufortyfikowane obiekty, umieszczone głęboko we wnętrzu masywów górskich w wydrążonych tunelach i sztucznych jaskiniach lub w żelbetowych strukturach o stropach grubości do 15 m, dodatkowo zamaskowanych wielometrową warstwą ziemi. Ich zniszczenie przy użyciu najpotężniejszych nawet bomb konwencjonalnych może stanowić nie lada problem, a zastosowanie taktycznej broni nuklearnej z oczywistych względów nie wchodzi w grę. Ewentualna wojna z Iranem nie byłaby jednak starciem konwencjonalnym, lecz asymetrycznym – w tym wypadku ilość, rodzaje i stopień nowoczesności posiadanej broni miałyby drugorzędne znaczenie, szczególnie w przypadku Iranu.

Pomimo przestarzałego uzbrojenia IRI ma atuty strategiczne, które sprawiają, że decyzja o zaatakowaniu irańskich instalacji nuklearnych powinna zostać przemyślana.

Po pierwsze, przewagą Iranu jest już samo położenie geograficzne, umożliwiające faktyczną kontrolę nad strategicznym szlakiem wodnym, przebiegającym przez cieśninę Ormuz. Jest ona jedyną bramą dla eksportu z regionu ropy naftowej i skroplonego gazu ziemnego drogą morską z Zatoki Perskiej – zarówno z Iranu, jak i arabskich państw znad tego akwenu.

Po drugie, Teheran dysponuje pokaźnym arsenałem rakietowym, który nie ma sobie równych w regionie. Nawet przy założeniu, że część rakiet balistycznych to prototypy lub wręcz propagandowe fantomy, wymyślone na użytek PR-u i w celu zmylenia wrogich wywiadów.

Po trzecie wreszcie, dzięki rozbudowanej sieci regionalnych sojuszników (władze w Syrii, Hezbollah w Libanie, Hamas w Strefie Gazy, szyckie milicje w Iraku i Jemenie, bojówki w Bahrajnie i Kuwejcie) Iran ma możliwość pośredniego oddziaływania na sytuację w całym regionie. To nie tylko dodatkowe militarne środki nacisku, np. na Izrael, lecz także narzędzia dające sposobność rozszerzenia konfliktu z Ameryką praktycznie na cały Bliski Wschód. Tym samym prosta i krótka w założeniu polityków z Białego Domu i planistów Pentagonu operacja militarna sił USA mogłaby błyskawicznie przerodzić się w wojenny koszmarny dla całego regionu, a pośrednio, ze względu na skutki ekonomiczne, także i świata. Wydaje się, że właśnie to miał na myśli prezydent Hasan Rouhani, ostrzegając swego amerykańskiego odpowiednika przed „matką wszystkich wojen”.



MICHAŁ ZIELIŃSKI

Lepiej tam niż w grobach

Turcy mają solidne podstawy do tego, by swoje granice zabezpieczyć murem. Takie posunięcie uderza jednak nie tylko w terrorystów i przemytników, lecz także w uciekających przed wojną cywilów.

Kilkuletni chłopiec ostrożnie podaje tacę z herbatą. Jednocześnie dziecko nie spuszcza wzroku z przyjezdnych. W tej części Rożawy obcy zwykle oznaczają kłopoty.

Abu Szawan sięga po jedną z filiżanek. „Wcześniej nie było samochodów. Żebym mógł spotkać się z przyjaciелеm, musiałem podjąć wysiłek i wyruszyć w prawdziwą drogę. Teraz ludzie mają auta i pieniądze, ale wartość drugiego człowieka straciła na znaczeniu”. Abu Szawan całe sześćdziesięcioletnie życie spędził w Kor Ali. Nigdy nie było tam łatwo, ale przy odrobinie wysiłku mężczyzna mógł zapewnić rodzinie

FAŁA UCHODźCÓW TO NIE JEDYNY, A MOŻE NAWET NIE GŁÓWNY POWÓD BUDOWY MURU



Mur ciągnie się przez 764 km, niemal na całej długości granicy turecko-syryjskiej. Szeroka na 2 m oraz wysoka na 3 m bariera nafaszerowana jest nowoczesną technologią.

wszystko, co potrzebne do przetrwania – schronienie, pokarm i wodę. W 2014 roku przyszła wojna. Dla mieszkańców Kor Ali nie była ona zaskoczeniem, więc zdążyli uciec przed bojownikami spod znaku czarnych flag. Część osób trafiła do Turcji, niektórzy zostali przygarnięci przez krewnych w Iraku.

Kurdowie wrócili do Kor Ali po kilku miesiącach. Wkrótce pojawili się tam tureccy żołnierze oraz robotnicy, którzy na miejscu, gdzie od wieków były sady, postawili betonową konstrukcję. Teraz uwięziony drutem kolczastym mur z daleka odcina się od łagodnego krajobrazu. Po jednej stronie jest Syria. Po drugiej – bliźniaczo podobny krajobraz. Ale to już Turcja. „Jest tam dwóch moich synów. Nie widziałem ich od trzech lat, słyszymy się jedynie przez telefon”.

Diyako i Ferhad uciekli do Turcji podczas walk o Kobani. Po tym, jak tureckie władze zdecydowały się zamknąć przejście, okazało się, że nie mają oni możliwości powrotu. Teoretycznie mogliby przekroczyć granicę w Dżarabulus, ale dla Kurdów wkroczenie na tereny kontrolowane przez turkmeńskie oddziały Wolnej Armii Syrii w najlepszym wypadku skończyłoby się





Ten mężczyzna całe swoje sześćdziesięcioletnie życie spędził w Kor Ali. Nigdy nie było tam łatwo, ale przy odrobinie wysiłku mógł zapewnić rodzinie wszystko, co potrzebne do przetrwania

aresztowaniem i koniecznością zapłacenia swojego okupu. W najgorszym – śmiercią.

Diyako ożenił się w Turcji, ale Ferhad zostawił w Rożawie żonę i trójkę dzieci. „Nie mam żalu. Uciekali przed wojną. Lepiej, że są tam niż w grobach”. Abu Szawan stara się ukryć swoje emocje, ale mimo to na jego czole pojawia się bruzda. Mężczyzna skupia wzrok na betonowych segmentach i znajdujących się za nimi wzgórzach. „Zapraszałem robotników na herbatę, niektórzy pochodzili z tych okolic. Piliśmy raczej w milczeniu. Co mieli nam powiedzieć?”. Abu Szawan pytał także tureckich żołnierzy, dlaczego wycinają jego drzewa. Usłyszał, że ma trzymać się z daleka.

TURECKI PATROL

Mur ciągnie się przez 764 km, niemal na całej długości granicy turecko-syryjskiej. Szeroka na 2 m oraz wysoka na 3 m bariera nafaszerowana jest nowoczesną technologią. W ponad stu wieżach wartowniczych zamono-

owano m.in. kamery termiczne, sensory drgań oraz hałasu, zdalnie sterowane wieżyczki strzelnicze, lampy aktywowane na fotokomórkę, a nawet systemy wykrywania oraz przechwytywania dronów. Dodatkowo wzdłuż muru ciągnie się droga techniczna, która regularnie jest patrolowana przez transportery opancerzone. Przeważającą część konstrukcji wybudowała powiązana z tureckim rządem firma TOKI.

Za oficjalny powód powstania bariery podano przedłużającą się wojnę w Syrii oraz niekontrolowany napływ uchodźców (wśród nich także tych powiązanych z organizacjami terrorystycznymi). Faktem jest, że począwszy od 2011 roku to właśnie na państwach ościennych Syrii, w tym Turcji, spoczął największy ciężar wynikający z toczącego się konfliktu. Zarazem granica tego państwa, jako członka NATO i Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, jest jednocześnie granicą zewnętrzną obu tych organizacji. Mimo że państwa członkowskie Unii Euro-



W CIENIU DOMU CHOWA SIĘ GRUPA DZIECI.

MICHAŁ ZIELIŃSKI (2)

NAJSTARSZE Z NICH
JEST W WIEKU
SZKOLNYM. NAJ-
MŁODSZE MA NIE-
SPEŁNA TRZY LATA.
ZA ICH PLECAMI
JEST SOLIDNA ŚCIA-
NA, A ZA ŚCIANĄ BE-
TONOWY MUR

pejskiej potępią agresywną politykę antyimigracyjną, przynajmniej część z nich aktywnie poparła budowę muru. Według ustaleń tygodnika „Der Spiegel” oraz organizacji European Investigative Collaborations, w zamian za ochronę granic Zachód przekazał Turcji zaawansowane systemy monitorujące o wartości prze-

kraczącej 80 mln dolarów. Jednocześnie w ramach programu rozwojowego IPA, Bruksela przekazała koncernowi Otokar dotację w wysokości 35,6 mln euro. Została ona przeznaczona na konstrukcję transporterów opancerzonych Cobra II, których używa się do patroli pogranicza.

Wcześniej, w ramach umowy zawartej w marcu 2016 roku, Unia Europejska zobowiązała się wesprzeć Ankarę kwotą 3 mld euro. Środki te miały zostać przeznaczone na utrzymanie ponad 3 mln syryjskich uchodźców, którzy przebywają na jej terytorium. Zarazem tureckie granice, m.in. pod naciskiem UE, zostały zamknięte. Uchodźców nie przyjmują także Jordania oraz Liban. Syria stała się zatem więzieniem, z którego można uciec wyłącznie w nielegalny sposób.

Fala uchodźców to jednak nie jedyny, a może nawet nie główny powód budowy muru. Konstrukcję najsilniej ufortyfikowano w miejscach kontrolowanych przez Kurdów. Po trwającym do 2015 roku zawieszeniu broni we wschodniej Turcji na nowo wybuchły walki z PKK (Partia Pracujących Kurdystanu). Zarazem niemal dwie trzecie długości granicy po stronie syryjskiej jest kontrolowane przez Powszechne Jednostki



Ochrony – YPG. Organizacje te są ze sobą powiązane i dążą do powołania niezależnego Kurdystanu. Niezabezpieczone granice pozwalały Kurdom przetrzymać broń oraz bojowników, a także szmuglować towar.

Jednym z przemytników był Rebin. Z nostalgią wspomina czasy, w których wypychał plecak kartonami papierosów i przedzierał się do Turcji. Zdarzało się, że robił to nawet kilka razy dziennie. Był to bardzo dochodowy proceder, dzięki któremu Rebin mógł nie tylko utrzymać rodzinę, lecz także pozwolić sobie na dostatnie życie. „Przedostanie się na drugą stronę nie stanowiło żadnego problemu. Raz natrafiłem na turecki patrol. Wóz puścił salwę w powietrze, a ja po prostu pobiegłem dalej. Wiedziałem, że nie mogą mnie zastrzelić”.

W czasie walk z bojownikami tzw. Państwa Islamskiego pobliskie Kobani udało się utrzymać m.in. dzięki możliwości przekraczania granicy. W ten sposób Kurdowie nie tylko dostarczali zaopatrzenie, ale także rotowali walczących. Zarazem pod wpływem międzynarodowych nacisków Turcy zgodzili się na ewakuację cywilów oraz przepuścili kilkuset kurdyjskich bojowników, którzy przybyli z odsieczą. Od tego czasu minęły trzy lata, ale równie dobrze mogły upłynąć całe stulecia. Obie strony zdają sobie sprawę, że to już przeszłość.

DWA STRZAŁY W BRZUCH

W cieniu domu chowa się grupa dzieci. Najstarsze z nich jest w wieku szkolnym. Najmłodsze ma niespełna trzy lata. Za ich plecami jest solidna ściana, a za ścianą betonowy mur. Kilkaset metrów dalej znajduje się turecka baza. Z tej odległości przypomina o niej jedynie zatknięta na maszt czerwona flaga. Zarówno trzyletni chłopiec, jak i sześćdziesięcioletni Abu Szawan wiedzą, że za ten widok można zapłacić życiem.

Według organizacji Syrian Observatory of the Human Rights, od wybuchu wojny w Syrii do kwietnia 2018 roku tureckie wojsko zastrzeliło przynajmniej 361 cywilów, usiłujących nielegalnie przekroczyć granicę. Wśród nich znalazły się nie tylko kobiety, lecz także dzieci, w tym niemowlęta. Organizacja udokumentowała także przypadki, że tureccy strażnicy znęcali się nad zatrzymanymi uchodźcami i ich przewodnikami. Ze względu na skalę procederu można przy-

WEDŁUG ORGANIZACJI SYRIAN OBSERVATORY OF THE HUMAN RIGHTS, OD WYBUCHU WOJNY W SYRII DO KWIETNIA 2018 ROKU TURECKIE WOJSKO ZA-STRZELIŁO PRZYNAJMNIEJ 361 CYWILÓW, USIŁUJĄCYCH NIELEGALNIE PRZEKROCZYĆ GRANICĘ

puszczać, że to jedynie wierzchołek góry lodowej.

Zbrodnie, o których opowiadają uchodźcy kurdyjskiego i arabskiego pochodzenia, są trudne do zweryfikowania, ale wspomina o nich także raport Human Rights Watch. Według relacji jednej z kobiet, która próbowała nielegalnie przekroczyć granicę aż siedmiokrotnie, za każdym razem strzelano do niej bez ostrzeżenia. „Podczas jednej z prób towarzysząca mi kobieta została dwukrotnie postrzelona w brzuch. Mężczyźni zabrali ją z powrotem. Zostawiła za sobą ścieżkę z krwi.

Była w ciąży. Innym razem postrzelono trzynastoletnie dziecko, które próbowało dostać się do Turcji wraz z matką. Wiem, że zmarło w Syrii”. Sytuacje, w których strażnicy otworzyli ogień bezpośrednio do cywilów, potwierdza jeszcze innych 12 świadków. Na oczach przynajmniej trzech z nich ktoś stracił życie.

Przemyt ludzi, broni oraz nielegalnych towarów stanowi problem, który trudno kwestionować. Turcja uznaje PKK za organizację terrorystyczną, z jej terytorium przetrzymywano także ochotników chcących walczyć po stronie tzw. Państwa Islamskiego. Bezwzględność stosowanych metod potęguje dramat ludzi szukających schronienia przed wojną. Zarazem ze względu na zamknięte granice oraz ekstremalnie trudną sytuację wewnątrz Syrii, bez nielegalnych szlaków wiele towarów potrzebnych do codziennego życia byłoby po prostu niedostępnych. Teraz trwa budowa podobnego muru na granicy turecko-irańskiej, rząd w Ankarze coraz głośniej mówi także o rozpoczęciu takich prac na granicy z Irakiem. W obu wypadkach tereny te pozostają pod kontrolą kurdyjskich bojówek, w tym PKK.

Nieopodal domu Abu Szawana znajduje się poletko, na którym jeden z lokalnych rolników posadził warzywa. W jednym z rogów tej ziemi pochowano jej poprzedniego właściciela. Wykonany z białego kamienia grobowiec odcina się na tle ciemnobrązowych bruzd. „Przyszłość naszych dzieci jest już zniszczona. Ale to nie ma znaczenia, przetrwamy w tym miejscu”. Abu Szawan z trudem wstaje od stołu i wolnym krokiem kieruje się za dom, w stronę muru. Przystaje na kilka metrów przed betonową konstrukcją. „Tutaj żyli mój pradziadek i dziadek. Gdzie indziej mamy iść?”.

■ Imiona bohaterów zostały zmienione.



LARYSA
LESZCZENKO

Wschodnie trio

Rosyjskie ćwiczenia wojskowe od czasu agresji na Ukrainę przyciągają uwagę zarówno państw ościennych, jak i niemających wspólnej granicy z Federacją Rosyjską. Nieprzewidywalność Moskwy oraz ignorowanie przez nią prawa międzynarodowego spowodowało, że każda rosyjska aktywność wojskowa jest odbierana jako niepokojący sygnał dla krajów nieakceptujących zasad polityki militarnej FR.

Ćwiczenia wojskowe „Wostok ’18” mają charakter międzynarodowy, ponieważ będą w nich uczestniczyć także żołnierze z Chińskiej Republiki Ludowej i Mongolii. 22 sierpnia 2018 roku w stan gotowości bojowej postawiono jednostki wojskowe biorące udział w manewrach, których faza główna jest przewidziana na 11–15 września w centralnym oraz wschodnich okręgach wojskowych. Rosyjski sztab generalny zapowiedział, że w ćwiczeniach weźmie udział około 300 tys. żołnierzy, którzy będą mieli do dyspozycji 36 tys. jednostek lądowego sprzętu wojskowego, ponad tysiąc śmigłowców, samoloty oraz drony, a także okręty ulokowane na oceanach Spokojnym i Arktycznym.

Ćwiczeń o tak dużym zasięgu Rosja nie przeprowadzała od czasów rozpadu ZSRR. Według rankingu Global Firepower, porównującego potencjał militarny państw świata, FR i ChRL zajmują odpowiednio drugie i trzecie miejsce, a Mongolia dopiero 87. na 136 krajów. Wszystkie trzy państwa łączy jednak chociażby Szanghajska Organizacja Współpracy, w której Rosja i Chiny są państwami założycielskimi, a Mongolia ma status państwa obserwatora. Udział Pekinu w „Wostoku” może być jednocześnie potraktowany jako próba sondowania przez Rosję chińskiej potęgi militarnej oraz gest zaufania wobec potężnego sąsiada. Trudno sobie jednak wyobrazić wieczny pokój i przyjaźń między chińskim smokiem a rosyjskim niedźwiedziem.

Jeżeli zaś chodzi o Mongolię, to angażowanie państw niemających znaczącego potencjału militarnego w manewry wojskowe organizowane przez Rosję stało się niejako tradycją. W regularnych ćwiczeniach Organizacji Układu Bezpieczeństwa Zbiorowego biorą udział m.in. takie państwa, jak Armenia, Białoruś, Tadżykistan oraz Kazachstan. Protekcjonizm oraz umacnianie strefy wpływów są stałym elementem polityki zagranicznej Moskwy w odniesieniu do tzw. bliskiej zagranicy. W wypadku Mongolii, wciśniętej między dwóch potężnych sąsiadów należących do klubu państw posiadających broń atomową oraz stałych członków Rady Bezpieczeństwa ONZ, w wyborze partnerstwa strategicznego nie ma alternatywy.

Rosyjskie media już porównują „Wostok ’18” z ćwiczeniami wojskowymi z czasów ZSRR z września 1981 roku. Wówczas w manewrach „Zapad ’81” brały udział państwa Układu Warszawskiego. W Moskwie bacznie przyglądano się ówczesnej sytuacji w Polsce ogarniętej protestami Solidarności, dlatego ćwiczone ewentualne wprowadzenie wojsk UW do kraju. Nostalgiczne nawiązywanie do wydarzeń z przeszłości stało się znakiem rozpoznawczym mediów rosyjskich, głosem, w którym pobrzmiewają niesłabnące marzenia o odrodzeniu się imperium.

LARYSA LESZCZENKO jest zastępcą dyrektora Instytut Studiów Międzynarodowych na Uniwersytecie Wrocławskim.



ROBERT SENDEK

GRA W SZPIEGÓW

Rząd Grecji w połowie lipca wydalili dwóch rosyjskich dyplomatów. Mieli oni inspirować antyrządowe protesty i podburzać ludzi przeciw porozumieniu z Macedonią.

Zimna wojna dawno się skończyła, lecz gry szpiegowskie są w pełnym rozkwicie, zwłaszcza na Bałkanach. Świadczy o tym choćby ostatni kryzys w stosunkach między Grecją a Rosją. Otóż w pierwszej połowie lipca władze greckie wydalili dwóch obywateli rosyjskich za – jak to ujęto – „działalność, która nie odpowiada ich oficjalnemu statusowi dyplomatycznemu”. Ogłoszono ponadto, że Ateny nie wpuszczą do siebie kolejnych dwóch rosyjskich dyplomatów, w związku z ich „działalnością pozaprawną wymierzoną w bezpieczeństwo narodowe”. Rewelacje w tej sprawie ogłosił grecki dziennik „Kathimerini”, który opublikował także nazwisko jednej z wydalonych osób – miał to być Wiktor Jakowlew. Sprawa jest o tyle niejasna, że na liście osób oficjalnie zatrudnionych w rosyjskiej ambasadzie w Atenach takiego nazwiska nie było.

Wydarzenie to kładzie się cieniem na doskonałych dotychczas stosunkach grecko-rosyjskich. To o tyle osobliwe, że Grecja jest uznana

za jedno z najbardziej prorosyjsko nastawionych państw członkowskich Unii Europejskiej. Swego czasu mówiło się nawet, że to koń trojański Moskwy w UE. Dotychczas obie strony zawsze podkreślały, że współpraca układa się doskonale. Akcentowano przy tym wspólnotę religii oraz interesów. Wielu rosyjskich biznesmenów ma w Grecji majątki. Znakiem dobrych kontaktów dwustronnych są też regularne wzajemne wizyty najwyższych przedstawicieli władzy. O jakości tych stosunków świadczy także i to, że w czasie kryzysu związanego z otruciem rosyjskiego szpiega Siergieja Skripała w Londynie, gdy rządy wielu państw europejskich solidaryzowały się z Brytyjczykami i wydalili rosyjskich dyplomatów, Grecy się na to nie zdecydowali. Tym większe jest zaskoczenie ostatnimi wydarzeniami.

NIE BEZ POWODU

Warto zacząć od tego, że cała sprawa ma wymiar symboliczny. Do wydalenia rosyjskich dyplomatów doszło podobno 6 lipca, ale infor-



ANDRZEJ KLIMOW, wiceprzewodniczący komisji do spraw międzynarodowych Rady Federacji Rosyjskiej: „Rosja nigdy nie uważała Grecji za swojego sojusznika i partnera w Europie. Grecja jest członkiem NATO i to wystarczy”.



Zmiany zachodzące na Bałkanach nie podobają się władzom Federacji Rosyjskiej. Na zdjęciu mieszkańcy stolicy Macedonii Skopje manifestują po podpisaniu historycznego porozumienia kończącego trwający od dziesięcioleci spór między sąsiadami, Grecją i Macedonią, o nazwę tego ostatniego. Niektórzy uznali ją za kontrowersyjną.

BORIS GRDANOSKI/AP/EAST NEWS

macje o tym wyciekły do mediów dopiero pięć dni później, pierwszego dnia szczytu NATO w Brukseli. Sojusz oficjalnie zaprosił tam rząd Macedonii do podjęcia rozmów w sprawie pełnego członkostwa. To zaś było możliwe dzięki podpisaniu w czerwcu 2018 roku grecko-macedońskiego porozumienia, kończącego długoletni spór o nazwę Republiki Macedonii [pisaaliśmy o tym w PZ nr 8 w artykule „Metoda przenoszenia gór”, str. 108–110].

Jak donosi grecka prasa, to właśnie starania Macedonii o przyjęcie do NATO oraz grecka zgoda na to po długich latach blokady były tłem działania szpiegów. Otóż Rosjanie, oferując pieniądze, mieli skłaniać prominentne osoby do określonych działań. Dotarli podobno do przedstawicieli władz lokalnych oraz duchownych greckiego kościoła prawosławnego. Swoją rolę w nawiązywaniu kontaktów miało odegrać legalnie działające w Grecji Imperatorskie Prawosławne Towarzystwo Palestyńskie. To utworzona jeszcze za carskich czasów rosyjska organizacja, której misją jest wspieranie pielgrzymów wybierających się do Ziemi Świętej. Jej szefem jest Siergiej Stiepaszyn, człowiek o nader interesującym doświadczeniu zawodowym. Był on bowiem wielolet-

nim funkcjonariuszem rosyjskiego ministerstwa spraw wewnętrznych oraz oficerem Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Nie powinno więc dziwić, że władze rosyjskie pozwalają sobie angażować Towarzystwo do własnych celów, także politycznych.

Greckie media donosiły również, że rosyjskie pieniądze miały trafiać do radykalnych greckich ugrupowań prawicowych, których zadaniem było inicjowanie protestów przeciwko porozumieniu z Macedonią. Według doniesień fundusze na ten cel były przekazywane przez lokalnego biznesmena, rosyjskiego Greka, który po upadku ZSRR przesiedlił się na Bałkany.

Głównym celem całego procederu miało być organizowanie masowych protestów przeciwko zawartej przez rząd grecki umowie z sąsiednią Republiką Macedonii. Przewidywano, że dzięki nim możliwe będzie zablokowanie w parlamencie ratyfikowania umowy grecko-macedońskiej, a w konsekwencji storpedowanie starań Macedonii o członkostwo w NATO. Plan spalił na panewce, ponieważ Rosjanie trafili na niewłaściwego człowieka: próbowali mianowicie skłonić do współpracy oficera greckiej armii, ten zaś poinformował o wszystkim swego przełożonego. Wtedy ruszyła państwowa machina bezpieczeństwa: obu



rosyjskich szpiegów złapano, przestuchano, a następnie wydano z wileczym biletem.

Szczegóły tej sprawy pokazują, że zmiany zachodzące na Bałkanach nie podobają się władzom Federacji Rosyjskiej. Sprawa jest tym bardziej niepokojąca, że to kolejny przykład zakulisowych działań Moskwy w tym regionie, o jakich w ostatnich latach dowiedziała się opinia publiczna. Wśród innych wydarzeń tego typu wymienia się zwykle rosyjskie inspiracje lub wręcz bezpośrednie zaangażowanie Rosjan w próbę zamachu stanu w Czarnogórze jesienią 2016 roku oraz skandal szpiegowski między Serbią i Macedonią, do którego doszło latem 2017 roku. W tym wypadku również można wychwycić ślady działania rosyjskiego wywiadu.

Otworzenie perspektyw członkostwa w sojuszu przed Macedonią, kolejnym kraju po Czarnogórze, oznacza dalszy wzrost wpływów NATO w regionie. Taki przebieg wydarzeń Moskwa postrzega jako naruszenie równowagi sił w Europie oraz rosnące zagrożenie dla własnego bezpieczeństwa. Świadczą o tym reakcje i oficjalne wypowiedzi rosyjskiej administracji. Otóż na wieść o wystosowanym zaproszeniu Macedonii do członkostwa w sojuszu rosyjskie ministerstwo spraw zagranicznych wydało 12 lipca 2018 roku komunikat, w którym ogłoszono, że „Macedonia jest siłą wciągana do NATO”, co – zdaniem Rosjan – „pogłębia podziały istniejące w Europie oraz zwiększa napięcie”. Nawiasem mówiąc, niemal identycznych sformułowań przedstawiciele rosyjskiej administracji używali w 2016 i 2017 roku w kontekście starań Czarnogóry o członkostwo w Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego.

BEZ ODPOWIEDZI

Strona rosyjska zapowiadała, że odpowie Grekom w analogiczny sposób i dwaj ich dyplomaci będą musieli wrócić do ojczyzny. Zapowiadał to m.in. Andriej Klimow, wiceprzewodniczący komisji do spraw międzynarodowych Rady Federacji Rosyjskiej, dodając przy tym w dość zaskakujący sposób, że „Rosja nigdy nie uważała Grecji za swojego sojusznika i partnera w Europie. Grecja jest członkiem NATO i to wystarczy”.

13 lipca 2018 roku ambasadora Grecji Andreasa Friganasa wezwano do rosyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych i wręczono mu notę protestacyjną, ale do końca lipca żadnych innych działań odwetowych nie pod-

NA WIEŚĆ O OFICJALNYM ZAPROSZENIU MACEDONII DO CZŁONKOSTWA W SOJUSZU ROSYJSKIE MINISTERSTWO SPRAW ZAGRANICZNYCH WYDAŁO 12 LIPCA 2018 ROKU KOMUNIKAT, W KTÓRYM OGŁOSZONO, ŻE „MACEDONIA JEST SIŁĄ WCIĄGANĄ DO NATO”

jęto. Marija Zacharowa, rzeczniczka tego ministerstwa, zaczęła natomiast oskarżać Greków o to, że ekspulsja dyplomatów była inspirowana przez Waszyngton. Cała sytuacja zirykowała Greków, tamtejszy rząd uznał bowiem próbę storpedowania umowy z Macedonią za niemal otwarte mieszanie się Moskwy w sprawy wewnętrzne kraju. Rzecznik rządu Dimitris Tzanakopoulos powiedział, że jego kraj chce utrzymywać z Rosją dobre kontakty i pogłębiać przyjaźń, nie będzie jednak tolerował żadnej działalności, która łamie prawo międzynarodowe.

NIE TYLKO GRECJA

Oliwy do ognia w całej sprawie dołączył premier Republiki Macedonii Zoran Zaev. Oświadczył dziennikarzom 16 lipca, że w raportach, które do niego jako premiera docierają, są informacje na temat nielegalnej działalności rosyjskich przedsiębiorców także w Macedonii. Według niego Rosjanie mieli oferować pieniądze macedońskim organizacjom i ugrupowaniom prawicowym, w tym członkom kibicowskiej grupy znanej jako Komiti, którzy w czerwcu 2018 roku hałaśliwie protestowali przed macedońskim parlamentem przeciwko zawarciu umowy z Grecją. Jak twierdzi Zaev, osoby, które zgarnięto sprzed parlamentu za wszczynanie z policją bójek, podczas przesłuchań mówiły, że Rosjanie zapłacili im za wyjście na ulicę z protestami.

Równocześnie Zaev stwierdził w wywiadzie dla amerykańskiego serwisu BuzzFeed News – zapewne również na podstawie służbowych raportów – że w całą sprawę zamieszani są również „prorosyjscy przedsiębiorcy z Grecji”. Mieli oni płacić obywatelom macedońskim od 13 do 21 tys. dolarów za organizowanie w jego kraju „aktów przemocy”. Ich celem miało być zdestabilizowanie sytuacji w kraju oraz doprowadzenie do fiaska referendum, w którym pod koniec roku Macedończycy mają się wypowiedzieć w sprawie umowy z Grecją.

W prasie, i to nie tylko rosyjskiej, zaczęły się pojawiać komentarze, że oskarżenia wysuwane zarówno przez Greków, jak i Macedończyków są głównie na użytek wewnętrzny. Obie strony miałyby mianowicie rzucać na Moskwę oskarżenia po to, by zdyskredytować antyrządowe protesty oraz doprowadzić do przyjęcia w referendach podpisanej przez premierów obu krajów umowy. Niewykluczone, że jest to część prawdy, chociaż wcale nie usprawiedliwia zakulisowej działalności Rosji na Bałkanach. ■

Informacje o stosowaniu na wojnie chemicznych środków toksycznych pojawiają się w kronikach historycznych niemalże od zarania dziejów. Wykorzystywanie przez Persów, Greków, Chińczyków oraz Rzymian toksycznych dymów powstałych ze spalania mieszaniny smoły, siarki i innych substancji, używanie starogermańskich i celtyckich „kurtyn dymnych”, „czarodziejskich oparów” czy słynnego „greckiego ognia”, będącego istną cudowną bronią Cesarstwa Bizantyjskiego w morskich starciach z muzułmanami – te działania stanowiły początek procesu, który zaprowadził ludzkość na flandryjskie równiny pod Ypres, gdzie 22 kwietnia 1915 roku po raz pierwszy zastosowano w warunkach bojowych nowoczesną broń chemiczną.

KOSZMAR YPRES

Użycie iperytu, sarinu i całej gamy innych bojowych środków chemicznych zmieniło oblicze konfliktów zbrojnych i wpłynęło na sposób prowadzenia wojen. Co ciekawe, międzynarodowe prawo publiczne dotyczące zasad prowadzenia wojen („ius in bello”) znacznie wyprzedziło w kwestii regulacji odnoszących się do nowoczesnej broni chemicznej jej faktyczne zastosowanie na wojnie. Pierwsze traktatowe zakazy wykorzystania tego rodzaju uzbrojenia pojawiły się bowiem już pod koniec XIX wieku (konwencja haska z 1899 roku).

Pierwszą zaś umową międzynarodową bezpośrednio i w całości odnoszącą się do zakazu użycia broni chemicznej podczas działań zbrojnych był protokół genewski z 1925 roku, zakazujący stosowania na wojnie gazów, truczyn i substancji chemicznych oraz biologicznych. Aż do przyjęcia w 1993 roku konwencji o zakazie broni che-

TOMASZ OTŁOWSKI

RENESANS BRONI CHEMICZNEJ?



Po oręż od lat uznawany przez cywilizowany świat za barbarzyński coraz częściej sięgają walczący w konfliktach hybrydowych.

Tabu na południu Libii (lata osiemdziesiąte XX wieku). Do tej kategorii działań można też zaliczyć niedawne incydenty z wykorzystaniem bojowych środków chemicznych na terenie Syrii.

Zapisy i normy CWC poszły znacznie dalej niż wcześniejszych umów – traktat zakazuje nie tylko użycia broni chemicznej, lecz także prac nad nią, jej produkcji

micznej (Chemical Weapons Convention – CWC), był on jedynym całościowym porozumieniem międzynarodowym o randze traktatu międzypaństwowego (podpisało go i ratyfikowało łącznie ponad 130 państw) o takim charakterze. Z perspektywy czasu można uznać, że protokół spełnił oczekiwania. O ile bowiem I wojna światowa i lata bezpośrednio po niej następujące to było apogeum stosowania bojowych substancji toksycznych, o tyle kolejny wielki konflikt globalny przyniósł zaledwie kilka niewielkich incydentów z ich wykorzystaniem.

I nic dziwnego, koszmarny Ypres czy Sommy sprawił, że broń chemiczna stała się orężem powszechnie wyklętym, a jej stosowanie było strategiczną i operacyjną ostatecznością, obciążoną olbrzymim ryzykiem politycznym. Albo domeną szalonych satrapów, za nic mających społeczność międzynarodową i jej normy, co doskonale pokazały współczesne już przypadki jej użycia:

fronty wojny iracko-irańskiej (1980–1988), atak gazowy sił irackich na kurdyjską Halabdzę za rządów Saddama Husajna (1988 rok) czy wreszcie gazowanie przez armię libijską (podobno na osobisty rozkaz Muammara Kaddafiego) pustynnych osad i obozów należących do krnąbrnych Beduinów i plemion





WCIĄŻ POZOSTAŁO DO ODNALEZIENIA I ZUTYLIZOWANIA OKOŁO 5% GLOBALNEGO ARSENAŁU, CZYLI TYSIĄCE TON ŚMIERCIONOŚNYCH SUBSTANCJI, MOGĄCYCH UNICESTWIĆ MILIONY LUDZI

i składowania. Przewidziano też stopniową likwidację już wyprodukowanych i zgromadzonych arsenałów. Konwencja o zakazie broni chemicznej to bez wątpienia jeden z kilku przykładów (obok np. konwencji ottawskiej o zakazie stosowania min przeciwpiechotnych) tryumfu ładu prawnomiędzynarodowego, opartego na dorobku systemu Narodów Zjednoczonych w kwestii regulacji relacji międzynarodowych w duchu humanitaryzmu, prymatu zasady pokojowego współistnienia narodów i państw oraz bezwzględnego poszanowania praw człowieka.

Wiele jednak wskazuje na to, że te czasy odchodzą do przeszłości, a skuteczność narzędzi takich jak CWC słabnie. W ciągu ponad dwóch dekad obowiązywania reżimu konwencji udało się zlikwidować niemal 95% światowych zasobów broni chemicznej, oczywiście tych oficjalnie zadeklarowanych przez państwa członkowskie bądź odkrytych przez inspektorów Organizacji ds. Zakazu Broni Chemicznej (Organisation for the Prohibition of Chemical Weapons – OPCW, organizacja wykonawcza powołana na bazie CWC). Wciąż pozostało jednak do odnalezienia i zutylizowania około 5% globalnego arsenału, czyli tysiące ton śmiertelnych substancji, mogących unicestwić miliony ludzi.

OREŻ CZASU CHAOSU

Coraz więcej danych świadczy też o tym, że nawet państwa dotychczas formalnie uznawane w kontekście reżimu CWC za czyste, mogą mieć pochowane na czarnej godzinie spore ilości bojowych substancji chemicznych. Niedawne incydenty w Wielkiej Brytanii, w których główną rolę odgrywał osławiony rosyjski nowiczek, są tylko jednym z wielu przykładów potwierdzających istnienie drugiego życia arsenałów broni chemicznej. Uzasadnione są zatem obawy, że tajne arsenały chemiczne mogą być przedmiotem nielegalnego obrotu w ramach procesów proliferacji i istnienia szarej strefy w handlu bronią masowego rażenia. Ryzyko, że wspomniany nowiczek trafi w ręce np. terrorystów, jest zatem całkiem duże.

To jednak szeroko pojęta hybrydyzacja współczesnych wojen jest tym, co powinno najbardziej niepokoić w kontekście wciąż aktualnej groźby użycia broni chemicznej.

W szczególności chodzi tu o takie procesy, jak prywatyzacja konfliktów, ich rosnąca brutalizacja, a także ogólne rozmycie prawnomiędzynarodowej i politycznej odpowiedzialności państw za prowadzenie wojny. Hybrydowy charakter większości dzisiejszych konfliktów to wymarzone warunki do swobodnego i niemalże bezkarnego stosowania broni chemicznej, zwłaszcza punktowo – na niewielką skalę i na ograniczonym terenie. Dobitym przykładem takiej nowej rzeczywistości jest konflikt w Syrii. Incydenty z wykorzystaniem broni chemicznej podczas trwającej już ósmy rok wojny domowej w tym kraju pokazują, jak łatwo jest w takich warunkach posłużyć się śmiertelną bronią.

Odpowiedzialność za incydenty z wykorzystaniem broni chemicznej w Syrii powszechnie przypisano stronie rządowej (głównie ze względu na to, że porażone zostały tereny znajdujące się pod kontrolą rebeliantów), choć jednoznacznie tego nie dowiedziono. Tym samym i reakcja społeczności międzynarodowej była raczej symboliczna – atak raketowy przeprowadzony 14 kwietnia 2018 roku. W Syrii jednak nie tylko strona rządowa ma dostęp do broni chemicznej – zarówno część sił opozycyjnych wobec Damaszku, jak i formacje Państwa Islamskiego weszły w posiadanie amunicji zawierającej bojowe substancje chemiczne, z których części próbowano już wcześniej używać w walkach.

Taka mętna rzeczywistość konfliktów hybrydowych i asymetrycznych sprawia, że łatwiej jest pokusić się o zastosowanie broni masowego rażenia, a także innych środków uznawanych przez cywilizowany świat za barbarzyńskie (bomby beczkowe czy miny przeciwpiechotne). Nie sposób też nie zauważyć, że wraz z postępującą anarchizacją wojen i wyraźnym odchodzeniem od dorobku „*ius in bello*” rośnie przyzwolenie ze strony zarówno państw, jak i międzynarodowej opinii publicznej na stosowanie w walkach takich zakazanych środków. Wynika to pewnie z tego, że wszystko dzieje się daleko i nie dotyczy nas bezpośrednio. Taka postawa może mieć jednak zatrażające konsekwencje. Któregoś dnia może się bowiem okazać, że broni chemicznej użyto właśnie przeciwko nam. W erze wojen hybrydowych nie jest to abstrakcyjny scenariusz. ■

TADEUSZ
WRÓBEL

Armia kosmiczna

„Donald Trump podczas spotkania z marines w San Diego 13 marca 2018 roku powiedział, że Kosmos jest polem działań wojennych takim samym jak ląd, przestrzeń powietrzna czy morze. Wcześniej o konieczności przygotowania się do wojny w Kosmosie mówił ówczesny doradca amerykańskiego prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego Herbert McMaster. Trump podczas tego spotkania wspominał też o utworzeniu sił kosmicznych, choć, jak wówczas stwierdził, termin ten wymyślił w zupełnie innym kontekście i nieco dla żartu. W tym czasie chyba nawet współpracownicy prezydenta nie mieli pewności, czy mówił serio o nowym rodzaju sił zbrojnych.

9 sierpnia wiceprezydent Mike Pence ujawnił jednak, że Departament Obrony ma plany dotyczące sił kosmicznych, które mogłyby powstać do 2020 roku. Co ciekawe, politykowi podczas wystąpienia towarzyszyli sekretarz obrony Jim Mattis i szef sztabu sił powietrznych gen. Dave Goldfein, którzy wcześniej krytykowali tę koncepcję. Równocześnie Kongres dostał z Pentagonu raport, w którym przedstawiono cztery kroki prowadzące do utworzenia nowego rodzaju sił zbrojnych. Jednym z nich będzie powołanie dowództwa z czterogwiazdkowym generałem na czele.

Prawdopodobnie na Kapitolu rozegra się ostra batalia o siły kosmiczne. Ta koncepcja ma tam wielu przeciwników, krytycznie nastawionych wobec obecnego lokatora Białego Domu. Będzie jeszcze trudniej ją przeforsować, jeśli w listopadzie wybory do Kongresu wygrają demokraci.

Propozycji utworzenia sił kosmicznych nie omieszkali już wyśmiać niechętni prezydentowi celebryci. Wbrew kpinom z militaryzacji Kosmosu to nie są kosmiczne jaja, jeśli nawiązać do tytułu komedii Mela Brooksa. Co prawda, podpisany w 1967 roku traktat o przestrzeni kosmicznej tego zakazuje, ale główni gracze – Stany Zjednoczone, Rosja i Chiny – podejrzewają się wzajemnie o jego łamanie.

W razie konfliktu manewrujące satelity mogą być wykorzystane do kinetycznego niszczenia innych obiektów na orbicie. Chińczycy podobno testowali wykorzystanie w podobnym celu rakiet balistycznych. Z kolei według Rosjan, Amerykanie zamierzają umieścić na orbicie „buławę Boga”, czyli urządzenia z prętami z mocnych stopów, które w razie wojny zrzucono by na terytorium wroga. Podejrzenia budzą też bardzo długie, tajemnicze misje amerykańskich promów bezzałogowych. Warto również pamiętać, że trwają prace nad laserami oraz bronią wykorzystującą impulsy elektromagnetyczne lub wysokiej mocy mikrofalę, której można by użyć przeciwko celom na orbicie. Rozwój technologii, w tym tych podwójnego zastosowania, powoduje, że demilitaryzacja Kosmosu staje się fikcją. ■



HISTORIA

/ II WOJNA ŚWIATOWA



MACIEJ NOWAK-KREYER

ZUCHWAŁY RAJD

**Wypad na Wschowę w 1939 roku,
czyli polskie czołgi szturmują miejscowości
w Niemczech.**



P

aniczna ucieczka słabych oddziałów Wojska Polskiego zgniatanych przez potężny walec niemieckich wojsk to błędny i krzywdzący obraz Września 1939, jaki utrzymuje się w świadomości wielu Polaków. Tymczasem potrafiliśmy ścierać się z najeźdźcą prawie jak równy z równym, a nawet zaskakiwać go śmiałymi kontratakami, podczas których wkraczaliśmy na teren III Rzeszy i zajmowaliśmy niemieckie miejscowości.

KONTRATAK POLAKÓW

Pierwszego dnia wojny obowiązywał zakaz przekraczania granicy niemieckiej, chodziło o to, aby nie zostać posądzonym o spowodowanie konfliktu. Bardzo szybko jednak zaczęto próbować kontruderzeń wobec hitlerowców. Szczególnie dogodna sytuacja ku temu była w Wielkopolsce, która znalazła się między głównymi kierunkami niemieckiego uderzenia na Polskę i była atakowana tylko nieznacznymi siłami. Jednym z największych polskich kontrataków był wypad na Wschowę, położoną dzisiaj w województwie lubuskim, a w 1939 roku będącą niemieckim przygranicznym miasteczkiem Fraustadt. To miał być odwet za zajęcie przez Niemców Rawicza i bombardowanie Leszna.

2 września polskie wojsko odbiło Rawicz, a pluton pod dowództwem Zbigniewa Janowskiego dokonał wypadu na drugą stronę granicy i zaatakował Niemców w miejscowości Königsdorf (dzisiejsze Załęcze), gdzie rozbił niemiecką kolumnę samochodową, złożoną z kilkudziesięciu pojazdów. Dowódca Wielkopolskiej Brygady Kawalerii gen. bryg. Roman Abraham, zachęcony tymi sukcesami, postanowił jeszcze tego samego dnia przeprowadzić znacznie większy wypad w kierunku Wschowy. Rankiem wykonano lotniczy zwiad okolic

miasteczka. Następnie dowódca 55 Pułku Piechoty płk Władysław Wicierzyński zorganizował odpowiednie siły.

Głównym oddziałem uderzeniowym, liczącym ponad 300 żołnierzy, dowodził kpt. Edmund Lesisz. Oddział składał się z 2 kompanii 55 Pułku Piechoty wzmocnionej plutonem artylerii kpt. Ludwika Śnitki, a także z plutonów samochodów pancernych i cekaemów. Od północy osłaniał go pluton 17 Pułku Ułanów, dowodzony przez ppor. Tadeusza Stryję, od południa zaś pluton kolarzy por. Zbigniewa Barańskiego i szwadron tankietek por. Wacława Chłopika. Południowymi siłami dowodził natomiast bezpośrednio gen. Abraham. Łączność między poszczególnymi elementami sił polskich zapewniaли kawalerzyści i kolarze. Obecność rowerzystów w wojsku może zaskakiwać, jednak stanowili oni nieodzowny element większości armii ówczesnej Europy. Byli szybsi od piechoty, nie potrzebowali paliwa, jak motocykliści, i w przeciwieństwie do kawalerzystów nie musieli się opiekować żywymi stworzeniami. To były szybkie i zwrotne wojska, które znakomicie radziły sobie w trudnym terenie.

SZTURM TANKIETEK

Akcja rozpoczęła się 2 września 1939 roku około godziny 17.00. Najpierw na granicy pojawiła się piechota, którą do punktu wyjściowego natarcia we wsi Długie Stare podwiozły autobusy. Żołnierze ruszyli tyralierą na strażnicę Grenzschtzu we wsi Geyersdorf (dzisiaj Dębowa Łęka), która została także ostrzelana przez polską artylerię. Co ciekawe, nasze działa nie mogły podjechać bliżej chronionej rowami przeciwczołgowymi miejscowości, więc strzelały ponad granicą.

Niemcy byli całkowicie zaskoczeni. Sytuację próbował ratować oddział motocyklistów, ale zmuszono go do wycofania się. W strażnicy



Głównym oddziałem uderzeniowym dowodził kpt. EDMUND LESISZ, czego Niemcy mu nie zapomnieli. Po wytropieniu przez gestapo w 1943 roku został zamordowany.

Wschowa do 1939 roku była niemieckim przygranicznym miasteczkiem o nazwie Fraustadt.



Żołnierze 55 Pułku Piechoty. Druga kompania tego pułku wzięła udział w wypadzie na Fraustadt.

Grenzschutzu zdobyto znaczną ilość broni. Wtedy do akcji włączyły się polskie tankietki – przepędziły ostatnie grupki niemieckich obrońców i razem z piechotą wdarły się do wsi. TKS-y to niewielkie, pozbawione wież czołgi z zaledwie dwuosobową załogą i uzbrojone tylko w karabin maszynowy, ale za to niezwykle szybkie i zwrotne. Polacy zatem błyskawicznie zajęli Geyersdorf. Ironią losu było to, że ta miejscowość zgodnie z postanowieniami traktatu wersalskiego pierwotnie została przyznana Polsce i dopiero w 1920 roku, wskutek interwencji właściciela miejscowego majątku, przyłączono ją do Niemiec w zamian za wieś Wijewo.

OSTRZAŁ WSCHOWY

Tymczasem pluton artylerii kpt. Śnitki rozpoczął kierowany z Geyersdorfu ostrzał niemieckich koszar we Wschowie. W mieście wybuchła panika. Wojsko pośpiesznie się wycofywało, a po bezskutecznych wezwaniach pomocy z pobliskiego Głogowa rozpoczęto ewakuację. Wszystko odbywało się w takim pośpiechu, że masy ludności cywilnej zablokowały szosę Wschowa–Głogów.

W wyniku ostrzału zostały uszkodzone wieża kościoła i koszary, zginęło kilku cywilów, niemiecki policjant i celnik. Kilkanaście osób zostało rannych. Zabitym urządzono później uroczysty pogrzeb i postawiono pomnik jako ofiarom „polskiego najazdu”. Wschowa prawdopodobnie była jedynym przygranicznym miastem nie-

UDANA AKCJA DOSKONAŁE WPŁYNĘŁA NA MORALE WIELKOPOLSKICH ŻOŁNIERZY, PONIEWAŻ POKAZAŁA, ŻE NIEMCY NIE SĄ NIEPOKONANI

mieckim ostrzelanym we wrześniu 1939 przez polską artylerię, czego Niemcy nam nie zapomnieli. W 1943 roku gestapo wytropiło kpt. Lesisza w oflagu, został aresztowany i bestialsko zamordowany.

Polskie oddziały po wystrzeleniu 36 pocisków na Wschowę zaczęły się wycofywać. Na same rogatki miasta dotarła polska piechota. Pluton por. Stefana Perkiewicza wdarł się

8 km w głąb Niemiec i wziął jeńców. Po zmroku jednak piechurzy także wycofali się do Leszna, podobnie jak reszta sił polskich. W trakcie odwrotu doszło do tragicznego incydentu we wsi Święciechowa, gdzie miejscowa V kolumna wzięła powracających polskich żołnierzy za wkraczających Niemców i powitała hitlerowskimi transparentami. Dzięki temu została błyskawicznie zdemaskowana i unieszkodliwiona.

POTRAFIMY ZWYCIEŻAĆ

Udany wypad doskonale wpłynął na morale wielkopolskich żołnierzy, ponieważ pokazał, że Niemcy nie są niepokonani. Niestety, nie miał praktycznie żadnego znaczenia strategicznego. Nie można było uderzyć na Niemców większymi siłami, bo wtedy osłabiono by wciąż zagrożone Leszno. Udany atak dał jednak duchowe wsparcie do kontynuowania walki i z pewnością przyczynił się do świetnej postawy Armii „Poznań” w trakcie bitwy nad Bzurą. Dzisiaj upamiętnia go pomnik przy wjeździe do Wschowy od strony Leszna. ■



MUZEUM WOJSK LĄDOWYCH w Bydgoszczy

ul. Czerkaska 2, 85-641 Bydgoszcz
tel. 261 41-20-26, fax 261 41-23-31

www.muzeumwl.pl

Znajdź nas na Facebooku 

Oddział w Toruniu

ul. Sobieskiego 24-28, 87-100 Toruń

tel. 261 43-24-66

fax 261 43-24-65

Oddział we Wrocławiu

ul. Obornicka 108, 50-961 Wrocław

tel. 261 65-74-23, 261 65-74-24





TADEUSZ WRÓBEL

Strzelcy z Ardenów

W latach trzydziestych XX wieku w armii belgijskiej utworzono formację do obrony granicy z Niemcami w rejonie Ardenów.

W południowo-wschodniej Belgii leżą Ardeny, silnie zalesione pasmo górskie z najwyższym szczytem Signal de Botrange – 694 m n.p.m. Od północy oraz zachodu ich naturalną granicą jest rzeka Moza. Na początku lat trzydziestych XX wieku belgijscy politycy i wojskowi rozważali różne koncepcje przygotowania się na wypadek nowej niemieckiej agresji i obrony granicy oraz Ardenów.

NOWA FORMACJA

Wiosną 1931 roku Albert Devèze, lider opozycyjnej Partii Liberalnej, zaproponował rozwiązanie kompromisowe – budowę fortyfikacji i powołanie strzelców ardeńskich (chasseurs ardennais), mających bronić prowincji Luksemburg. Mieli oni powstrzymać wroga do czasu przybycia sojusznicznych wojsk francuskich. Formację zaczęto tworzyć na bazie 10 Pułku Piechoty Liniowej z Arlon.

Prace przyspieszyły, gdy Devèze objął tekę ministra wojny. W lutym 1933 roku zdecydował o utworzeniu Dowództwa Wojsk Obrony Luksemburga i Namur (Commandement des Troupes de Défense du Luxembourg et de

Namur). 10 marca 1933 roku król Albert I podpisał dekret o przeformowaniu 10 Pułku Piechoty Liniowej w Pułk Strzelców Ardeńskich.

W założeniach Devèze’a strzelcy alpejscy mieli być jednostką mobilną, wyposażoną w pojazdy mechaniczne. Rozmieszczono ich w trzech garnizonach: w Arlon, Bastogne i Vielsalm. Dowództwo belgijskie uznało, że do obrony obszaru Ardenów nie wystarczy jeden pułk i dekretem królewskim z 8 listopada 1934 roku utworzono Korpus Strzelców Ardeńskich, złożony z trzech mieszanych zgrupowań mających po batalionie piechoty i batalionie kolarzy.

W 1935 roku powstała w Arlon grupa artylerii strzelców ardeńskich z trzema bateriami armat kalibru 75 mm. Również w 1935 roku zmieniły się zadania formacji, bowiem Francuzi poinformowali Belgów, że swą główną linię obrony oprą na Mozie, a w Ardeny wysła tylko kawalerię. W nowej sytuacji strzelcy mieli się skoncentrować na działaniach opóźniających. 27 marca 1937 roku trzy zgrupowania strzelców przeformowano w pułki – 1 Pułk w Arlon, 2 Pułk w Bastogne i 3 Pułk w Vielsalm. W tym ostatnim służyli żołnierze niemieckojęzyczni.

ZIELONE WILKI



Wielu Belgów uważa, że waleczność strzelców podczas walk w maju 1940 roku zainspirowała Brytyjczyków, którzy później wprowadzili zielony beret jako nakrycie głowy komandosów.

Strzelcy ardeńscy odróżniali się od innych jednostek piechoty umundurowaniem. Charakterystycznymi jego elementami były krótki płaszcz i kawalerskie buty. Jednak najbardziej rzucał się w oczy wprowadzony już w 1933 roku ciemnozielony beret średnicy około 30 cm, który nawiązywał do nakrycia głowy francuskich

strzelców alpejskich. Umieszczona była na nim odznaka formacji – główny element stanowiła głowa dzika, którego liczną populację żyła w Ardenach. Ów beret spowodował, że gen. Edwin Rommel na wieść, jak nieliczni strzelcy powstrzymali marsz jego 7 DPanc, stwierdził: oni nie są ludźmi, lecz zielonymi wilkami. ■



WWW.FRATEMELLECHASSEURSARDENNAIS.BE

PO MOBILIZACJI BELGIJSKICH SIŁ ZBROJNYCH LICZEBNOŚĆ STRZELCÓW ARDEŃSKICH ZWIĘKSZYŁA SIĘ DO 30–35 TYS.

1 lipca 1937 roku utworzono Dywizję Strzelców Ardeńskich. Ostatnią dużą reorganizacją przed wybuchem wojny w Europie było rozwiniecie 18 lipca 1939 roku stacjonującego w Namur zgrupowania artylerii w pułk, który miał wówczas dwie grupy artylerii motorowej, każda z dwiema bateriami. Jedna była uzbrojona w armaty kalibru 75 mm, a druga w haubice 105-milimetrowe.

WOJENNE PRZYGOTOWANIA

Po mobilizacji belgijskich sił zbrojnych liczebność strzelców ardeńskich zwiększyła się do 30–35 tys. W skład Wojsk Obrony Luksemburga i Namur wchodziło m.in.: sześć pułków piechoty i pułk artylerii, dwa rezerwowe bataliony kolarzy, batalion saperów i kompania przeciwlotniczych karabinów maszynowych. Później powstał batalion motocyklistów. Dowódcą tych sił był

gen. por. Maurice Keyaerts. 22 listopada 1939 roku Wojska Obrony Luksemburga i Namur przemianowano na VII Korpus Armijny, a z rezerwowych pułków piechoty utworzono 2 Dywizję Strzelców Ardeńskich. W trakcie wojny podwojono liczbę grup artylerii kalibru 75 i 105 mm. Strzelcy mieli też dwie ciężkie baterie, każda z czterema haubicami kalibru 152 mm.

W 1, 2 i 3 Pułku były po trzy bataliony kolarzy, w 4, 5 i 6 Pułku zaś dwa bataliony piechoty i jeden batalion kolarzy. W każdym pułku były kompanie motocyklowa i pojazdów pancernych. Ta ostatnia dysponowała niszczycielami czołgów T13, których główną bronią była armata przeciwpancerna FRC Modele 1931 kalibru 47 mm, oraz lekkimi czołgami T15 z karabinem maszynowym kalibru 13,2 mm.

W prowincjach Luksemburg i Liège (południowa część) podstawą działań obronnych miały być tzw. schrony Devèze'a. Zakładano, że ich wykonane z żelbetu ściany wytrzymają trafienie pociskiem kalibru 77 mm. Małe schrony obsadzały czteroosobowe załogi, dysponujące ręcznym lub ciężkim karabinem maszynowym. W pierwszej linii, która przebiegała od Stavelot, przez Houffalize i Bastogne, do Arlon, zbudowano 172 takie obiekty. W Arlon i Bastogne powstało ich odpowiednio 28 i 29. 44 kolejne broniły kluczowych węzłów drogowych. Od kilku do kilkunastu „schronów Devèze'a” stanęło w Habay-la-Neuve, Vance, Neufchâteau i linii Amberloup-Recogne. Ogółem w ramach tzw. linii Devèze'a zbudowano ich 307–312, w tym 274 w prowincji Luksemburg. Poza schronami wroga miały powstrzymać pola minowe, zasieki z drutu kolczastego oraz zapory i rowy przeciwczołgowe.



PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ ODTWORZONO CZĘŚĆ JEDNOSTEK STRZELCÓW ARDEŃSKICH



Pomysłodawcą powołania strzelców ardeńskich był **ALBERT DEVÈZE**, lider opozycyjnej Partii Liberalnej. Mieli być jednostką mobilną, wyposażoną w pojazdy mechaniczne.

Ze zdobytych przez Belgów niemieckich dokumentów wynikało, że dowództwo Wehrmachtu zamierza powtórzyć manewr feldmarszałka Alfreda von Schlieffena z 1914 roku. To oznaczało, że region Ardenów pozostanie na uboczu głównego kierunku ataku Niemców. Dlatego rozmieszczono tam Zgrupowanie K, które tworzyły 1 Dywizja Strzelców Ardeńskich (DSA) i 1 Dywizja Kawalerii (DK) oraz batalion motocyklistów.

Wojskom tym powierzono obronę pasa długości 85 km, co spowodowało, że siły strzelców ardeńskich były rozproszone. Strategiczne punkty obsadzały plutony lub jeszcze mniejsze grupy żołnierzy. W nocy z 9 na 10 maja ogłoszono alarm. Strzelcy zaczęli niszczyć wcześniej zaminowane elementy infrastruktury drogowej, mosty i wiadukty, pousuwali oznaczenia pól minowych.

Gdy doszło do pierwszych kontaktów z wrogiem, Belgijscy wojskowi szybko się zorientowali, że do Ardenów wkraczają nie jakieś małe jednostki, lecz potężne dywizje pancerne. Niemcy bowiem, gdy dowiedzieli się, że ich plan ataku na Belgię wpadł w ręce aliantów, dokonali znaczących zmian. Postanowili, że przez Ardeny uderzy Grupa Pancerna gen. płk. Paula von Kleista i 4 Armia, które miały siedem dywizji pancernych, w tym była 7 DPanc dowodzona przez gen. mjr. Erwina Rommla.

Pojedynczym kompaniom strzelców ardeńskich udało się powstrzymać na krótko marsz Niemców w kilku miejscach. Siły belgijskie były zbyt szczupłe, a przeciwnik okazał się dobrze przygotowany do naprawy zniszczonych przepraw. Niemcy próbowali też zasieć zamęt wśród obrońców, wysyłając na ich tyły desant przerzucony na lekkich samolotach rozpoznawczych Fieseler Fi 156. Operacja przyniosła znikome efekty. Z powodu przerwanej przez wroga łączności telefonicznej do części pododdziałów strzelców ardeńskich nie dotarł rozkaz

odwrotu. Działania Belgów skomplikowało jednak to, że podczas planowania niszczenia infrastruktury drogowej nie uwzględnili tego, że wysadzenie niektórych obiektów przerwie łączność pomiędzy ich własnymi jednostkami. Walki w Ardenach zakończyły się 12 maja. 1 DSA wycofała się na linię rzeki Dyle. Potem walczyła nad rzeką Dender.

10 maja 2 DSA zajmowała pozycje nad Mozą. W ramach VII Korpusu wraz z 8 Dywizją Piechoty broniła umocnionej pozycji Namur (Position fortifiée de Namur). Gdy wojska niemieckie przeprawiły się przez Mozę w rejonie Houx we Francji, strzelcy ardeńscy, podobnie jak inne oddziały VII Korpusu, opuścili 15 maja Namur i wycofali się do Flandrii, gdzie mieli dołączyć do sił głównych armii belgijskiej.

23 maja rozpoczęła się bitwa na rzeką Lys, największa w kampanii belgijskiej. 1 DSA od 25 maja broniła sektora w rejonie wioski Vinkt. Na południe od niej walczyła 2 DSA. Mimo że opór innych jednostek się załamał, 1 DSA powstrzymywała ataki niemieckie, ale 27 maja jej żołnierze musieli opuścić Vinkt.

Nad ranem 28 maja Belgia skapitulowała. Podczas 18-dniowej kampanii belgijskiej zginęło 528 strzelców ardeńskich, a blisko 2,5 tys. zostało rannych. Stanowi to ponad 10% strat poniesionych wówczas przez kilkuset tysięcy siły zbrojne Belgii.

SIŁA TRADYCJI

Po II wojnie światowej odtworzono część jednostek strzelców ardeńskich. Tyle że ich pułki stały się batalionami. Z kolei 20 Pułk Artylerii odrodził się jako dywizjon. W 1960 roku kompania strzelców ardeńskich operowała w Kongu Belgijskim. Obecnie istnieje tylko jeden batalion. Wyposażona w kołowe pojazdy pancerne 450-osobowa jednostka stacjonuje w Marche-en-Famenne i wchodzi w skład Brygady Średniej. ■



ROBERT SENDEK

Za wolność waszą

**Na przełomie 1939
i 1940 roku kilkakrotnie
pojawiała się koncepcja
wysłania polskich
żołnierzy na wojnę
sowiecko-fińską.**

Wojna zimowa rozpoczęła się 30 listopada 1939 roku wtargnięciem wojsk sowieckich na terytorium niepodległej Finlandii. Konflikt ten był jednym z całej serii agresywnych działań podjętych przez Sowietów na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych ubiegłego stulecia. Stanowił próbę wprowadzenia w życie ustaleń układu Ribbentrop-Mołotow, zakładającego podział między hitlerowskie Niemcy i stalinowski ZSRS stref wpływów w Europie Środkowej i Wschodniej.

W związku z sowiecką agresją władze Finlandii znalazły się w niezwykle trudnym położeniu. Finowie zabiegali o każdą możliwą pomoc, zarówno jeśli chodzi o sprzęt, jak i ludzi, bo twierdzili, że przewaga liczebna i techniczna wojsk sowieckich wymaga błyskawicznych działań. Wśród rozmaitych pomysłów rozważanych przez tamtejsze dowództwo znalazł się także ten, by podjąć próbę sprowadzenia polskich żołnierzy. Mieli oni już bowiem za sobą doświadczenie z walk podczas kampanii wrześniowej.

Finowie starali się zachęcić Polaków do zaangażowania, argumentując, że oba kraje stają się naturalnymi sojusznikami, ponieważ jako jedyne w Europie pozostają z Sowietami w stanie faktycznej wojny.

Również dla rządów państw zachodnich wojna sowiecko-fińska okazała się problemem. Zdecydowały się zachować wstrzemięźliwość i unikać gwałtownych decyzji, przede wszystkim po to, by nie pogarszać stosunków z Sowietami. Argumentowano, że izolowanie Związku Radzieckiego może skutkować pogłębieniem współpracy Stalina z Hitlerem. Ze względu na toczącą się na Zachodzie wojnę taki obrót spraw uznano za niepożądany, ponieważ mogło to oznaczać rozszerzenie konfliktu z Niemcami o kolejnego trudnego przeciwnika. Z drugiej jednak strony brak reakcji na agresję sowiecką Stalin mógł uznać za oznakę słabości aliantów. Aby zademonstrować sprzeciw wobec działań ZSRS, w połowie grudnia 1939 roku usunięto kraj ten z Ligi Narodów. Równocześnie alianci rozważali dalsze kroki i możliwe rozwiązania.

PK/DZIAŁ GRAFICZNY



Wśród rozmaitych koncepcji wsparcia Finów w toczącej się wojnie było wysłanie alianckiego korpusu ekspedycyjnego. Pomysł taki wysunęto na posiedzeniu brytyjskiej Najwyższej Rady Wojennej już 19 grudnia 1939 roku. Władze Rzeczypospolitej uznały tę propozycję za godną uwagi, ponieważ oznaczała ona, że alianci wystąpią otwarcie przeciwko Rosji, co ze względu na polską rację stanu wydawało się bardzo korzystne. W styczniu 1940 roku rząd emigracyjny zaakceptował udział naszych żołnierzy w wojnie fińskiej w ramach wspólnej inicjatywy kilku krajów alianckich.

SAMODZIELNA BRYGADA

Koncepcja zakładała wysłanie do Finlandii korpusu ekspedycyjnego, w którym miały się znaleźć jednostki brytyjskie (kanadyjskie), francuskie oraz polskie. Decyzję o jego utworzeniu międzysojusznicza rada wojenna podjęła 5 lutego 1940 roku. Cztery dni później gen. broni Władysław Sikorski wydał rozkaz o utworzeniu brygady, która mogłaby zostać skierowana do korpusu.

Do formowania jednostki, która otrzymała nazwę Samodzielna Brygada Strzelców Podhalańskich, przystąpiono w obozie Coëtquidan we Francji. Jej dowódcą został płk Zygmunt Bohusz-Szyszko. Przy formowaniu brygady wzorowano się na francuskich strzelcach alpejskich, wyspecjalizowanych w działaniach zimą w terenie trudnym, czyli w warunkach, jakich spodziewano się w Finlandii. Ustalono, że brygada zostanie sformowana z polskiego personelu, ale będzie wyposażona w sprzęt francuski. Czas nagiął, więc jednostkę tworzone w dużym pośpiechu. Do strzelców podhalańskich skierowano wybrane oddziały spośród jednostek formujących się we Francji. Tymczasem 13 marca 1940 roku został podpisany traktat pokojowy, kończący wojnę sowiecko-fińską. Brygady jednak nie rozwiązano, lecz skierowano ją do Norwegii, gdzie polscy żołnierze wzięli udział w bitwie o Narvik wiosną 1940 roku.

DYWIZJON LOTNICZY

Niemal równolegle był realizowany pomysł skierowania do Finlandii polskich pilotów. Już 6 grudnia, czyli tydzień po rozpoczęciu wojny fińskiej, taką propozycję przedstawił ppłk Mateusz Iżycki, szef Oddziału III Operacyjnego



W obozie Coëtquidan we Francji przystąpiono do formowania jednostki, która otrzymała nazwę Samodzielna Brygada Strzelców Podhalańskich. Dowódcą tego ugrupowania został płk Zygmunt Bohusz-Szyszko.

Dowództwa Lotnictwa na emigracji we Francji. Koncepcja ta uzyskała akceptację gen. Sikorskiego, ponieważ zakładała, że dwie jednostki zostaną sformowane z żołnierzy, których uda się wydostać z Litwy i Łotwy, dzięki czemu proces tworzenia lotnictwa polskiego we Francji nie byłby zagrożony.

Po klęsce wrześniowej tysiące polskich żołnierzy zdołało się ewakuować z podbitego przez Niemców i Rosjan kraju. Znaleźli się oni na obczyźnie, na terenie państw sąsiednich, w tym także Litwy i Łotwy, gdzie w zgodzie z prawem międzynarodowym byli internowani. Należało ich stamtąd wydostać, ale nie było to proste, ponieważ rządy krajów bałtyckich, w obawie o własne bezpieczeństwo, starały się zachowywać neutralność. Podejmowano jednak próby ewakuacji żołnierzy z obozów na Łotwie i Litwie. Zajął się tym na polecenie gen. Sikorskiego ppłk Tadeusz Rudnicki.

Plany przewidywały utworzenie dwóch eskadr, myśliwskiej i bombowej. Na dowódcę tej pierwszej wyznaczono ppłk. Tadeusza

Przewidywano utworzenie dywizjonu myśliwskiego złożonego z dwóch eskadr. Dowódcą miał zostać mjr JÓZEF KĘPIŃSKI,



jego zastępcą zaś kpt. PIOTR ŁAGUNA.





NIE TYLKO SAMOLOTY

Finński minister spraw zagranicznych **Väinö Tanner** (na zdjęciu z prawej) zabiegał w połowie grudnia 1939 roku o przysłanie trzech polskich niszczycieli nad Morze Barentsa w rejonie Petsamo (dziś Pieczenga) oraz dwóch okrętów podwodnych, które miałyby operować na Bałtyku. Sprawę tę władze polskie jakiś czas brały pod uwagę, ale ostatecznie nie doszło do realizacji tego pomysłu. ■



PO KLĘSCIE WRZEŚNIOWEJ TYSIĄCE POLSKICH ŻOŁNIERZY ZDOŁAŁO SIĘ EWAKUOWAĆ Z PODBITEGO PRZEZ NIEMCÓW I ROSJAN KRAJU

Piotrowicza, a drugiej – mjr. obs. Władysława Tuchółkę. Sprzętem mieli się zająć Finowie, więc u zachodnich aliantów starali się o dostawy samolotów. Tyle że Brytyjczycy byli obciążeni produkcją na własne potrzeby, poza tym pilotów należało przeszkolić do walki z użyciem nowego sprzętu, co też wymagało czasu.

Pierwotnie przyjęto, że dwie eskadry z polskimi pilotami zostaną sformowane w Szwecji. Tam mieli trafić piloci ewakuowani z Litwy i Łotwy, żeby odbyć szkolenie. Zakładano, że obie eskadry staną się częścią lotnictwa fińskiego, z pełnymi prawami przysługującymi tamtejszym pilotom, ale pozostaną pod polskim dowództwem.

Stopniowo gromadzono personel do nowych jednostek. Pod koniec stycznia 1940 roku było to około 30 osób. Rychło jednak pojawił się problem, który uniemożliwił sfinalizowanie projektu. Otóż władze szwedzkie wprawdzie okazywały Finlandii wiele życzliwości i pomocy, ale nie były skłonne do wyrażenia zgody na to, aby na ich terenie tworzone eskadry lotnictwa polskiego. Oficjalnie – ze względu na potrzebę zachowania neutralności, zarówno wobec ZSRS, jak i Niemiec. W związku z tym projekt sformowania oddziałów w Szwecji zarzucono.

Równocześnie został podjęty plan utworzenia oddziału na terenie Francji. Pod koniec stycznia 1940 roku strona francuska poinformowała gen. bryg. Józefa Zająca, dowódcę polskiego lotnictwa w tym kraju, że zamierza wysłać do Finlandii około 80 samolotów myśliwskich. Ponieważ Francuzi nie dysponowali wystarczającą liczbą pilotów tych maszyn, uznali, że można by zaangażować Polaków.

Przewidywano utworzenie dywizjonu myśliwskiego złożonego z dwóch eskadr. Dowódcą miał zostać mjr Józef Kępiński, jego zastępcą zaś kpt. Piotr Łąguna. Zakładano przy tym błyskawiczne, tj. w ciągu około dwóch tygodni, przeszkolenie polskich pilotów na maszynach francuskich. Natychmiast zresztą przystąpiono do nauki, najpierw na samolotach szkolnych, potem myśliwskich Morane-Saulnier MS. 406, a wreszcie Caudron CR.714, które miały być wyekspediowane do Finlandii. Zanim jednak do tego kraju pojechali piloci, wysłano tam mechaników. Mieli się zająć montowaniem samolotów i przygotowaniem ich do walki. Było już jednak na to za późno, ponieważ w związku z zakończeniem wojny w połowie marca cała koncepcja skierowania do Finlandii polskich pilotów stawała się bezprzedmiotowa. ■

PIOTR KORCZYŃSKI

Pogromca fikających armat

Artyleria często jest nazywana królową wojny, ale w Legionach Józefa Piłsudskiego początkowo wywoływała więcej śmiechu niż respektu. Tak było do momentu, kiedy kpt. Ottokar Brzoza-Brzezina dał obsłudze swych baterii rozkaz: „ognia!”.

GEN.
OTTOKAR
BRZOZA-BRZEZINA

został wierny swej
przybranej ojczyźnie
i jej armii do końca
życia.

Nie ma się co dziwić legionistom i samemu komendantowi Józefowi Piłsudskiemu, że parskali śmiechem na widok legionowej artylerii, kiedy oglądali jej działa przypominające zabawki, a wyprodukowane w 1875 roku. Nie byłoby jednak i tego sprzętu, gdyby nie operatywność i fantazja czeskiego oficera, por. rez. Ottokara Brzozy-Brzeziny, który tak pokochał ojczyznę swej żony, Wandy Green ze Stanisławowa, że po przeniesieniu do rezerwy w c.k. armii w 1911 roku wstąpił do Związku Walki Czynnej, a następnie do Związku Strzeleckiego. Jako doświadczonemu oficerowi artylerii Komendant zlecił mu odtworzenie tej formacji w ramach Legionów Polskich.

DZIAŁA ZA BUTELKĘ

Wbrew trudnościom z wyposażeniem legionistów w podstawową broń strzelecką (dostali oni przestarzałe karabiny Werndl M1867) artylerię zaczęto formować stosunkowo wcześniej, bo z początkiem września 1914 roku. Na miejsce jej organizowania wybrano dwie wsie, obecnie leżące w granicach Krakowa – Borek Fałęcki i Przegorzały. Oddział nazwany Kadrami Artylerii Legionów Polskich szybko rozrósł się do pułku liczącego dwa dywizjony po dwie baterie każdy (początkowo I Dywizjon miał trzy baterie, ale na ostatnią nie starczyło wyposażenia i ją rozwiązano). Dowódcą I Dywizjonu został por. Mieczysław Jełowicki, a II Dywizjonu – kpt. Ottokar Brzoza-Brzezina. On też dzierżył dowództwo całego pułku, który 30 września 1914 roku został

oficjalnie zatwierdzony rozkazem komendanta Piłsudskiego jako 1 Pułk Artylerii.

**JÓZEF
PIŁSUDSKI
NAZWAŁ SWOJĄ
ARTYLERIĘ
WERNDLAMI
NA KOŁACH,
A LEGIONIŚCI
POKPIWALI, ŻE
PAMIĘTA CZASY
MARII TERESY**

Mimo tej szumnej nazwy oddział od początku borykał się z brakiem doświadczonej kadry, koni pociagowych, a przede wszystkim sprzętu. Dwadzieścia wspomnianych armat górskich 7 cm M.75 kalibru 66 mm Polacy dostali tylko dzięki determinacji i sprytowi kpt. Brzeziny. Najpierw odkupił je za kilka butelek sznapsa od swego kolegi – austriackiego oficera, który nie chciał z takimi muzealnymi eksponatami iść na wojnę, a następnie razem ze swoimi ludźmi wyprowadził, by nie powiedzieć: ukradł, z krakowskiej zbrojowni. Na tym jeszcze nie koniec, gdyż tak półoficjalnie zdobyte działa w większości nie miały obowiązkowego wyposażenia, począwszy od kluczy i smarów, a na przodkach skończywszy. To wszystko trzeba było zdobyć starym wojskowym sposobem – „zorganizować”, czyli po prostu ukraść austro-węgierskim sojusznikom.

Mimo tych zabiegów sprzęt pozostawiał wiele do życzenia. Piłsudski nazwał swoją artylerię werndlami na kołach, a legioniści pokpiwali, że pamięta czasy Marii Teresy. Było w tym sporo racji, gdyż armaty M.75 niezbyt już nadawały się do użycia na ówczesnym polu walki. Strzelało się z nich np. prochem dymnym, co zdradzało wrogom położenie stanowiska. Nie miały amortyzatora, więc niemal po każdym strzale podskakiwały, często robiąc wymyślnego fikołka. Brakowało im również nowoczesnych urządzeń celowniczych. Jeden z podkomendnych kpt. Brzeziny tak opisywał obsługę działa: „Do lufy wkładało się worek z czarnym prochem, zamykało się zamek i wtedy dopiero z góry przebiegało się specjalnym szpikulcem – przez odpowiedni otwór – worek, zakładało się splonkę z uszkiem, do którego przyczepiało się długi sznur, który na komendę ciągnęło się, by wywołać wybuch, a więc wystrzał”. Opis godny średniowiecznych hakownic i bombard... →

CHRZEST OGNIOWY, A RACZEJ DYMNY...

Pułk artylerii legionowej nie wszedł do walki w całości. Rozdysponowano go między pułki piechoty. I tak I Dywizjon walczył w Karpatach przy pułkach przyszłej II Brygady Legionów, natomiast II Dywizjon kpt. Brzeziny pozostał przy oddziałach Piłsudskiego. W jego skład wchodziły 4 baterie por. Władysława Jaxy-Rożena i 5 baterie por. Marcelego Jastrzębiec-Śniadowskiego. Razem niepełna 200 ludzi z ośmioma działkami góorskimi.

Stare powiedzenie, że pozory mylą, okazało się trafne w odniesieniu do artylerii kpt. Brzeziny już w czasie jednego z pierwszych legionowych bojów pod Krzywopłotami 17 i 18 listopada 1914 roku. W morderczych dwudniowych walkach IV i VI Batalionu 1 Pułku Legionów wspierający je II Dywizjon Artylerii nie mógł się równać z artylerią rosyjską, która wstrzelała się w pozycje legionistów w Krzywopłotach i zmusiła cały VI Batalion do opuszczenia wsi. Po całonocnych bojach, 18 listopada



Działo 7 cm M.75 przydzielone II Brygadzie Legionów Polskich, 1914 rok

żołnierze tego batalionu, walcząc między zabudowaniami Załęża, znaleźli się pod huraganowym ogniem artylerii nieprzyjacielskiej, a dodatkowo dostali w plecy od źle wstrzelanej artylerii austriackiej. Wydawało się, że to już koniec oddziału.

Wtedy odezwała się tyle razy wykpiwana artyleria kpt. Brzeziny. Przystarzałe działka podjęły pojedynek z rosyjską artylerią i swoim ogniem utorowały batalionowi drogę powrotu do okopów. Po bitwie kpt. Brzezina w moim do swych żołnierzy podkreślił, że były to „pierwsze od czasów powstania styczniowego strzały artylerii polskiej”. Dzielny Czech nie mógł wiedzieć, że kilka dni wcześniej w Karpatach zaczęły strzelać armaty I Dywizjonu z grupy taktycznej gen. Karola Durskiego-Trzaski.

SCENY NICZYM U KOSSAKA

Po bitwie pod Krzywopłotami żarty na widok fikających po wystrale działek nie zniknęły, ale pojawił się równocześnie szacunek dla ich obsługi. II Dywizjon brał udział w kampanii podhalańskiej Piłsudskiego pod koniec 1914 roku. Między innymi 7 grudnia w całodziennym bitwie pod Pisarzową artyleria kpt. Brzeziny wzięła na siebie główny ciężar walki w związku z tak prozaicznym faktem, że w piechocie przypadło tylko po 40 sztuk naboju na karabin.

Artylerzyści znakomicie wywiązali się z tego zadania – celnie ostrzeliwali rosyjskie pozycje. Kilka lat później marszałek Piłsudski wspominał tę bitwę z ironią: „Najazutrz, 7 grudnia, miałem sposobność oglądać zjawisko ciekawe i takie, którego prawdopodobnie już żaden z wojskowych nie zobaczył. Mianowicie naszą »dymną« artylerię przy pracy [...]. Mam cały szacunek dla oficerów i żołnierzy artylerii. Wyznam otwarcie, że nie należę do rzędu ludzi tchórzliwych, a jednak mimo ciekawości trzymałem się od swoich armat w należyтым oddaleniu. Wydało mi się to koniecznym, że ściągną one na siebie cały ogień artylerii rosyjskiej, tak widocznym była na całym prawie polu bitwy. Tym bardziej powinny były wywołać reakcję ze strony nieprzyjaciela, że praca artylerii była skuteczna: kil-

ka razy Rosjanie podsuwali się do naszego lewego skrzydła i za każdym razem spotykał ich prawdziwy huragan szrapneli i granatów; za każdym razem cofali się z powrotem [...]. Ciągłe oczekiwałem, że zwali się na nią cały ciężar ognia przeważającej artylerii. Nie! Do końca dnia Rosjanie pozostawili Brzozę w spokoju. Nie mogłem sobie nigdy wytłumaczyć tego zjawiska inaczej, jak przypuszczeniem, że obserwatorzy rosyjscy brali kłęby dymu za maskę i oszukaństwo i w tych wulkanach i błyskach nie podejrzewali artylerii”.

Takie „dymne” początki miała artyleria odrodzonego Wojska Polskiego. Dzielny Czech, Ottokar Brzoza-Brzezina, niczym Sienkiewiczowski Ketling, czarny od dymu i prochu dowodził swymi bateriami, wyposażonymi już w nowocześniejsze armaty wz. 1875/1889 i 1905, na pierwszej linii kolejnych bitew legionowych. O tej artylerii w jednym z najkrwawszych starć roku 1916 – pod Kostiuchnowką 4–6 lipca, tak pisał dowódca VI Batalionu 7 Pułku Piechoty, kpt. Marian Kukiel: „Ujrzałem obraz potężny, niezapomniany, godny pędzla Wojciecha Kossaka. Cwałowały jeden za drugim rosyjskie szwadrony w rozwinętym szyku, lśniąc szablami i lancami wśród gęsto pękających szrapneli artylerii naszej, której dowódca, mjr Brzoza, sam ogniem kierował z »punktu« położonego w naszej linii ogniowej”.

Gen. Ottokar Brzoza-Brzezina został wierny swej przybranej ojczyźnie i jej armii do końca życia. Po wybuchu II wojny światowej dowodził zgrupowaniem swego imienia w ramach Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” gen. Franciszka Kleeberga. Ze względu na czeskie pochodzenie, zwolniony przez Niemców z niewoli, od razu zaangażował się w konspirację w ramach Służby Zwycięstwu Polsce, a następnie Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej. Aresztowany przez Niemców w 1944 roku, trafił do Oflagu II C w Woldenbergu. Po wyjściu z niewoli powrócił do Polski i zamieszkał w swej ukochanej Zielonce pod Warszawą, gdzie zmarł 30 sierpnia 1968 roku. Za każdą ze swoich wojen – I światową, polsko-bolszewicką i II wojną – odznaczany był Orderem Virtuti Militari. ■

Syn pułku



ARCH. PIOTRA KORCZYŃSKIEGO

***Na odwrocie małej
fotografii*** ktoś wiecznym piórem
starannie napisał: „Od lewej:

plut. Franciszek Romanowski, syn pułku
kan. Andrzej Nusbek i kpr. Mochnacz,
Włocławek 1945”.

P przed powstaniem warszawskim Andrzej Nusbek mieszkał razem z matką u znajomych w Radości. Ojciec zginął w Katyniu. Rankiem 1 sierpnia

1944 roku matka Andrzeja pojechała do Warszawy i już nie wróciła do domu. Prawdopodobnie nie mogła wydostać się z miasta objętego walkami. Chłopcem zajęli się ludzie,

którzy sami byli w trudnej sytuacji. On jednak czuł, że jest dla nich ciężarem i wpadł na pomysł, że wstąpi do wojska, które we wrześniu pojawiło się w Radości. Los chciał, że trafił na artylerzystów 9 Pułku Artylerii Haubic z 1 Armii Wojska Polskiego. Opowiedział żołnierzom o swojej sytuacji, a ci wstawili się za nim w dowództwie i w ten sposób Andrzej Nusbek został synem pułku.

Przeszedł z nim cały szlak bojowy. Pracował w kancelarii, a w czasie walk nad Odrą wiosną 1945 roku pełnił funkcję gońca pocztowego. Pewnego dnia, po doręczeniu poczty do kilku baterii, wracał do sztabu przez las, który był poorany rowami strzeleckimi i dołkami zamaskowanymi sosnowymi gałęziami. W jednym z nich siedział niemiecki podoficer. Andrzej zauważył go i krzyknął: „Hände hoch!”. Gestem nakazał mu wyjść z ukrycia. O dziwo, rosły żołnierz uzbrojony w MP 40 posłuchał dziecka i potulnie poszedł za nim do niewoli.

Wieść o tym, że Nusbek wziął jeńca, rozniosła się natychmiast po całym pułku. Żołnierze nie mogli się temu nadziwić i podejrzewali, że podoficer musiał być Ślązakiem, który miał już dość wojny. Nie zmieniało to faktu, że ich Andrzej został bohaterem. Szczęście chłopca z awansu na bombardiera, który dostał po tym zdarzeniu, dopełniła wiadomość, że jego matka przeżyła powstanie! PK ■

HISTORIA PEWNEGO ZDJĘCIA

Andrzej Nusbek miał 13 lat, kiedy przyłączył się do polskiego wojska.

M A J O R A D E L A Ż U R A W S K A

A close-up portrait of an elderly woman with short, wavy white hair. She has a serious expression and is looking directly at the camera. She is wearing a bright red top and a single-strand pearl necklace. The background is dark and out of focus.

#RycerzeBiałoCzerwonej

Jej życie pokazuje, jak trudna bywała historia naszego kraju,
jak wielkie znaczenie miał przypadek i łut szczęścia, ale przede wszystkim
jak duża była chęć przeżycia i powrotu do ojczyzny. To dawało siłę i odwagę,
by przetrwać najtrudniejsze chwile na zesłaniu i na froncie.
Takie osoby zasługują na miano rycerzy biało-czerwonej.

My też możemy do nich dołączyć!

ZA WSZELKĄ CENĘ DO POLSKI

Z Adelą Żurawską

**o służbie w 1 Samodzielnym Batalionie Kobiectym
im. Emilii Plater rozmawia Piotr Korczyński.**

Pani tułaczka po „niehumanitarnej ziemi” skończyła się w jednej z kopalń rudy na północnym Uralu. Jak tam Pani trafiła?

Musimy zacząć od 10 lutego 1940 roku – tego strasznego dnia pierwszej wielkiej wywózki Polaków z Kresów w głąb ZSRR. Część mojej rodziny mieszkała w Lipowcu pod Drohobyczem. Miałam siedmioro rodzeństwa. Po tym, jak jeszcze przed wybuchem wojny zmarli nasi rodzice, trójkę najmłodszych dzieci, czyli Stefanię, mnie i Leonie, wziął na wychowanie brat matki, ksiądz Tomasz Sapeta, posługujący w parafii w Lipowcu. Następnie zamieszkałyśmy u najstarszej siostry, Antoniny Płazy i jej męża wychowujących trójkę dzieci, w Jarosławicach koło Zborowa w woj. tarnopolskim. Tam zastała nas wojna. Polacy znaleźli się wtedy między młotem a kowadłem. Z jednej strony – ukraińscy nacjonaliści, z drugiej – Sowieci. To był straszny czas. Nie było dnia, żeby NKWD kogoś nie zabrało. Nasz szwagier się ukrywał, bo był przedwojennym działaczem ludowym i enkawudziści mieli go na liście proskrypcyjnej.

I nadeszła noc 10 lutego 1940 roku. Żołnierze sowieccy, którzy otoczyli nasz dom, dali nam krótką chwilę na spakowanie najważniejszych

rzeczy i załadowali wszystkich do sań. Zostałyśmy dowieszone do stacji kolejowej w Zborowie. Tam już stał pod parą bardzo długi pociąg złożony z bydłowych wagonów. W naszym ścisnięciu około 50 osób. Ruszyliśmy po czterech czy pięciu dniach na Wschód. Proszę pana, podniósł się wtedy jeden płacz – ludzie rozpaczali i się modlili. Szwagier na wieść o naszym aresztowaniu sam zgłosił się na NKWD i do nas dołączył. Później walczył w 3 Dywizji 2 Armii Wojska Polskiego.

Gdzie was wywieziono?

Podróż trwała ponad dwa tygodnie. Wyładowali nas w Krasnouralsku w środkowym Uralu i po zakwaterowaniu w barakach od razu pognali do pracy w miejscowej

kopalni miedzi. Było tam bardzo ciężko, zwłaszcza dla siedemnastolatki. Fedrowaną na przodku miedź ładowałyśmy razem z moją koleżanką na wagoniki i odwoziłyśmy tunelem do windy. Na szczęście były parominutowe przerwy. Wtedy nasz brygadier popijał z małej flaszeczki kozie mleko i zjadał ziemniaki w mundurkach. Przywazyłam, że łupiny rzucał na ziemię. Polowałam na nie, bo musi pan wiedzieć, że tam najstraszniejszy był głód. Jeżeli w ciągu miesiąca ktoś zmarł, trzeba było to zgłosić i zwrócić kartki na chleb – to gwarantowało pochówek. Koleżanka chciała wykorzystać

WIZYTÓWKA

**ADELA
ŻURAWSKA**

Z domu Mucha, urodzona 6 czerwca 1923 roku, córka Franciszka i Marii z domu Sapeta. Sybiraczka, oficer 1 Samodzielnego Batalionu Kobiectego im. Emilii Plater z 1 Armii WP, major w stanie spoczynku. Odznaczona m.in. Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski oraz złotym i srebrnym medalem „Zasłużonym na Polu Chwały”. Wieloletnia przewodnicząca Zespołu Kombatantek 1 i 2 Armii Wojska Polskiego.

przydział po matce do końca miesiąca i dopiero po tym czasie poszła do kostnicy po ciało, ale z przerażeniem odkryła, że w większości było ono zjedzone przez szczury. Kiedy ten Rosjanin zauważył moje podchody po łupiny ziemniaków, zaczął się dzielić ze mną jedzeniem. Dokuczał nam też ostry klimat. Zimą mróz sięgał –45 stopni. Nogi miałam odmrożone do kolan. Do dziś na łydkach mam blizny po ropiejących ranach.

Kiedy pojawiła się szansa na wyrwanie się z tego piekła?

Po układzie Sikorski-Majski w lipcu 1941 roku. W tamtym czasie samowolnie przestałam pracować w kopalni, a w Związku Radzieckim to było zbrodnią. Chociaż wtedy zauważało się już zmianę na lepsze w podejściu do Polaków. Można było na przykład zmieniać miejsce zamieszkania, chociaż w praktyce nie było to takie łatwe. My, zresztą jak większość Polaków, myślałyśmy przede wszystkim o tym, żeby się ratować, bo w Krasnouralsku sytuacja była dramatyczna. Kiedy więc NKWD przyhamowało represje, wszyscy zaczęli planować wyjazd w rejony, gdzie były większe szanse na przeżycie. Moja starsza siostra przekupiła jednego z enkawudzystów, żeby wystawił jej zgodę na zakup biletu na przejazd pociągiem. Dzięki tej przepustce ja z moimi bliskimi ruszyliśmy w drogę, która zakończyła się w Troicku niedaleko Czelabińska. Tam zaczęliśmy się rozglądać za jakimś kołchozem, w którym moglibyśmy zamieszkać i pracować. Wielu Polaków szukało wówczas sposobu na dostanie się do armii Andersa.

Trafiła jednak Pani do 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, gen. Zygmunta Berlinga. Dlaczego nie do armii gen. Władysława Andersa?

Proszę pana, my w tym kołchozie pod Troickiem nie mieliśmy żadnej orientacji. Po prostu za wszelką cenę chcieliśmy przeżyć. Pracowaliśmy ciężko, ale w porównaniu z kopalnią to był raj. Pewnego dnia, to już był rok 1943, jeden z kołchoźników przyniósł mi polską gazetę! Na pierwszej stronie zobaczyłam wydrukowany wizerunek orła piastowskiego. Pokazuję mu wzruszona i mówię: „Patrz diadia, eto moje godło”. A on do mnie: „Ty durak, toż to kurica”. A ja na to: „Może być i kurica, ale polska!”. Od tego czasu miejscowe komisje poborowe, tzw. wojenkomaty, zaczęły werbować Polaków, także kobiety, do polskiej dywizji. Wkrótce i ja zostałam zmobilizowana. Kiedy dotarłam do stacji w Troicku, czekało tam już kilka dziewczyn, którymi dowodziła Wanda Biel. Później okazała się bardzo bojowym żołnierzem – została zrzucona ze spadochronem do walki za niemiecką linią frontu. Dzięki niej cała nasza grupa dojechała



do Sielc. Kiedy w czasie oczekiwania na pociąg zachorowałam na zapalenie płuc, chcieli mnie odwieźć do szpitala, ale Wanda powiedziała: „ja cię do szpitala nie zawiozę, bo ty z niego już nie wyjdiesz i nigdy do Polski nie wrócisz”. Udało nam się wsiąść do oficerskiego wagonu. Ułożono mnie na jednej z ławek, a dwaj rosyjscy oficerowie oddali mi swoje płaszcze i jakoś dojechałam do miejsca przeznaczenia. W szpitalu polowym w Sielcach spędziłam jeszcze tydzień, zanim wcielono mnie do batalionu.

Bojowy oddział kobiety to było novum w Wojsku Polskim. Berling we wspomnieniach napisał, że bardzo się łamał, gdy podejmował decyzję o jego stworzeniu, ale później nie żałował. O platerówkach wyrażał się w samych superlatywach. A jak Pani zapamiętała czas spędzony w wojskowym obozie?

Tego okresu nie da się zapomnieć, ale i trudno go opisać. Wszędzie żołnierze w polskich mundurach, nasze flagi i język polski! Nie przesadzę, jeśli powiem, że to było jak zmartwychwstanie. Ja, jako młoda dziewczyna osierocona wcześniej przez rodziców, nie byłam wyrobiona ani pod względem wojskowym, ani politycznym. Czułam jednak, że jestem wśród swoich, że stoi przed nami szansa na powrót do Polski. Po kilku dniach od wyjścia ze szpitala dostałam przydział do 1 Samodzielnego Batalionu Kobiecego im. Emilii Plater.

Wtedy zaczęło się prawdziwe wojsko...

To była dla nas wielka radość. Wysłaliśmy, jak to się dziś określa, z psychicznego dołka. Nie łamały nas ani

Kuchnia polowa
w Sielcach nad
Oką. Trzecia
w kolejce Adela
Żurawska



ARCH. ADELI ŻURAWSKIEJ (2)

Wyjazd kompanii fizylierek na front pod Lenino

Marzyłyśmy, żeby wrócić do Polski, najeść się chleba, pozbyć się wszy! To był nasz cały „program polityczny”

forsowne ćwiczenia, ani wojskowy dryl. Proszę też pamiętać, że wiele moich koleżanek przyjechało do Sielc prosto z łagrów, po wieloletnich wyrokach. Ja, choć było mi ciężko, miałam za sobą „tylko” zesłanie – przymusową pracę, ale nie katorgę w obozie! Żadna z nas nie zastanawiała się wtedy nad niuansami politycznymi. Wie pan, jakie były nasze marzenia? Żeby wrócić do Polski, najeść się wreszcie chleba, pozbyć się wszy! To był nasz cały „program polityczny” – szeregowych żołnierzy, ale też wielu podoficerów i oficerów 1 Dywizji. Za wszelką cenę wrócić do Polski i ściągnąć do niej swe rodziny, które nadal pozostawały na Syberii.

Jak odnosili się do was koledzy? Wokół tego tematu narosło wiele mitów... Podobno bardzo surowy był zastępca dowódcy batalionu, ppor. Aleksander Mac?

Mac wtedy był młodym oficerem, ale bardzo nas pilnował. Nie dawał też żadnej taryfy ulgowej w szkoleniu. Do przysięgi 15 lipca 1943 roku chodziliśmy już jak w zegarku. On też cały czas krążył wokół naszych namiotów i przeganiał „adoratorów”. Drugim wielkim przyjacielem batalionu kobiecego był kapelan dywizji ksiądz Wilhelm Kubsz. Na początku wielu żołnierzy nie wierzyło, że jest prawdziwym kapłanem. Mówiono nawet, że to przebrany enkawudzista, ale z czasem to wszystko okazało się nieprawdą. Dla nas to był nie tylko wielki kapłan, lecz także bohater, który z krzyżem w ręku żegnał naszych żołnierzy ruszających do bitwy.

Swietłana Aleksijewicz po napisaniu książki „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety” została oskarżona o podważanie heroicznego obrazu kobiety radzieckiej w czasie wojny. Czy →

podziela Pani opinie i wypowiedzi bohaterki tej książki?

Zgadzam się z tezą Swietłany Aleksijewicz, że Armia Czerwona to było dla kobiet piekło. Nas też obowiązywały regulaminy przygotowane pod kątem mężczyzn, ale w batalionie nie dochodziło do tak ekstremalnych sytuacji, jak te przez nią opisane. Wielka w tym zasługa gen. Berlinga. Naszemu batalionowi, dobrze wyszkołonemu i wyposażonemu w broń maszynową i rusznice przeciwpancerne, Rosjanie chcieli oddać samodzielny odcinek frontu. Berling kategorycznie się temu sprzeciwił. Tutaj jedna ważna uwaga: o wiele łatwiej miały te z nas, które pozostawały przez całą wojnę w batalionie kobiecym. Część platerówek, w tym i ja, po okresie szkolenia wojskowego trafiła do podchorążówki w Riazaniu. Po otrzymaniu patentu oficerskiego ja i siedem moich koleżanek wróciłyśmy do batalionu, a reszta objęła stanowiska dowódcze w męskich oddziałach 1 i 2 Armii Wojska Polskiego. Naszą ósemkę naprawdę można nazwać szczęśliwą. Oficerowie kobiety, dowodzące często o wiele od siebie starszymi mężczyznami i mające dowódców, nierzadko sowieckich oficerów, przechodziły prawdziwe psychiczne katy. Okazywały się też na polu walki wielkimi bohaterkami. Warto przywołać kilka nazwisk. Paulina Matuszewska-Podgórska była dowódcą plutonu w 9 Pułku Piechoty 3 Dywizji Piechoty – została wzięta do niewoli przez Niemców w czasie walk na przyczółku czerniakowskim w Warszawie i osadzona w Stutthofie. Janina Wolanin, dowódca 3 kompanii moździerzy także w 9 Pułku Piechoty 3 DP, ze swoimi żołnierzami walczyła na przyczółku warecko-magnuszewskim, a następnie czerniakowskim. Dwukrotnie została ciężko ranna. Helena Junkiewicz, dowódca plutonu w 8 Pułku Piechoty 3 DP, poległa na Czerniakowie 20 września 1944. Irena Kruszewska, dowódca plutonu moździerzy w 7 Pułku Piechoty, również z 3 DP, poległa w walce o Wał Pomorski 18 lutego 1945 roku. Jest wiele, wiele innych podobnych im bohaterek. My w batalionie nie byłyśmy wystawione na aż tak ekstremalne doświadczenia. Kompania, którą dowodziłam, służbę odbywała na zapleczu frontu, ale i tam ginęły platerówki. Mimo to naszej sytuacji nie można porównywać z horrorem kobiet w Armii Czerwonej, który opisuje Swietłana Aleksijewicz. Kobiety oddelegowane z naszego batalionu na linię frontu dzielnie walczyły i ginęły, ale prze-



Adela Żurawska (w środku) z przyjaciółkami z batalionu

ciwna jestem mówieniu, że to było normalne. Kobiety nie powinny znajdować się w takich sytuacjach.

Mało kto pamięta, że platerówki jako pierwsze zaciągnęły honorową wartę przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie 17 stycznia 1945 roku. Żołnierki nie pełniły jednak tylko funkcji reprezentacyjnej. Wręcz przeciwnie, bo 1 Samodzielny Batalion Kobiety został wyznaczony do służby wartowniczej w zrujnowanej stolicy.

To było upiorne doświadczenie. Bałyśmy się iść na służbę w wypalone ruiny, więc organizowałyśmy się

w cztero- lub sześciuosobowe grupy. Kiedy szłyśmy ulicami, nawoływałyśmy się z kolejnymi grupami dziewcząt, patrolującymi inne kwartały ruin. Proszę sobie wyobrazić styczniową noc, zgliszcza i te kobiece nawoływania. To były jedyne oznaki życia w mieście widmie. Byłyśmy też angażowane do znacznie trudniejszych akcji. Jeden z naszych pododdziałów ochraniał budynki monopolu na ulicy Żąbkowskiej na Pradze, który co rusz starali się zdobyć sojusznicy z Armii Czerwonej. Niejeden z tych rabusiów po strzale ostrzegawczym naszych wartowniczek kończył żywot w kadzi ze spirytusem...

Co Pani sądzi o słynnej „republice babskiej”, czyli wojskowej osadzie Platerowo pod Jelenią Górą, w której zamieszkała część żołnierek 1 SBK.

Po rozwiązaniu naszego batalionu pod koniec 1945 roku wiele służących w nim kobiet znalazło się na Ziemiach Odzyskanych. Moim zdaniem, osiedlanie ich w jednej wsi to był błąd. Powinno się im stworzyć możliwości kształcenia i pracy, a nie z urzędu skazywać na pracę i mieszkanie na wsi. Wiele tych siedemnasto-, osiemnastoletnich dziewczyn pochodziło z przedwojennych polskich wsi na Kresach. Do armii gen. Andersa poszły dziewczyny bardziej doświadczone i wykształcone, często po maturze lub studentki, słowem lepiej przygotowane do życia. One też miały w II Korpusie Polskim nieporównywalnie lepsze warunki egzystencji, kształcenia czy robienia po wojnie kariery, na przykład naukowej. Co jednocześnie nie znaczy, że nie miały podobnych problemów jak my w męskim świecie. Proszę zobaczyć jedno ze zdjęć, wysłane przez platerówkę z frontu. Napisała na jego odwrocie: „Mamo żyję!!! A zdjęcie z karabinem, bo jestem na wojnie!”. Niech to będzie puenta naszej rozmowy. ■

HISTORIA PolskaZbrojna

JUŻ
W SPRZEDAŻY
POCZTA POLSKA
SALONY EMPIK

NOWY MAGAZYN

O TRADYCJI I CHWALE POLSKIEGO ORĘŻA



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO
POLSKIE

Twoja historia – Twoje życie!

Polecam!

Anna Putkiewicz, redaktor naczelna



TADEUSZ WRÓBEL

Uniwersalny dingo

Brytyjska firma Daimler produkowała podczas II wojny bardzo udane lekkie, czterokołowe opancerzone pojazdy zwiadowcze i samochody pancerne.

W latach trzydziestych XX wieku Wielka Brytania mechanizowała wojska lądowe. Jednym z potrzebnych pojazdów pancernych był mały samochód zwiadowczy do zadań rozpoznawczych i łącznikowych. Ministerstwo Wojny w 1938 roku przedstawiło dotyczące go wymagania. Prototypy przygotowały trzy firmy: Alvis Ltd, BSA (Birmingham Small Arms) Cycles Ltd i Morris Commercial Cars Ltd. Pierwsza z nich zdobyła wcześniej zamówienie na samochody pancerne Alvis-Straussler dla Królewskich Sił Powietrznych i armii Holenderskich Indii Wschodnich. BSA Cycles była producentem małych pojazdów z napędem na przednie koła. Z kolei Morris wytwarzał dla wojska m.in. ciężarówki, ciągniki artyleryjskie i samochody pancerne C S9/LAC.

WYGRANA RYWALIZACJA

Alvis i Morris przekazały swe prototypy do testów w sierpniu 1938 roku. Pojazd ostatniej z firm nie osiągnął wymaganej prędkości i pojawiły się problemy z chłodze-

niem silnika. Prototyp Alvisa, nazwany Dingo, jeździł w terenie z prędkością ponad 80 km/h. Jednak mankamentem tej konstrukcji był zbyt wysoko umiejscowiony środek ciężkości. We wrześniu 1938 roku rozpoczęły się testy wozu BSA, który w ich trakcie pokonał do grudnia dystans ponad 16 tys. km po utwardzonych drogach i w terenie. Wszystkie konstrukcje miały niezależne zawieszenie kół.

Rywalizację wygrał prototyp BSA, ale Ministerstwo Wojny dokonało zmian w specyfikacji pojazdu. Dotyczyły one lepszego opancerzenia, a także wyposażenia w opancerzony dach. Oznaczało to zwiększenie masy wozu, co z kolei wymagało wzmocnienia zawieszenia oraz zamontowania silnika o większej mocy. Pojazd otrzymał wojskowe oznaczenie Car Scout Mark I. Jako że jego produkcję powierzono należącej do grupy BSA spółce Daimler, określano go też jako Daimler Scout Car albo używano nazwy Dingo, pierwotnie przynależącej do prototypu Alvisa. Wybrany przez Ministerstwo Wojny pojazd miał kanciasty kadłub i był najlepiej opancerzony od przodu.

OPRÓCZ WYKONYWANIA ZADAŃ ROZPOZNAWCZYCH I ŁĄCZNIKOWYCH SAMOCHODÓW DINGO UŻYWANO TEŻ JAKO RUCHOMYCH PUNKTÓW OBSERWACYJNYCH I WÓZÓW DOWODZENIA



DINGO w wielu armiach służył jeszcze kilkadziesiąt lat po zakończeniu II wojny światowej.

IMPERIAL WAR MUSEUM

Przedni pancerz miał 30 mm grubości. Wóz rozpoznawczy przeznaczono dla dwuosobowej załogi – kierowcy oraz operatora radiostacji i uzbrojenia. Żołnierze dostawali się do wnętrza przez właz dachowy. Obrotowe siedzenie ułatwiało operatorowi obsługę radiostacji lub ręcznego karabinu maszynowego Bren kalibru 7,7 mm z zapasem 360 naboji (12 magazynków), dla którego otwór znajdował się w przodzie kadłuba. Innym opcjonalnym uzbrojeniem dingo był karabin przeciwpancerny Boys kalibru 13,97 mm. Później na pojazdach montowano też podwójne karabiny maszynowe Vickers K kalibru 7,7 mm, które opracowano dla samolotów.

Z tyłu pojazdu znajdował się silnik benzynowy o pojemności 2,5 l i mocy 55 KM. Wóz został wyposażony w preselekcyjną skrzynię biegów i sprzęgło hydrokinetyczne. To rozwiązanie zapewniało mu po pięć biegów do przodu i do tyłu.

Dingo miał układ napędowy H-drive, który umożliwiał skręcanie wszystkimi czterema kołami. To spowodowało, że promień skrętu wynosił tylko 7 m. Jednak niedoświadczeni kierowcy mieli problem z kontrolą nad tylnymi kołami, dlatego odstąpiono później od sterowania nimi, co zwiększyło promień skrętu do 12 m. Jako że w pojeździe zastosowano twarde opony typu run-flat, zrezygnowano z koła zapasowego. Niezależne zawieszenie kół pozwalało na jazdę, nawet gdy różnica między nimi w pionie wynosiła 20 cm. Z drugiej strony niskie zawieszenie i płaski spód kadłuba czyniły pojazd Daimlera podatnym na uszkodzenia spowodowane eksplozjami min.

W maju 1939 roku Ministerstwo Wojny złożyło pierwsze zamówienie na 172 wozy rozpoznawcze w wersji Mk I z czterema kołami skrętnymi. Wersja Mk IA miała składany dach, a w Mk IB odwrócono przepływ powietrza chłodzącego i zmieniono kratkę ochronną chłodnicy. W Mk II usunięto skrętność tylnych kół i dokonano zmian w oświetleniu pojazdu,

dołączono wyrzutnie granatów dymnych (2X6 lub 2X4). Z kolei w Mk III opancerzono dach zastąpiono płócienną osłoną, zamontowano dodatkowy generator doładowania baterii.

Od 1942 roku wzorowany na tej konstrukcji pojazd Scout Car Ford Mk I, nazywany Lynx (Ryś), był produkowany w zakładach Ford Canada. Kadłub dingo umieszczono na podwoziu ciężarówki Ford CMP z konwencjonalnym napędem na cztery koła, które było gorsze niż oryginalne, za to z mocniejszym silnikiem. Lynx był o 50 cm dłuższy od dingo i o tonę od niego cięższy. Hale zakładów Forda w Windsor w stanie Ontario opuściło do 1945 roku 3255 rysów, w wersjach Mk I i Mk II. W tej ostatniej wóz nie miał dachu, ale za to wzmocniono jego podwozie.

SAMOCHÓD PANCERNY

Niemal równolegle z pracami nad pojazdem Dingo BSA przygotowywała podobny, lecz większy i lepiej uzbrojony samochód pancerny Daimler Armoured Car. Jego prototypy były gotowe już w 1939 roku, ale pojawiły się problemy z przeniesieniem napędu i większą masą. Z tego powodu samochód pancerny Daimlera wszedł do służby dopiero w połowie 1941 roku.

Na kadłubie osadzono dwuosobową wieżę, opracowaną dla lekkiego czołgu Mk VII Tetrarch. Wóz Daimlera uzbrojono w standardową w owym czasie brytyjską armatę przeciwpancerną kalibru 40 mm z zapasem 52 pocisków i sprzężony z nią karabin maszynowy Besa kalibru 7,92 mm z zapasem 2700 naboji. Dodatkowo na stropie wieży można było zamontować ręczny karabin maszynowy Bren kalibru 7,7 mm do zwalczania samolotów z zapasem 500 naboji.

Pancerz wieży miał grubość 16 mm z przodu i po bokach oraz 14 mm z tyłu. W przypadku kadłuba było to 14 mm z przodu i 10 mm po bokach. Parametry balistyczne pancerza poprawiały pochylone ściany.

Jako napęd samochodu pancernego wybrano sześciocylindrowy silnik Daimler 27 benzynowy o pojemności 4,1 l i mocy 95 KM. Zapewniał on pojazdowi maksymalną prędkość 80,5 km/h. Zasięg zaś wynosił 330 km.

Pierwszą wersję Mk I zastąpiła wersja Mk II, w której zmodyfikowano wieżę (uchwyt armaty).



Masa (kg)	3000
Długość (m)	3,18
Szerokość (m)	1,715
Wysokość (m)	1,5
Pancerz przedni (mm)	30
Pancerz boczny (mm)	12
Zapasy paliwa (l)	81,81



Maksymalna
prędkość
96,5 km/h

Silnik

Daimler 6-cylindrowy, benzynowy,
pojemność 2,5 l o mocy 55 KM



DINGO

Maksymalna
prędkość
86 km/h



LINCE

Silnik

Lancia 8-cylindrowy, benzynowy,
pojemność 2,6 l o mocy 82 KM



Masa (kg)	3140
Długość (m)	3,24
Szerokość (m)	1,7
Wysokość (m)	2,6
Pancerz przedni (mm)	8
Pancerz boczny (mm)	5
Zapasy paliwa (l)	163,66+81,83

Pojazd ten miał ulepszoną chłodnicę i włącz kierowcy na dachu kadłuba. Inne zmiany w wersji Mk II dotyczyły wyrzutni granatów dymnych na wieży i generatora dymu. Poza tym powstały też wersja wsparcia ogniowego Mk I CS uzbrojona w armatę kalibru 76 mm i bezwiewowy wóz dowodzenia.

Około 70 egzemplarzy dingo przydzielono do wysłanych do Francji Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych, głównie jednostek 1 Dywizji Pancernej. Pojazdy te zostały zniszczone podczas walk z Niemcami w 1940 roku w Belgii i we Francji lub porzucone w trakcie ewakuacji na Wyspy Brytyjskie. Masowo używano dingo, poczynając od 1940 roku, w walkach z Włochami na terenie Afryki, m.in. w czasie tragicznego rajdu 19 sierpnia 1942 roku na francuski port Dieppe.

Wozy zwiadowcze Dingo okazały się niezwykle uniwersalne. Oprócz zastosowania do zadań rozpoznawczych i łącznikowych używano ich też jako ruchomych punktów obserwacyjnych i wozów dowodzenia. Przydzielono je jednostkom piechoty i pancernym, a także saperskim. Poza armią brytyjską pojazdy Daimlera (i Forda) trafiły do jednostek australijskich, francuskich, indyjskich, kanadyjskich, polskich i południowoafrykańskich.

W latach 1943–1945 użyte były w walkach we Włoszech i Europie Północno-Zachodniej, a także z Japończykami w Birmie. W wielu armiach służyły jeszcze kilkadziesiąt lat po zakończeniu II wojny światowej.

WŁOSKA KOPIA

W 1941 roku włoskie Ministerstwo Wojny zwróciło się do firmy Lancia o opracowanie podobnego wozu. Wykorzystując wiedzę uzyskaną podczas badań zdobycznych samochodów Dingo, przygotowała ona prototyp, który zaprezentowano w listopadzie 1942 roku. Włoski wóz był nieco większy niż pierwowzór Daimlera. Miał też zamontowany z przodu, opracowany dla czołgów karabin maszynowy Breda Mod. 38 kalibru 8 mm, zasilany z 24-nabojowego magazynka. Na początku 1943 roku Lancia otrzymała zamówienie na 300 wozów, oficjalnie nazwanych pojazdami pancernymi Lince.

Do podpisania przez Włochy rozejmu z aliantami na początku września 1943 roku wyprodukowano około stu tych wozów, ale do wojska trafiły tylko dwa. Jako że znajdujące się na północy Włoch zakłady Lancii znalazły się pod kontrolą Niemców, ci nakazali kontynuację produkcji lince'ów.

KRZYSZTOF
KUBIAK

Obosieczny miecz



Nieoficjalne wspieranie bronią przeciwników aktualnego lub potencjalnego oponenta to element międzynarodowej gry, zapewne niemal tak stary jak stara jest sama polityka. Już w opisach wojen peloponeskich można znaleźć informację, że Ateńczycy dostarczali wrogom Sparty nie tylko pieniądze, lecz także miecze. Również w późniejszych epokach można odnaleźć wiele podobnych przykładów. Kiedy wydawało się, że I wojna światowa jest już nieuchronna, Niemcy zdecydowali się dowieźć oręż irlandzким patriotom przygotowującym się do walki przeciwko Brytyjczykom. W tym ostatnim wypadku śmiało można się pokusić o tezę, że bez owych 1500 starych mauserów przeschmuglowanych na Szmaragdową Wyspę i rozładowanych 26 lipca 1914 roku w Howth, powstanie wielkanocne w 1916 roku prawdopodobnie by nie wybuchło.

W miarę postępu technicznego rola pomocy wojskowej dostarczanej aliantom, sojusznikom i klientom skokowo rosła, zwłaszcza gdy mocarstwa wyzbyły się oporów związanych z transferem za granicę również najnowszego oręża ze swoich arsenałów. Kierowano się przy tym zarówno względami politycznymi, jak i wojskowymi, głównie dążeniem do przetestowania sprzętu w warunkach bojowych. Niekiedy dostarczenie jednego typu uzbrojenia ruchowi powstańczemu mogło w bardzo istotny sposób wpłynąć na sytuację na całym teatrze działań wojennych. Pierwsi przekonali się o tym Portugalczycy. Na początku lat siedemdziesiątych poprzedniego wieku w ręce organizacji partyzanckiej noszącej nazwę Afrykańska Partia Niepodległości Gwinei i Wysp Zielonego Przylądka, walczącej o niepodległość Gwinei, trafiły ze Związku Sowieckiego przenośne zestawy przeciwlotnicze 9K31 Strzala-1. Sowieci przeszkolili również ich operatorów. Dla Portugalczyków oznaczało to, że utracili ostatni już atut, jakim dysponowali w rywalizacji z powstańcami, czyli przewagę w powietrzu. W latach 1973–1974 luzytańskie wojska lotnicze straciły łącznie 36 samolotów.

Uzbrajając gwinejskich partyzantów w przenośne zestawy przeciwlotnicze, Sowieci nie zdawali sobie sprawy, że tworzą precedens, który kilkanaście lat później zostanie wykorzystany przeciwko nim. Kiedy w grudniu 1979 roku armia sowiecka wkroczyła do Afganistanu, nie spotkała się początkowo z większym oporem. Po kilku miesiącach pojawiły się jednak problemy z kontrolą obsadzonego terytorium, zwłaszcza górskich rejonów położonych z dala od większych miast. Także w tym wypadku kluczową rolę w zwalczaniu partyzantki odegrało lotnictwo, zarówno uderzeniowe, jak i transportowe, przede wszystkim śmigłowce, znakomicie zwiększające taktyczną ruchliwość piechoty, przygotowane do udzielenia jej precyzyjnego wsparcia ogniowego. Początkowo afgańscy mudżahedini byli wobec zagrożenia z powietrza niemal całkowicie bezbronni. Sytuacja zmieniła się, kiedy jesienią 1986 roku do Afganistanu, za pośrednictwem pakistańskiego wywiadu wojskowego, zaczęły napływać amerykańskie przenośne zestawy przeciwlotnicze FIM-92 Stinger. Niemal natychmiast istotnie skomplikowały one działania lotnictwa sowieckiego i rządowych afgańskich sił lotniczych. Dane dotyczące liczby zestrzeleń uzyskanych za pomocą stingerów są rozbieżne, ale można przyjąć, że ofiarami tej broni padło co najmniej 300 (a nawet 550) statków powietrznych. Część amerykańskich rakiet trafiła, co prawda później, na czarny rynek uzbrojenia, ale to już zupełnie inna opowieść. ■



Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

HORYZONTY

/ 100 LAT NIEPODLEGŁOŚCI



Samoloty Fokker D.VII wchodziły w skład lotnictwa odradzającej się II Rzeczypospolitej. Na zdjęciu na tle jednej z tych maszyn pozuje płk Jerzy Kossowski, jeden z najlepszych ówczesnych polskich pilotów wojskowych.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

LOT W PRZESZŁOŚĆ

Repliki fokkerów budowane na zlecenie Politechniki
Poznańskiej wejdą w skład **Wielkopolskiej
Eskadry Niepodległości**. Swoją pierwszy
lot wykonają w setną rocznicę wybuchu
powstania wielkopolskiego.

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



M

iał prostą konstrukcję: szkielet z drewna i stalowych rurek obciągnięty płótnem, przód zaś obity blachą. Moc zapewniał mu silnik – bądź mercedesa o mocy 160 KM, bądź BMW o mocy 180 KM. W zależności od wersji na wysokość 1000 m potrafił się wzniesić w dwie i pół albo w niespełna cztery minuty, w locie nurkowym zaś osiągał prędkość 200 km/h. Do tego był nieźle uzbrojony. Pilot obsługiwał dwa karabiny maszynowe, czasem mógł też zrzucić przenoszone pod skrzydłami bomby.

„Szybki, zwrotny, łatwy w pilotażu, no i niezwykle wytrzymały... Fokker D.VII uchodził za najlepszy samolot myśliwski I wojny światowej”, podkreśla dr Radosław Górzeński z Politechniki Poznańskiej. Niemcy wyprodukowali ponad 3 tys. takich maszyn i wysyłali je przede wszystkim na front zachodni. Ale fokkery miały też niemałe znaczenie dla lotnictwa odradzającej się II Rzeczypospolitej. Dlatego wkrótce znów zobaczymy je na polskim niebie.

ŁUP BEZ PRECEDENSU

Armatni pocisk ze świstem przeleciał ponad głowami Niemców i uderzył w wieżę lotniska. Z wysokości posypały się porozbijane cegły, a w półmroku rozeszła się chmura

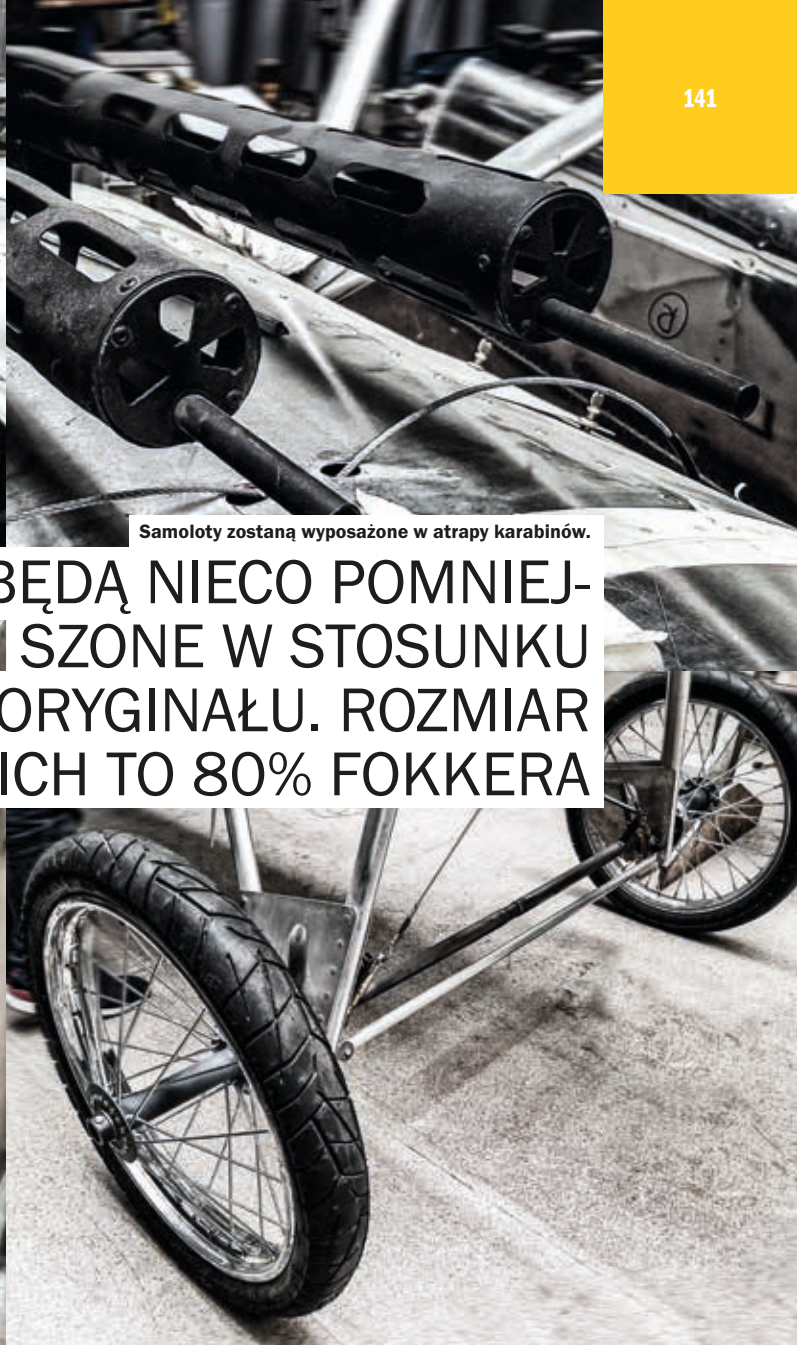
ARCH. RADOSŁAWA GÓRZEŃSKIEGO (3)

Prace są prowadzone w warsztacie lotniczym, który należy do Henryka Wickiego ze Świdnika. Budżet przedsięwzięcia został obliczony na ponad milion złotych.

pyłu. Chwilę później niemieccy żołnierze wywiesili białą flagę, a na pozycjach zajętych przez Polaków rozległ się okrzyk radości. Tak oto zakończyła się jedna z najważniejszych potyczek powstania wielkopolskiego. Choć krótka i niespecjalnie krwawa, miała ona fundamentalne znaczenie – i to nie tylko dla losów zrywu, lecz także dla przyszłości polskiej armii.

„Ławica, dziś dzielnica Poznania, była wówczas odrębną wsią. W jej granicach powstała niemiecka baza lotnicza, która podczas wojny miała status lotniska zapasowego. Niemcy prowadzili tam szkolenie pilotów, składowali też pokaźną ilość sprzętu”, wyja-





Samoloty zostaną wyposażone w atrapy karabinów.

REPLIKI BĘDĄ NIECO POMNIEJSZE W STOSUNKU DO ORYGINAŁU. ROZMIAR KAŻDEJ Z NICH TO 80% FOKKERA

śnia prof. Janusz Karwat, historyk wojskowości, specjalizujący się w dziejach powstania wielkopolskiego. Walki, które wybuchły pod koniec grudnia 1918 roku, szybko doprowadziły do zdobycia Poznania. Ławica nadal jednak pozostawała w rękach Niemców. „Polacy obawiali się, że stacjonujące tam samoloty posłużą do bombardowania miasta. Chcieli też zdobyć tamtejszy sprzęt, zanim zostanie on wywieziony w głąb Niemiec”, tłumaczy prof. Karwat. 6 stycznia 1919 roku przypuścili na Ławicę szturm i bardzo szybko osiągnęli sukces. Niemcy poddali się po 20-minutowej wymianie ognia. Liczba poległych po obydwu stronach była znikoma. Rannych było niewielu więcej. Tymczasem w ręce powstańców wpadł największy łup wojenny w dziejach polskiego oręża. Na płycie lotniska stało kilkadzie-

siąt samolotów, ale już w magazynach oraz hali mieszczącej się na pobliskich Winiarach powstańcy przejęli przeszło 200 innych maszyn i balonów obserwacyjnych. „Co prawda samoloty zostały wcześniej rozebrane na części, zakonserwowane i przygotowane do transportu, jednak ich montaż nie był zajęciem specjalnie czasochłonnym”, podkreśla prof. Karwat.

Maszyny zdolne do lotu zostały przemalowane w polskie barwy i niemal natychmiast odesłane do Warszawy. Ale bardzo szybko swoje lotnictwo zyskali też powstańcy. „Podczas powstania wielkopolskiego samoloty były wykorzystywane głównie do prowadzenia rozpoznania, choć do historii przeszedł również nalot bombowy na lotnisko we Frankfurcie nad Odrą. Polscy piloci zdołali zniszczyć hangar i nieprzyjacielski samolot. Przede



wszystkim jednak ich akcja odniosła skutek psychologiczny. Niemcy, którzy wcześniej zaatakowali z powietrza Ławicę i Strzeszyn, bojąc się odwetu, zaprzestali takich akcji”, tłumaczy profesor.

Z czasem w Poznaniu powstały kolejne eskadry i szkoła dla pilotów. Lotnicy z Wielkopolski walczyli w wojnach przeciwko Ukraińcom i bolszewikom. To właśnie w Poznaniu rodziły się siły powietrzne II Rzeczypospolitej.

PACZKA Z AMERYKI

Fokkerów D.VII z białą-czerwoną szachownicą na skrzydłach początkowo było niewiele. „W wyniku szturm na Ławicę powstańcy wielkopolscy zdobyli zaledwie trzy maszyny tego typu. Wkrótce jednak pojawiły się u nas kolejne, pochodzące z zakupów w Niemczech czy we Francji”, wyjaśnia dr Górzeński. W sumie polskie lotnictwo miało ich około 50. Spora część wchodziła w skład 15 Eskadry Myśliwskiej, wydającej się z Wielkopolski. Potem fokkery były w wyposażeniu poznańskiego 3 Pułku Lotniczego. „Rozwój techniki wojskowej był jednak wówczas na tyle szybki, że już w połowie lat dwudziestych stały się one maszynami przestarzałymi. Zostały wycofane z czynnej służby, choć i tak część jeszcze w początkach kolejnej dekady służyła do szkolenia pilotów”, zaznacza dr Górzeński.

Renoma fokkerów z jednej strony, z drugiej zaś ich związek z Poznaniem sprawiły, że to właśnie te maszyny utworzą Wielkopolską Eskadrę Niepodległości. „Chcemy, aby na stulecie powstania wielkopolskiego w niebo wzbili się trzy ich repliki”, zapowiada dr Górzeński. Projekt początkowo był pilotowany przez Polskie Stowarzyszenie Motoszybowcowe, które prowadziło publiczną zbiórkę na ten cel, potem przejęła go Politechnika Poznańska. Budżet przedsięwzięcia został obliczony na ponad milion złotych. Większość tej kwoty wyłożą władze uczelni, 400 tys. zł będzie pochodziło z dotacji przyznanej przez marszałka Wielkopolski.

Prace są prowadzone w warsztacie lotniczym, który należy do Henryka Wickiego ze Świdnika. „Remontujemy lotnicze silniki, ale też zabytkowe maszyny. Na koncie mamy na przykład odnowienie samolotów Jak-12 czy TS-8 Bies. Specjalizujemy się jednak w RV”, wyjaśnia właściciel warsztatu. To ultralekkie maszyny dla maksymalnie czterech osób. Kupuje się je u amerykańskiego producenta w zestawach zwanych ki-

SZYBKI, ZWROTNY, ŁATWY W PILOTAŻU, NO I NIEZWYKLE WYTRZYMAŁY... FOKKER D.VII UCHODZIŁ ZA NAJLEPSZY SAMOŁOT MYŚLIW- SKI I WOJNY ŚWIATOWEJ

tami, a potem przez kilka miesięcy samodzielnie montuje. Na bazie podobnej technologii powstają fokkery. Części zostały wyprodukowane przez firmę Airdrome Aeroplanes ze Stanów Zjednoczonych.

„Same repliki będą nieco pomniejszone w stosunku do oryginału. Rozmiar każdej z nich to 80% fokkera”, tłumaczy Wicki. Szkielet został skonstruowany z duraluminium. Samoloty budowane na zlecenie politechniki będą też miały inny silnik. „Zdecydowaliśmy się na czterocylindrowe chłodzo-

ne powietrzem silniki w układzie Boxer. Bazują one na rozwiązaniach volkswagena”, informuje dr Górzeński. Konstrukcje, które przypominająby te montowane w oryginalnych fokkerach, nie są produkowane od ponad 40 lat. Do tego samoloty zostaną wyposażone w atrapy karabinów. Wszystko to sprawia, że będą lżejsze od oryginałów. Podczas gdy dawne fokkery ważyły po około 540 kg, waga jednej repliki sięgnie 400 kg. Najważniejsze jednak, że maszyny wzbiją się w powietrze. „Nie chciałbym wchodzić w szczegóły. Mogę jednak powiedzieć, że będą one rozwijały prędkość 130–150 km/h i osiągały pułap od 2 do 3 tys. m. Zostaną zarejestrowane jako normalne statki powietrzne, nadzór zaś nad nimi będzie sprawował Urząd Lotnictwa Cywilnego”, zapowiada dr Górzeński.

STULECIE Z ESKADRA

Tymczasem pierwszy z samolotów jest niemal gotowy. „Ma już silnik, został też opłótniony”, informuje dr Górzeński. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wkrótce powinien się rozpocząć jego oblot. Dwie pozostałe maszyny przejdą tę procedurę w październiku i listopadzie. „Zajmą się tym piloci oblatywacze zatwierdzeni przez Urząd Lotnictwa Cywilnego”, wyjaśnia dr Górzeński. „Potem za sterami będą zasiadali lotnicy, którzy mają doświadczenie w pilotowaniu maszyn z kółkiem ogonowym, na przykład wilgi czy zlina 526”.

Wielkopolska Eskadra Niepodległości po raz pierwszy ma zostać zaprezentowana 27 grudnia, w setną rocznicę wybuchu powstania wielkopolskiego. Jednomiejscowe samoloty, oznaczone białą-czerwonymi szachownicami, tak jak przed laty przelecały nad Poznaniem. Na tym jednak nie koniec. „Chcemy, by eskadra prezentowała się przy okazji ważnych świąt również w innych częściach Polski. Tym bardziej że przedsięwzięcie, którego się podjęliśmy, jest w skali Polski pionierskie”, podsumowuje dr Górzeński. ■

Dźwiękowa pocztówka

Broń psychologiczna nowej generacji.

W armii USA opracowano specjalną pocztówkę multimedialną, która ma być zrzucona na terytorium wroga jako broń psychologiczna. Propagandowa e-ulotka, o wymiarach 10 x 15 cm i grubości czterech kartek papieru, będzie wyposażona w elastyczny głośnik, baterię i wyświetlacz. Jak podaje portal amerykańskiego Departamentu Obrony, na pocztów-

kach mogą być wyświetlane np. zdjęcia czy filmy, na których pojawia się rodziny żołnierzy przeciwnika, zachęcające do zaprzestania walki. Takie ulotki miałyby za pomocą głosu oraz obrazu łamać morale wroga i skłaniać go do kapitulacji, a także informować cywilów o planach militarnych. Jeszcze w tym roku w US Army planowane są testy nowego wynalazku. AD ■



USAF MUSEUM

PAMIĄTKI Z WIELKIEJ BITWY

W setną rocznicę Bitwy Warszawskiej powstanie poświęcone jej muzeum.

Mające powstać w Ossowie Muzeum Bitwy Warszawskiej będzie filią Muzeum Wojska Polskiego. „Chcemy, aby placówka w ciekawy i przystępny sposób przedstawiała historię wielkich dni 1920 roku, kiedy polskie wojsko pokonało bolszewików”, mówił minister Mariusz Błaszczak w Ossowie 15 sierpnia, w rocznicę zwycięskiej bitwy wojny polsko-bolszewickiej. Szef MON-u zwrócił się z apelem do osób, które mają pamiątki związane z wydarzeniami 1920 roku, aby przekazały je do muzeum. „Razem stwórzmy

wspaniałe i godne miejsce przechowywania i eksponowania narodowych pamiątek”, dodał Błaszczak. Koncepcja zagospodarowania terenu zakłada połączenie przestrzeni pola bitwy w Ossowie z budynkiem przyszłego muzeum. W czerwcu powołano zespół programowo-naukowy do spraw ekspozycji oddziału MWP, którego zadaniem jest opracowanie założeń i koncepcji wystawy. MON ogłosiło też konkurs ofert na budowę placówki i pod koniec września chce podpisać umowę z wykonawcą tych prac. AD ■



MATERIAŁY PRASOWE

Bombowa historia

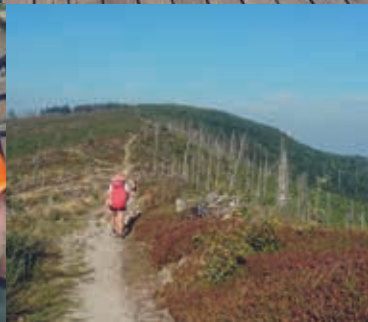
Trzy niemieckie pociski lotnicze wydobyto w pobliżu kołobrzeshirej plaży.

Niewybuchy o łącznej wadze około 600 kg spoczywały kilka metrów od brzegu, na głębokości nieprzekraczającej metra. Odkryli je kąpiący się w morzu turyści. Z Bałtyku bomby wydobyli nurkowie minierzy z 8 Flotyli Obrony Wybrzeża. Na czas operacji ewakuowano ponad 2 tys. osób, zamknięto także drogę i linię kolejową. Niewybuchy pokrywała gruba warstwa mułu i kamieni, którą trzeba było wymywać za pomocą ciśnieniowej płuczki. Potem nurkowie opletli bomby pasami, podczepili je do dźwigu, który przniósł niebezpieczne znalezisko na plażę. Na brzegu przejęli je specjaliści z 8 Batalionu Saperów w Dziwnowie i przetransportowali na poligon w Drawsku, gdzie bomby zostały zniszczone. PZ, ŁZ ■

EWA KORSAK

SZLAKIEM WSPARCIA

Trzydzieści osiem dni i tysiąc kilometrów góorskimi szlakami – żołnierze 11 Mazurskiego Pułku Artylerii postanowili w nietypowy sposób pomóc kombatantom II wojny światowej.



Od dawna st. szer. Damian Wyciskiewicz miał dwie pasje: kochał góry oraz historię II wojny światowej: „W pewnym momencie czytanie książek o walkach przestało mi wystarczać. Chciałem poznać polskich bohaterów, kombatantów walk o niepodległą Polskę i w jakiś sposób im pomóc, bo wiedziałem, że tego potrzebują. Tak narodził się pomysł Marszu dla Polskiego Bohatera”. Założył, że wśród swoich kolegów żołnierzy zbierze grupę, z którą przejdzie 1000 km po polskich górach w 38 dni. „W tym roku obchodzimy setną rocznicę odzyskania niepodległości, więc marsz jest też naszym sposobem na uczczenie tego ważnego wydarzenia”, mówi Wyciskiewicz. Trasa, którą wybrał, prowadzi przez Główny Szlak Beskidzki i Główny Szlak Sudecki. To łącznie niemal 1000 km w linii prostej, ale jak doda się wzniesienia, wyjdzie około 1200.

Okazało się, że skompletowanie ekipy do marszu nie stanowiło problemu. „Nikogo nie trzeba było nama-

wiać”, przyznaje Wyciskiewicz. Mieli ruszyć w piątek, ale jeden z żołnierzy nabawił się kontuzji i nie mógł wziąć udziału w akcji. W góry poszli więc st. szer. Damian Wyciskiewicz, szer. Tomasz Miłkowski, st. szer. Paweł Pałat i szer. Arkadiusz Musik.

Z WARSZTATU W GÓRY

Wszyscy to żołnierze 11 Mazurskiego Pułku Artylerii w Węgorzewie. Na co dzień Wyciskiewicz i Musik naprawiają wojskowe pojazdy, takie jak honkery czy stary. Miłkowski zaś jest odpowiedzialny za narzędzia, z których żołnierze korzystają podczas napraw. St. szer. Paweł Pałat z kolei w jednostce jest ratownikiem medycznym oraz kancelistą.

„Nie zastanawialiśmy się w ogóle. Ba! Bilibyśmy się o to, żeby iść w góry dla bohaterów!”, żartuje szer. Tomasz Miłkowski. Do marszu przygotowywali się niemal rok. Czas między treningami zajmowały im formalności. „Założyliśmy sobie, że będziemy zbierać pieniądze dla kombatantów. Nie bardzo jednak wie-





GÓRAL I SOKÓŁ

Kpt. Stanisław Rusowicz „Góral” żołnierz Armii Krajowej, w kwietniu 1944 roku został zaprzysiężony w 1 Ośrodku Dywersyjnym w Landwarowie. Był łącznościowcem. Podczas rozbrajania 1 Brygady Wileńskiej przez NKWD dostał cios bagnietem w plecy. W 1945 uciekł do Polski, ale wkrótce został aresztowany przez władze sowieckie i skazany na więzienie. Odznaczony m.in. Orderem Męczeństwa i Zwycięstwa i Medalem Zwycięstwa i Niepodległości Ojczyzny.

Ppor. Mieczysław Pawłowski „Sokół” został żołnierzem AK, gdy miał zaledwie 17 lat. Wcześniej wraz ze swoją rodziną ukrywał kolegę Żyda przed hitlerowcami. Walczył w powstaniu warszawskim w kompanii B3 Pułku AK Baszta. Po wojnie pracował w Polskim Czerwonym Krzyżu. Odznaczony m.in. Krzyżem Walecznych, Krzyżem Armii Krajowej i Krzyżem Powstańczym.

dzieliśmy, jak to zrobić formalnie. Przecież nie możemy chodzić po górach z puszkami. Dlatego poprosiliśmy o wsparcie Tomka Sawickiego, który od lat organizuje akcje pomocy. On wziął na siebie wszystkie formalności dotyczące zbiórki, założył nam oddzielne konto, na które można wpłacać pieniądze”, mówi Wyciszkievicz.

Zebrane w ten sposób fundusze przekażą na pomoc kpt. Stanisławowi Rusowiczowi „Góralowi” i ppor. Mieczysławowi Pawłowskiemu „Sokołowi”. Obaj byli żołnierzami Armii Krajowej – „Sokół” walczył w powstaniu warszawskim, „Góral” służył w 1 Brygadzie Wileńskiej. Dziś potrzebują pomocy młodszych kolegów. „»Sokołem« już teraz zajmuje się rehabilitant – żołnierz naszego pułku. Razem ćwiczą i widać postępy, nie tylko fizyczne. Cieszy nas również jego dobry nastrój. Pan porucznik zapewnia na przykład, że dołączy do nas w górach”, mówi z radością st. szer. Paweł Pałat. Żołnierze chcą opłacić zabieg okulistyczny dla ppor. Pawłowskiego oraz kupić kombatantom opał na zbliżającą się zimę. Potrzebują 3,5 tys. zł.

W trasę po górach wyszli 23 lipca 2018 roku. Zaczęli od Wołosatego, by ruszyć dalej przez Cisnę, Komańczę, Krynice Zdrój, Krościenko nad Dunajcem, Rabkę Zdrój

aż do Ustronia. Pokonanie 500 km zajęło im 19 dni. W czasie tego etapu doskwierała im pogoda, bo często padało, a w górach robiło się błoto. Przez cały czas mieli też na sobie plecaki, które ważyły ponad 20 kg.

CEL DODAJE SIŁ

„Trenowaliśmy dużo na siłowni, wyjeżdżaliśmy na weekendy w góry, ale to nie to samo, co ponad miesiąc wędrówki z ciężarem na plecach. Góry ciągle weryfikują wyobrażenia o naszej kondycji”, przyznają żołnierze. Damian Wyciszkievicz w pierwszym etapie nabawił się kontuzji kolana. Na szczęście po krótkim odpoczynku mógł wrócić do marszu.

11 sierpnia w Prudniku rozpoczęli drugi etap wyprawy – weszli na Główny Szlak Sudecki. Po przejściu kilkuset kilometrów zmęczenie dało o sobie znać. „Sił dodaje nam idea akcji, czyli pomoc »Góralowi« i »Sokołowi«”, przyznaje szer. Arkadiusz Musik. Motywują ich też spotkania z ludźmi na szlaku. „Założyliśmy sobie, że po drodze będziemy opowiadać o naszych bohaterach, tam gdzie możemy, zostawimy ulotki i plakaty, które przygotowaliśmy. Umieściliśmy na nich opis naszej akcji oraz krótkie życiorysy »Górala« i »Sokoła«. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że nie każdy chce słuchać o historii. Tymczasem spotykamy się z wielką życzliwością. Ludzie są zaciekawieni, dopytują o to, jak mogą pomóc”, mówi st. szer. Damian Wyciszkievicz.

„Każdy dzień na szlaku jest inny”, mówią piechurzy. „Rytm dnia staramy się mieć jednak uporządkowany. Wstajemy wcześniej rano, jemy śniadanie i ruszamy. Idziemy właściwie do późna, robiąc przerwy na odpoczynek i jedzenie”, opowiada Wyciszkievicz. „Bywa ciężko, przeszkadza i deszcz, i upał... Ale bez przesady”, dodaje. „Wciąż wspominam historię »Sokoła«, który był nastolatkiem, kiedy poszedł na wojnę. A my... Mamy tylko przejść 1000 km. Nie zamierzamy marudzić”.

JAK POMÓC?

Skontaktuj się z żołnierzami na ich fanpage'u „Marsz dla Polskiego Bohatera” i promuj akcję na portalach społecznościowych.

Wpłać pieniądze na konto:

Stowarzyszenie Paczka dla Bohatera

87 1140 2004 0000 3802 7696 5124

W tytule przelewu: „Darowizna Marsz dla Polskiego Bohatera”



Ostatnie kilometry trasy pokonali wspólnie. W białych i czerwonych koszulkach pobiegli pod pomnik Armii Krajowej i Polskiego Państwa Podziemnego.

Sztafeta pamięci

MAGDALENA MIERNICKA

Biegli w dzień i w nocy, aby oddać hołd niepodległej. Wyjątkowa sztafeta stworzona przez żołnierzy i pracowników wojsk obrony terytorialnej pokonała 1100 km wzdłuż królowej polskich rzek – Wisły.

Pomysł na Sztafetę Niepodległości, która pobiegnie wzdłuż Wisły, narodził się w resorcie obrony narodowej. Zaraził mnie nim wiceminister Marek Łapiński”, mówi gen. dyw. Wiesław Kukuła, dowódca WOT-u. „Idea bardzo mi się spodobała, ale nie byłem pewien, czy znajdą się chętni, aby wprowadzić ją w życie”. Obawy dowódcy okazały się bezpodstawne. Zgodnie z założeniem konieczne było zaangażowanie 50 terytorialsów. Finalnie pobiegło ponad 130 osób z całego kraju.

Wśród nich byli reprezentanci wszystkich brygad obrony terytorialnej. „Zdecydowałem się na udział w imprezie, aby uczcić pamięć tych, którzy walczyli o naszą wolność. Zrobiliśmy to niejako za tych, którzy walczyli, żebyśmy dziś mogli biegać”, mówił st. kpr. Paweł Maciąg

z 13 Śląskiej Brygady Obrony Terytorialnej. Wtórował mu szer. Michał Jurasz z 3 Podkarpackiej Brygady OT. Kiedy dowiedział się o tym wyjątkowym biegu, nie wahał się ani chwili. „Biegam od kilku lat, więc ten sposób uczczenia odzyskania przez Polskę niepodległości był dla mnie oczywisty”, podkreślił.

Zawodnicy zostali podzieleni na dwie drużyny. 11 sierpnia biegacze z grupy Źródło wystartowali w okolicach Jeziora Czerniańskiego – 78 osób miało pokonać 620-kilometrową trasę w czasie nie dłuższym niż 73 godziny. Dzień później na starcie w Mikośzewie zameldowała się grupa Ujście, składająca się z 54 uczestników. Ich celem było przebiegnięcie 480 km w 56 godzin. Na trasie przez cały czas musiało być dwóch zawodników z każdej drużyny, za-

Podczas sztafety do zawodników dołączali też biegacze, którzy w ten sposób chcieli wyrazić swoje poparcie dla tej inicjatywy



„Dziękuję, że metą waszej sztafety jest właśnie pomnik Armii Krajowej i Polskiego Państwa Podziemnego, a także, że na tę uroczystość zaprosiliście nas, weteranów, bo to znaczy, że doceniacie naszą przeszłość. My z kolei doceniamy to, co wy robicie”, mówił terytorialsom Leszek Żukowski, prezes Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.

równy w dzień, jak i w nocy. Zmieniali się co 10 km, przekazując sobie flagę WOT-u. Kierunek wyznaczali piloci na rowerach, a w newralgicznych miejscach o bezpieczeństwo biegaczy dbała policja.

Czy udział w biegu był dla żołnierzy wyzwaniem? „Pierwsze 10 km pokonywałem o 4.00 rano, więc biegło mi się komfortowo, bo powietrze było rześkie. Ale drugi odcinek musiałem przemierzyć o godzinie 16.00, więc już nie było tak miło, ale dałem radę”, mówił szer. Mateusz Ziomek z 1 Podlaskiej Brygady Obrony Terytorialnej. Dwa odcinki musiał pokonać także kpr. Maciąg. „Nie był to długi dystans, tempo też nie było mordercze. Zdarzały się niedogodności, takie jak ukształtowanie terenu, ale powiedzmy sobie szczerze: dla kogoś, kto służy w wojsku, ich pokonanie nie było żadnym problemem”, podkreśla żołnierz.

Trasa, z którą mieli się zmierzyć zawodnicy, liczyła 1100 km. Wiodła przez miasta, miasteczka i wsie. Nic więc dziwnego, że terytorialsom kibicowali mieszkańcy. „Spotkaliśmy się z pozytywnymi reakcjami, szczególnie ze strony osób starszych, które witały nas brawami”, wspomina szer. Ziomek. „To było bardzo miłe, tak jakbyśmy nie biegli sami”, dodaje szer. Jurasz. Ale to niejedyne niespodzianki, które czekały na żołnierzy na trasie. Szer. Juraszowi utkwii-

ły w pamięci piękne widoki. „Zdarzało się, szczególnie w nocy, że widywaliśmy dzikie zwierzęta, na przykład sarny. To taka wartość dodana tego biegu”, zaznacza.

Co ciekawe, podczas sztafety do zawodników dołączali też biegacze, którzy w ten sposób chcieli wyrazić swoje poparcie dla tej inicjatywy. Wśród nich byli m.in. samorządowcy, dowódcy brygad OT, a także... wiceminister obrony narodowej Tomasz Zdzikot. Przedstawiciel resortu przyłączył się do zawodników w Nowym Dworze Mazowieckim i przybiegł z nimi aż do Warszawy. „To wyjątkowy sposób, aby uczcić 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości. Uroczystości oficjalnych jest wiele, a bieg na 1100 km – tylko jeden. Bieganie to jedna z moich pasji, więc ta idea bardzo mi się spodobała, nie mogło mnie tu zabraknąć”, mówił na mecie. „Sam bieg był bardzo przyjemny, tempo spokojne, co sprzyjało rozmowom z żołnierzami. Dałem się nawet namówić na udział w Biegu Terytorialsa”.

14 sierpnia, dzień przed Świętem Wojska Polskiego, wszyscy zawodnicy spotkali się w Warszawie na błoniach stadionu PGE Narodowy. Ostatnie kilometry trasy pokonali wspólnie. W białych i czerwonych koszulkach pobiegli pod pomnik Armii Krajowej i Polskiego Państwa Podziemnego. Na mecie czekali na nich weterani walk o niepodległość. „Dziękuję, że w ten sposób czcicie setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości. Dziękuję, że metą waszej sztafety jest właśnie pomnik Armii Krajowej i Polskiego Państwa Podziemnego, a także, że na tę uroczystość zaprosiliście nas, weteranów, bo to znaczy, że doceniacie naszą przeszłość. My z kolei doceniamy to, co wy robicie”, mówił terytorialsom Leszek Żukowski, prezes Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. „Gratuluję, że w roku, w którym obchodzimy setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości, uczciliście Święto Wojska Polskiego w tak szczególny sposób”, powiedział zaś Mariusz Błaszczak, minister obrony narodowej, wręczając biegaczom symboliczne medale. Dodał również, że podjął decyzję o ustanowieniu 27 września świętem wojsk obrony terytorialnej. Dymy ze swoich żołnierzy nie krył także gen. Kukuła. „Ta sztafeta to sposób na to, aby wyrazić szacunek wobec wszystkich polskich patriotów, dzięki którym żyjemy w wolnym kraju. Chcieliśmy też pokazać, że we współczesnych żołnierzach Wojska Polskiego tli się wola walki i zwycięstwa. Daliście tego przykład”, zaznaczył. Dowódca WOT-u zapowiedział także, że odbędą się kolejne edycje wydarzenia. Być może nawet w tym roku z okazji Święta Niepodległości, przypadającego 11 listopada. „Chciałbym jednak podnieść poprzeczkę wyżej – w kolejnej edycji pobiegnie jeszcze więcej żołnierzy, którzy trasę pokonają w mundurach. Oczywiście ja również wezmę udział”, zapewnił. ■



Odrobina kawaleryjskiej *fantazji*

PIOTR RASZEWSKI

Przebieranie się w przedwojenny mundur to dla nich za mało. Pasjonaci ze Szwadronu Ziemi Hrubieszowskiej organizują zawody kawaleryjskie, szkolą żołnierzy i dbają o zachowanie pamięci o 2 Pułku Strzelców Konnych.

Wielu współczesnych kawalerzystów to rekonstruktorzy. Mają odpowiednie umundurowanie, właściwe odznaki, biorą udział w inscenizacjach historycznych. Ci z Hrubieszowa swoją pasję traktują szerzej. „Z racji wieku i zapachu szukaliśmy nieco innej drogi, pasującej do nas. Wielu z nas od lat jeździ konno, uprawia ten sport na co dzień. Jednocześnie odtwarzamy tradycje 2 Pułku Strzelców Konnych. Od początku wiedzieliśmy, że w Hrubieszowie odbyły się w 1934 roku największe zawody Militari, czyli Konne Mistrzostwa Wojska Polskie-

go. Oczywiście zatem było, że chcieliśmy nie tylko spróbować sił w tym sporcie, lecz także zrekonstruować historyczne zawody”, mówi Kamil Ciesielczuk, dowódca oddziału kawalerii 2 Pułku Strzelców Konnych i prezes zarządu Stowarzyszenia Szwadronu Ziemi Hrubieszowskiej im. 2 PSK.

HISTORIA NA CO DZIEŃ

Grupa zawiązała się w 2011 roku. Do stowarzyszenia zaczęli wstępować pasjonaci jazdy konnej nie tylko z Lubelszczyzny. „Dołączyłem do kolegów w 2012 roku



Współpraca z hrubieszowskimi zwiadowcami to istotny aspekt działalności Szwadronu Ziemi Hrubieszowskiej.

i początkowo niewiele wiedziałem o 2 Pułku. Podobały mi się po prostu jazda konna, mundur, władanie szablą czy lancą”, wspomina początki Patryk Sagan, dziś jeden z najlepszych zawodników współczesnego Militari w Polsce. „Pojawił się jeszcze jeden kolega spod Lublina, ktoś z Podkarpacia, kto w tym czasie tutaj studiował. Tak powstała grupa kilku osób, które bardzo dobrze jeżdżą konno i mocno zaangażowały się w działalność szwadronu. W pewnym momencie jednak nie wystarczało nam samo ubieranie się w mundur. Wystartowaliśmy w zawodach, tak więc naturalnym kolejnym krokiem było zrobienie swojej imprezy”, mówi kawalerzysta.

Pomysł zaczął się materializować cztery lata temu. Wtedy po raz pierwszy do Hrubieszowa

przyjechali kawalerzyści z całej Polski, by przystąpić do rywalizacji z okazji Święta Strzelca Konnego. Są to zawody wyjątkowe. „Mamy to szczęście, że na co dzień obcujemy z historią naszego pułku. Koszary, które kiedyś były garnizonem 2 Pułku Strzelców Konnych, dziś zajmuje 2 Pułk Rozpoznawczy. Kaplica pułkowa to dzisiaj kościół garnizonowy. Nadal stoją też budynki, w których znajdowały się mieszkanie dowódcy, kuźnia, stajnie czy kryta ujeżdżalnia. Jest też kasyno oficerskie, obecnie budynek browaru”, wylicza Kamil Ciesielczuk i dodaje: „Co najważniejsze, miejsce, w którym rozegrano zawody w 1934 roku, też praktycznie należy do nas. Są to bowiem tereny zielone, gdzie na co dzień pasą się nasze konie”.

Zawody zorganizowane w czasie Święta Strzelca Konnego rozgrywane są dokładnie w tym samym miejscu, w którym 84 lata temu rywalizowali przedwojenni kawalerzyści. Identyczne są też niektóre przeszkody. „Zależało nam, żeby błonia nad Huczwą znów przybrały formę małego hipodromu. W trakcie prac na tym terenie odnaleźliśmy przeszkodę z przedwojennych zawodów, czyli rów z wodą”, mówi Kamil Ciesielczuk. „W »Wielkiej księdze kawalerii 1918–1939« jest zdjęcie z Hrubieszowa z 1934 roku. Fotografia z ubłoconym po pachy kawalerzystą, przeprowadzającym i wyciągającym konia z takiego rowu z bagnem, jest popularna wśród kawalerzystów-rekonstruktorów. Informacja, że znaleźliśmy tę przeszkodę, zadziałała jak magnes i już na pierwsze zawody przyciągnęła tu jeźdźców z całego kraju”, dodaje Patryk Sagan.

PRZEDWOJENNA ATMOSFERA

Nawiązań do przedwojennych zawodów jest znacznie więcej, bo dla kawalerzystów z Hrubieszowa historia jest niezwykle istotna. „Mamy troszeczkę tej przedwojennej kawaleryjskiej fantazji. Lubimy szukać takich smaczków z przeszłości. Nawet rozkład naszego święta jest historycznie uzasadniony. W sobotę wieczorem odbywają się msza święta i apel, a niedziela to punkt kulminacyjny zawodów, czyli władanie bronią. Wszystko po to, by ci, którzy przyjeżdżają do Hrubieszowa, zobaczyli, jak to było przed wojną”, wyjaśnia dowódca oddziału kawalerii 2 Pułku Strzelców Konnych.





Pasjonaci zadbali również o to, by zawodom kawalerskim rozgrywanym w ramach Święta Strzelca

Konnego nadać rangę memoriału mjr. Michała Radziwińskiego, przedwojennego szefa wyszkolenia w hrubieszowskiej jednostce. Zgodę na to wyraziła córka oficera, Maria Ciesielczuk: „Te zawody to dla mnie najważniejsze dni w roku. W 2 Pułku Strzelców Konnych służył nie tylko mój ojciec, ale też brat cioteczny i inni członkowie rodziny. Choć nie pamiętam kawalerii sprzed wojny, nasz dom był przesiąknięty tradycją ułanów, atmosferą życia w koszarach. Cieszę się, że dzięki pasji tych młodych ludzi znów mogę obserwować zmagania kawalerzystów”.

PIOTR RASZEWSKI

GRUPA ZAWIĄZAŁA SIĘ W 2011 ROKU. DO STOWARZYSZENIA ZACZĘLI WSTĘPOWAĆ PASJONACI JAZDY KONNEJ NIE TYLKO Z LUBELSZCZYZNY. WŚRÓD NICH SĄ PRZEDSTAWICIELE WIELU PROFESJI, ŻOŁNIERZE, ALE RÓWNIEŻ LEKARZE, ROLNICY, PRZEDSIĘBIORCY I EMERYCI



„WIELU Z NAS OD LAT JEŹDZI KONNO, uprawia ten sport na co dzień. Jednocześnie odtwarzamy tradycje 2 Pułku Strzelców Konnych”, mówi Kamil Ciesielczuk.

SPADKOBIERCY TRADYCJI

Dziś Święto Strzelca Konnego to duża impreza, jedna z największych corocznych atrakcji Hrubieszowa, pewnego rodzaju marka wśród kawalerzystów. „Zaczęliśmy od małych zawodów, nawet nie były one zaliczane do kwalifikacji mistrzostw Polski, później staliśmy się taką kwalifikacją, a teraz jesteśmy jedną z trzech imprez największego cyklu w Europie, czyli Pucharu Polski, którego jesteśmy pomysłodawcami. Ze względu na tak szeroki zakres działania współpracujemy z wieloma organizacjami, m.in. Fundacją Niepodległości, która jest głównym współorganizatorem Święta Strzelca Konnego. Wspomagają nas też miasto Hrubieszów i 2 Pułk Rozpoznawczy”, wylicza Kamil Ciesielczuk.

Współpraca z hrubieszowskimi zwiadowcami to istotny aspekt działalności Szwadronu Ziemi Hrubieszowskiej. „Jest ona naturalna, bo 2 Pułk Rozpoznawczy dziedziczy tradycje 2 Pułku Strzelców Konnych, który stacjonował w naszych koszarach w latach 1921–1939. A my jesteśmy spadkobiercami tej historii w pierwszej linii”, wyjaśnia st. sierż. Andrzej Leśko, oficer prasowy 2 Pułku Rozpoznawczego, i dodaje: „Nasz pułk jest ściśle związany z Hrubieszowem i wpisany w jego tradycję. Dlatego co roku pomagamy organizować Święto Strzelca Konnego. Oprócz pokazów statycznych i dynamicznych zabezpieczamy je również logistycznie. Przy okazji promujemy też własną jednostkę i całe

Siły Zbrojne RP”. Kawalerzyści odwdzięczają się zwiadowcom udziałem w uroczystościach pułkowych, a także... szkoleniami. „Punktem kulminacyjnym naszej współpracy było szkolenie dla żołnierzy, które prowadziłem w 2 Pułku Rozpoznawczym”, tłumaczy Kamil Ciesielczuk. „Zajęcia trwały tylko godzinę tygodniowo, więc znacznie krócej niż kiedyś, gdy kawalerzystów ćwiczyło od rana do wieczora. Spośród 30-osobowej grupy kilku żołnierzy bardzo zainteresowało się tą tematyką i szybko robiło postępy. Po trzech miesiącach sześć osób potrafiło galopować. Na koniec szkolenia udało się pojechać z nimi w teren, w si-

dem koni, czyli przedwojenną sekcją z dowódcą”, wspomina dowódca hrubieszowskiego oddziału i dodaje: „Gdyby ochotnicza kawaleria miała połowę tej dyscypliny i odwagi, co współczesne wojsko, byłoby doskonale”.

Właśnie odpowiedzialność, samodyscyplina, poszanowanie zasad *savoir-vivre* to charakterystyczne cechy pasjonatów z Hrubieszowa. „Tego wymagamy od swoich ludzi. Jeżeli idziemy w szyku na uroczystości, to nie ma mowy, żeby ktoś był nieogolony albo pięć minut się spóźnił. Kiedyś kawalerzyści to była elita społeczeństwa. Oni uosabiają patriotyzm w czystej formie, patriotyzm życia codziennego. Staramy się pokazywać te najlepsze wzorce”, tłumaczy Kamil Ciesielczuk. „Zauważyłem, że od kiedy wstąpiłem do kawalerii, chodzę starannie uczesany, ogolony, ubrany bardziej stosownie do sytuacji. Weszło mi w nawyk, że zawsze najpierw przywitam się z kobietą, dopiero później z mężczyzną”, uśmiecha się prezes Stowarzyszenia Szwadronu Ziemi Hrubieszowskiej.

Z kolei Patryk Sagan dodaje: „Różnie odbiera się kawalerię ochotniczą. Jedni myślą, że jest to grupa rekonstrukcyjna, inni, że to jakieś polityczne zaplecze. A my jesteśmy po prostu ludźmi z pasją. Kawalerzyści ochotnicy to nie są żołnierze. Wśród nas są przedstawiciele wielu profesji, żołnierze także, ale również lekarze, rolnicy, leśnicy, przedsiębiorcy i emeryci. Łączy nas pasja do historii i tradycji. Oczywiście potrafimy się też bawić, pójść na bal, a niektórzy z nas umieją nawet tańczyć...”, puszcza oko kawalerzysta ochotnik, na co dzień księgowy z Lublina. ■



PATRONAT MINISTRA OBRONY NARODOWEJ
MARIUSZA BŁASZCZAKA

PATRONAT SZEFĄ BIURA BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO
MINISTRA PAWŁA SOŁOCHA



PATRONAT BISKUPA POŁOWEGO WOJSKA POLSKIEGO
GEN. BRYG. JÓZEFA GUZDKA

22. Bieg Przełajowy "O Nóż Komandosa"

im. gen. broni Włodzimierza Potasińskiego



06 października 2018 r.
Lubliniec - Przystań Oblacka



DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW

PATRONAT MEDIOALNY



DBAM I POMAGAM

Z Ziemowitem Budkiem

o sportowej rywalizacji osób niepełnosprawnych rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.

Na czym polega Pana praca z weteranami poszkodowanymi, zawodnikami przygotowującymi się do startu w igrzyskach Invictus Games, które odbędą się w październiku w Sydney?

Jestem specjalistą ortopedii oraz medycyny sportowej. Dotychczas moja rola polegała na tym, aby ocenić ogólny stan zdrowia zawodników oraz dostosować trening do ich możliwości. Dbam także o to, aby był on dla nich bezpieczny. Podczas ćwiczeń zaś reaguję na ewentualne urazy czy choroby zawodników. Będę także pomagał im w bezpiecznym odbyciu podróży. Cieszę się, że wcześniej byłem w składzie polskiego kontyngentu wojskowego, a teraz mogę uczestniczyć w zabezpieczeniu medycznym poszkodowanych weteranów.

się kierowali przy wyborze konkurencji, w których wystartują w Sydney? Czy jakieś schorzenia mogą wykluczyć zawodnika z udziału w igrzyskach?

**Mjr dr n. med.
Ziemowit Budek**

jest specjalistą ortopedii i medycyny sportowej w 2 Wojskowym Szpitalu Polowym we Wrocławiu. Uczestniczył w czterech zmianach PKW w Iraku i Afganistanie.

Weterani wzięli już udział w dwóch turnusach sportowych w Ośrodku Szkoleniowo-Kondycyjnym w Mrągowie, gdzie ćwiczyli pod okiem trenerów. We wrześniu na kolejnym turnusie zakończą przygotowania do startu w igrzyskach. Czym



Podczas kwalifikacji pod uwagę były brane zarówno osiągnięte wyniki, typy niepełnosprawności weteranów, jak i rodzaje konkurencji planowanych na Invictus Games. W przygotowaniu zawodników bierze udział cały sztab ludzi, nie tylko lekarze, lecz także fizjoterapeuci, psychologowie, trenerzy czy dietetycy. W mojej ocenie głównym kryterium ograniczającym możliwość udziału w Invictus Games może być trudność w odbyciu podróży i ewentualnej aklimatyzacji na miejscu.

Niepełnosprawni przez ćwiczenia dodatkowo wyrabiają zdolności kompensujące ich zaburzenia

Weterani, którzy zostali ranni podczas zagranicznych misji wojskowych, mają pewne ograniczenia w wyborze sportowej dyscypliny. Czy aktywność fizyczna wpływa na nich podobnie jak na osoby zdrowe?

Uprawianie sportu w podobny sposób oddziałuje na osoby zdrowe i niepełnosprawne, ale w tym drugim wypadku działanie jest podwójne, gdyż ćwiczenia są także formą rehabilitacji. Osoby niepełnosprawne ćwiczą, aby – podobnie jak te zdrowe – zwiększyć siłę mięśniową oraz wydolność fizyczną, ale przez ćwiczenia dodatkowo mogą wyrabiać zdolności kompensujące ich zaburzenia. Sportowa aktywność staje się rehabilitacją wielokierunkową i kompleksową, która wpływa zarówno na sferę fizyczną, jak i psychiczną człowieka. Treningi osób zdrowych są zindywidualizowane, a niepełnosprawnych – superzindywidualizowane, ponieważ muszą zostać dostosowane do stanu zdrowia danej osoby i rodzaju schorzenia oraz niepełnosprawności. Taką aktywność popularyzują w coraz większym stopniu również paraolimpiady. Już weterani II wojny światowej brali udział w sportowych zawodach, np. w 1944 roku uczestniczyli w nich byli piloci RAF-u. Podczas Invictus Games polscy żołnierze służący kiedyś w PKW będą rywalizować sportowo z kolegami z innych armii, z którymi wcześniej wspólnie działali wojskowo.

Na siłowni mogą oni ćwiczyć sami czy muszą to robić pod okiem trenera?

Jeżeli na co dzień weterani funkcjonują samodzielnie, podczas ćwiczeń fizycznych nie musi im towarzyszyć stale trener. Dobrze jest jednak mieć obok fachowca, który oceni, czy ćwiczenia są wykonywane poprawnie i w razie potrzeby skoryguje lub inaczej ułoży trening. Dużą rolę w sporcie niepełnosprawnych odgrywają osoby zdrowe, myślę np. o wolontariuszach. Jedni pomagają osobom niedowidzącym w treningach, np. razem z nimi mogą biegać czy jeździć na rowerze w tandemie. Inni włączają się w logistykę, np. zorganizują przejazd na treningi osobom poruszającym się na wózkach. Takie

wspólne działanie to dodatkowy czynnik integracyjny. Osoby niepełnosprawne nie czują się wtedy wykluczone ze sportowej aktywności, a wręcz mają możliwość powrotu do pełnienia funkcji społecznych.

Czy jakiś rodzaj niepełnosprawności może wykluczyć z uprawiania sportu?

Osoby z niepełnosprawnościami uprawiają takie same dyscypliny sportowe, jak ludzie zdrowi. Dostosowywane są natomiast reguły oraz kategorie odpowiednich rodzajów sportu. Tworzone są również specjalne dyscypliny dla osób ze szczególnymi ograniczeniami ruchowymi lub psychicznymi. Obecnie każdy ma szansę znaleźć dla siebie konkurencję, którą może uprawiać, w której może rywalizować z innymi, będącymi w podobnej sytuacji życiowej. Dba się też o to, aby osoby o podobnym stopniu niepełnosprawności mogły ze sobą sportowo rywalizować.

Jak uprawianie sportu wpływa na organizm człowieka?

Ma działanie wielokierunkowe, podnosi sprawność mięśni, układu sercowo-naczyniowego, ale także, co ma duże znaczenie dla osób z niepełnosprawnościami, poprawia koordynację ruchową. Systematyczne ćwiczenia wymagają również zaangażowania psychiki, co wyrabia siłę woli i hart ducha. Rezultatem treningów jest zwiększenie wydolności organizmu, a to przekłada się zarówno na lepsze radzenie sobie z fizycznymi trudami dnia codziennego, jak i na poprawienie samooceny oraz lepsze nastawienie do życia. Ważny jest także aspekt społeczny – podczas wspólnych ćwiczeń chodzi nie tylko o rywalizację, lecz także o wzajemne wspieranie się – początkujący widzą, jakie rezultaty mogą osiągnąć poprzez ćwiczenia. Osoby z niepełnosprawnościami mogą dzięki uprawianiu sportu integrować się z innymi, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji, co umożliwia im powrót do życia społecznego. ■



WITOLD KORTYKA

POWRÓT DO DOMU

ARCH. WITOLDA KORTYKI

Polscy i amerykańscy weterani przeszli szlakiem św. Jakuba.

Wróciłem odmieniony! Świat stał się piękniejszy, a trudy codziennego życia okazały się bardziej znośne. Wiem jedno: długotrwały wysiłek fizyczny, wspólna piesza wędrówka górkim szlakiem w gronie ludzi, którzy podobnie jak ty pokonują własne słabości, czyni cuda. Przejście blisko 890 km sprawia, że błędne traumatyczne wspomnienia związane z tragicznymi wydarzeniami na misjach.

ZAPROSZENIE DLA POLAKÓW

Pod koniec 2017 roku na stronie internetowej Centrum Weterana pojawiła się informacja, że amerykańska organizacja charytatywna Veterans on the Camino zaprasza polskich weteranów na wspólną wędrówkę jedną z najważniejszych chrześcijańskich tras pielgrzymkowych – szlakiem św. Jakuba w północno-zachodniej Hiszpanii. Trzeba było spełnić kilka warunków: znać język angielski, mieć za sobą służbę na misji w Afganistanie, a także wyka-

zać się w miarę dobrą kondycją fizyczną, aby wytrzymać trudy 40-dniowego marszu. Koszty zakwaterowania czy wyżywienia pokrywał organizator, zapewnił nam także odpowiednie obuwie i niezbędne wyposażenie. Zgłosiłem się, bo zaciekała mnie taka forma terapii PTSD [posttraumatic stress disorder, czyli zespół stresu pourazowego].

Brad Genereux, założyciel fundacji Veterans on the Camino, organizował wyprawę już po raz piąty. Opowiadał, że ta pierwsza była dla niego terapią: opuścił armię i nie potrafił się odnaleźć w cywilnym życiu. W tym roku Brad zaprosił weteranów z Polski. Oprócz mnie zgłosił się także Piotr Żbikowski, mł. chor. marynarki, który służy w Dowództwie 8 Flotylli Obrony Wybrzeża. Uznaliśmy, że codzienny 25-kilometrowy marsz to wyzwanie i postanowiliśmy się sprawdzić.

Wiedziałem, że czeka nas przygoda, bo spotkamy amerykańskich kolegów, z którymi będziemy dzielić trud i zmęczenie. Wiedziałem



Istniejąca od ponad tysiąca lat Droga św. Jakuba jest jednym z najważniejszych chrześcijańskich szlaków pielgrzymkowych. Trasa oznaczona jest muszlą św. Jakuba, która jest także symbolem pielgrzymów.

SYMBOLICZNYM UCZESTNIKIEM WĘDRÓWKI BYŁ **CASEY SAUNIER**, KTÓRY SŁUŻYŁ W AFGANISTANIE. NIE PORADZIŁ SOBIE ZE SKUTKAMI STRESU POURAZOWEGO. W 2017 ROKU POPEŁNIŁ SAMOBÓJSTWO



ARCH. WITOLDA KORTYKI

Piotr Żbikowski (pierwszy z lewej) i Witold Kortyka (pierwszy z prawej)

także, że będę dążył do wyznaczonego celu, jak miało to miejsce w przeszłości na misji na Bałkanach, w Iraku i Afganistanie. Moje obawy dotyczyły jedynie ograniczeń zdrowotnych. Po 26 latach odszedłem z wojska, gdyż obrażenia odniesione na misji uniemożliwiły mi kontynuowanie służby. Zostałem ranny w Iraku, gdy ostrzelano konwój, którym jechałem. Mam uszkodzony staw skokowy, łokciowy, a także kręgosłup i bark. Wiedziałem, że codziennie na szlaku będę się zmagał z własnymi ograniczeniami.

Długotrwały marsz, zmienność warunków terenowych oraz pogodowych stanowią wyzwanie dla każdego uczestnika. Dla weterana poszkodowanego z niepełnosprawnością ruchową jest to zadanie wymagające szczególnej motywacji, determinacji i odpowiedniego przygotowania. Dlatego trzy miesiące wcześniej rozpocząłem przygotowania do wędrowki – z plecakiem maszerowałem wokół Zalewu Żegrzyńskiego. Największe problemy miałem z dopasowaniem butów.

Wyprawa rozpoczęła się we Francji u stóp Pirenejów. Było nas sześciu: po dwóch Amerykanów, Francuzów i Polaków. Większość trasy prowadziła przez góry leżące od 1,5 do 2 tys. m n.p.m. Po przejściu 150 km na stopach pojawiły się odciski. Nie mogły mnie jednak zatrzymać.

PIELGRZYMOWANIE UZALEŻNIA

Spaliśmy w albergach, czyli schroniskach dla pielgrzymów. Po ponadmiesięcznej podróży dotarliśmy do Santiago de Compostela, gdzie w klasztorze spoczywają szczątki św. Jakuba. Tam odebraliśmy certyfikat potwierdzający naszą wędrowkę. Zgodnie ze średniowiecznym zwyczajem poszliśmy dalej, do miasta Fisterra, uważanego przed wiekami za kraniec Ziemi, aby zanurzyć się w oczyszczającej zimnej kąpieli w Atlantyku.

Siódmym, symbolicznym uczestnikiem naszej wędrowki był Casey Saunier, żołnierz piechoty morskiej, który służył w Afganistanie. Wrócił z misji do domu, ale nie poradził sobie ze skutkami stresu pourazowego. Pod koniec 2017 roku popełnił samobójstwo. Miał 35 lat. Nasza wyprawa została poświęcona jego pamięci. Miałem wrażenie, że idzie razem z nami, wspominaliśmy go niemal każdego wieczora. Brad Genereux zabrał na szlak jego nieśmiertelnik oraz bransoletę, jaką noszą amerykańscy żołnierze, a na koniec wędrowki odebrał certyfikat ukończenia marszu, tzw. compostelę, którą przekazał rodzicom Casey'a.

Na stronie internetowej fundacji Veterans on the Camino Brad Genereux napisał, że dla amerykańskich weteranów celem hiszpańskiej wyprawy był „powrót do domu”. Wrócili zmęczeni, ale zadowoleni, bo pokonali własne słabości, bo „po dojściu do Santiago de Compostela umiera stary człowiek i rodzi się nowy”.

Wędrowka szlakiem św. Jakuba uzależnia. W przyszłym roku chcę zorganizować wyprawę polskich weteranów na Camino de Santiago. Będzie to okazja do upamiętnienia poległych kolegów oraz integracji naszego środowiska. Mam nadzieję, że uczestnikami będą także weterani po amputacjach. Są specjalne jednokołowe wózki, na których ze wsparciem dwóch bardziej sprawnych fizycznie kolegów mogą oni pokonać całą trasę. Dla osób z niepełnosprawnością ruchową udział w marszu szlakiem św. Jakuba będzie wyzwaniem wymagającym szczególnej motywacji i determinacji. Wiem jednak, że damy radę. ■

Wysłuchała: MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

WITOLD KORTYKA był uczestnikiem misji w Iraku, Afganistanie i Kosowie, a obecnie jest wykładowcą w Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki w Zegrzu.

ANNA DĄBROWSKA

Nie zeszli z posterunku

**Zostali tu pochowani żołnierze,
którzy zginęli w obronie Wojskowej
Składnicy Tranzytowej.**



Strzelec Władysław Jakubiak służbę wojskową odbywał w 14 Dywizjonie Artylerii Konnej w Białymstoku, skąd pod koniec wakacji 1939 roku został skierowany do Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte. Zginął tam 2 września, gdy przy koszarach wybuchła bomba. St. strz. Ignacego Zatorskiego 30 marca 1939 roku odkomenderowano na Westerplatte z 4 Pułku Piechoty Legionów w Kielcach. Walczył w obsadzie wartowni nr 5 i poległ w drugim dniu obrony.

Z kolei kpr. Andrzej Kowalczyk służył w 85 Pułku Strzelców Wileńskich w Nowej Wilejce. Został skierowany na Westerplatte 13 sierpnia 1939 roku i poległ tam 1 września, gdy likwidował gniazdo niemieckich karabinów maszynowych, prowadzące ostrzał wartowni nr 1. Wszyscy oni spoczywają dziś na Cmentarzu Żołnierzy Wojska Polskiego na Westerplatte.

SYMBOL WALKI

Prawo do utrzymania straży wojskowej na półwyspie Westerplatte w Wolnym Mieście Gdańsk zostało przyznane Polsce przez Ligę Narodów w 1925 roku. Powstała tam polska wojskowa składnica, w której stacjonował oddział wartowniczy. W sierpniu 1939 roku załogę powiększono do około 205–220 żołnierzy. Dowodził nimi mjr Henryk Sucharski, a jego zastępcą był kpt. Franciszek Dąbrowski.

Żałoga była uzbrojona w cztery moździerze, dwa działka przeciwpancerne i działko piechoty, a także w ciężkie i ręczne karabiny maszynowe, pistolety i granaty. Jej zadaniem było bronić składnicy przez 12 godzin, zanim przyjdzie pomoc z zewnątrz. O godzinie 4.45 1 września 1939 roku niemiecki pancernik „Schleswig-Holstein”, który

przyłynął do Gdańska kilka dni wcześniej z wizytą kurtuazyjną, otworzył ogień do obrońców składnicy. O 4.50 mjr Sucharski raportował do dowództwa: „Pancernik Schleswig-Holstein rozpoczął o godzinie 4.45 ostrzeliwanie Westerplatte z wszystkich dział. Bombardowanie trwa”. Potem ruszyły niemieckie natarcie. Polacy odparli atak, także drugi niemiecki szturm się załamał.

Kolejnego dnia kmdr Gustav Kleikamp, dowodzący Niemcami, postanowił załamać obronę nalotami bombowców nurkujących Ju-87 Stuka. Według badaczy dziejów Westerplatte, naloty spowodowały, że mjr Sucharski przeszedł załamanie nerwowe i chciał poddać składnicę. Wówczas dowództwo przejął kpt. Dąbrowski.

Polacy trwali na stanowiskach mimo niemieckiego ostrzału. „Jak objąłem służbę 1 września, to już do końca nie schodziłem z posterunku”, wspominał po wojnie jeden z obrońców, mjr Ignacy Skowron. Rankiem 7 września niemiecka artyleria rozpoczęła kolejną kanonadę, a po niej do ataku ruszyły grupy szturmowe z miotaczami ognia. Mimo to Polacy jeszcze raz powstrzymali atakujących. Żołnierze byli jednak skrajnie wyczerpani i mjr Sucharski podjął decyzję o kapitulacji. Około godziny 10.15 wydał rozkaz poddania polskiej placówki. Trwająca tydzień obrona Westerplatte stała się legendą i symbolem polskiej walki we wrześniu 1939 roku.

Historycy nie są pewni, ilu Polaków poległo w obronie półwyspu, według szacunków było ich od 15 do 20. Po wojnie, z inicjatywy żołnierzy zrzeszonych w Związku Obrońców Westerplatte oraz kpt. Dąbrowskiego, który służył w sztabie Marynarki Wojennej w Gdańsku, powstał cmentarz poległych obrońców Westerplatte – miejsce spo-



TOMASZ MIELCZAREK

OBRONA WESTER- PLATTE STAŁA SIĘ LEGENDĄ I SYMBO- LEM POLSKIEJ WAL- KI WE WRZEŚNIU 1939 ROKU

czynku żołnierzy, którzy zginęli w obronie Wojskowej Składnicy Tranzytowej.

Usytuowano go na miejscu zniszczonej wskutek bombardowania wartowni nr 5. Nekropolię zaprojektował architekt Stefan Jelnicki. Na jej terenie umieszczono tablicę ku czci poległych żołnierzy z napisem „Tu spoczywają Bohaterscy Obrońcy Westerplatte polegli we wrześniu 1939 r. Kawalerowie Krzyża Virtuti Militari” oraz listą poległych. Postawiono także betonowy krzyż ufundowany ze zbiorów społecznych. Cmentarz uroczyscie otwarto 29 lipca 1946 roku.

CZOŁG ZAMIAST KRZYŻA

W 1962 roku na zlecenie władz komunistycznych z cmentarza usunięto krzyż. Zastąpił go radziecki pomnik – czołg T-34/76 z Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte, która w 1945 roku walczyła o Gdynię. Krzyż westerplatczycy ocalili i przenieśli na cmentarz w Nowym Porcie koło kościoła św. Jadwigi Śląskiej. Jednocześnie rozpisano konkurs na opracowanie architektoniczno-urbanistyczne terenu Westerplatte. Wygrała koncepcja architekta Adama Haupta i rzeźbiarza Franciszka Duszenki. Zgodnie z nią przez kolejne lata trwały prace przy zagospodarowaniu oraz uporządkowaniu terenu, a w 1966 roku

na półwyspie odsłonięto monumentalny pomnik Obrońców Wybrzeża.

W kolejną rocznicę wybuchu II wojny, w 1971 roku na cmentarzu złożono prochy komendanta Wojskowej Składnicy Tranzytowej. Mjr Sucharski zmarł 30 sierpnia 1946 roku w brytyjskim szpitalu wojskowym w Neapolu na zapalenie otrzewnej. Pochowano go na Polskim Cmentarzu Wojskowym w Casamassima. 25 lat później jego szczątki ekshumowano i przewieziono do Polski.

Ostatni pogrzeb na cmentarzu odbył się 1 września 1992 roku. Wówczas uroczyscie pochowano tam prochy kpr. Andrzeja Kowalczyka, jednego z obrońców Westerplatte. Na jego szczątki natrafiono latem 1963 roku w czasie prac ziemnych przy odbudowie nabrzeża w porcie gdańskim. Przy żołnierzu znaleziono polski granat ręczny, ładownicę na naboje oraz resztki harmonijki ustnej.

Latem 1980 roku, po wybuchu protestów w porcie gdańskim, jednym z postulatów strajkujących było przywrócenie krzyża na cmentarzu na Westerplatte. W wyniku starań gdańskiej Solidarności w 1981 roku krzyż wrócił na swoje miejsce.

W pięćdziesiątą rocznicę walk na Westerplatte cmentarz o powierzchni 0,15 ha poddano rewitalizacji. Dziś tworzy go 15 granitowych krzyży, symbolizujących poległych w boju obrońców, ze stylizowanymi żeliwnymi tabliczkami w kształcie nieśmiertelników i nazwiskami poległych. Na środku ulokowano większy granitowy krzyż, przy którym znajduje się grób mjr. Sucharskiego. Stojącą nad nim rzeźbę orła przekazano do kościoła św. Jadwigi Śląskiej w Gdańsku. Na krzyżu w centrum nekropolii umieszczono emblemat orła i napis „Bóg Honor Ojczyzna”. ■

Panu płk. Mariuszowi Hasiukowi

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Teściowej

składają żołnierze oraz pracownicy RON
Zarządu Planowania Logistycznego J4
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

**Panu płk. Sławomirowi Dudczakowi
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**

wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczere kondolencje
z powodu śmierci

Ojca

składają kadra i pracownicy
Zarządu Rozpoznania i Walki Elektronicznej
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu st. szer. Jackowi Szczęchowi

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają komendant, żołnierze
oraz pracownicy wojska
Centralnego Poligonu Sił Powietrznych w Ustce.

Panu kpt. Jarosławowi Wiśniewskiemu

z wydziału G2 12 SDZ
wyrazy głębokiego współczucia
i szczere kondolencje
z powodu śmierci

Mamy

składają kadra i pracownicy
12 Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej.

Panu płk. Ryszardowi Bartkowiakowi

wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Brata

składają szef oraz kadra i pracownik OGBiMob.
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

„Nie umiera ten, kto pozostaje w sercu
i pamięci bliskich”.

**Płk. rez. Henrykowi Lewandowskiemu
oraz Jego Rodzinie**

najszczerze wyrazy współczucia, wsparcia i otuchy
w trudnych chwilach z powodu śmierci

Mamy

składają żołnierze i pracownicy
Biura Infrastruktury Specjalnej.

Panu mjr. Sławomirowi Kotasowi

szczerze wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze
i pracownicy resortu ON
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu mjr. Sławomirowi Kotasowi

wyrazy głębokiego współczucia
i szczere kondolencje z powodu śmierci

Taty

składają koledzy i koleżanki
z Oddziału Wychowania Fizycznego i Sportu
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Wyrazy najgłębszego współczucia
i szczerego żalu

Rodzinie oraz Bliskim

śp. ppłk. Zdzisława Mazura

składają połączeni w żałobie i smutku
dyrektor, żołnierze i pracownicy
Biura Infrastruktury Specjalnej w Warszawie.

Panu płk. Markowi Brylonkowi

wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają dyrektor oraz pracownicy
Departamentu Wojskowych Spraw Zagranicznych.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227

Wyrazy szczerego żalu, głębokiego współczucia
oraz wsparcia i otuchy

Pani Monice Kołajec

w trudnych chwilach z powodu śmierci

Taty

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej

3 Batalionu Zmechanizowanego w Zamościu.

Panu mjr. Łukaszowi Mazurowi

wyrazy głębokiego żalu oraz szczerego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają dyrektor, żołnierze i pracownicy
Departamentu Ochrony Informacji Niejawnych
Ministerstwa Obrony Narodowej.

Panu Krzysztofowi Kołaczowi

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych
wraz z żołnierzami i pracownikami
resortu obrony narodowej.

Panu kmdr. Andrzejowi Klasie

wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają dowódca Centrum Operacji Morskich –
Dowództwa Komponentu Morskiego
wraz z podległą kadram i pracownikami RON.



Pamiętamy

st. chor. Sylwester Janik

2 września 2013 roku,
PKW Afganistan

sierż. Marcin Poręba

4 września 2009 roku,
PKW Afganistan

st. chor. Władysław Wojciechowski

5 września 1989 roku,
UNTAG Namibia

st. chor. Ryszard Zalewski

5 września 1989 roku,
UNTAG Namibia

st. sierż. Jan Boleszczuk

5 września 1989 roku,
UNTAG Namibia

kpr. Artur Pyc

8 września 2009 roku,
PKW Afganistan

kpr. Piotr Marciniak

10 września 2009 roku,
PKW Afganistan

por. Piotr Mazurek

12 września 2004 roku,
PKW Irak

kpr. Grzegorz Nosek

12 września 2004 roku,
PKW Irak

por. Daniel Różyński

12 września 2004 roku,
PKW Irak

st. chor. Rafał Celebudzki

16 września 2014 roku,
PKW Afganistan

chor. Kazimierz Kajszcak

20 września 1991 roku,
UNDOF Syria

płk Bogdan Reczek

21 września 1977 roku,
UNEF II Egipt

chor. Kazimierz Kasprzak

27 września 2010 roku,
PKW Afganistan

szer. Józef Zuzanski

29 września 1994 roku,
UNDOF Syria

Pani Ewelinie Jaczyńskiej-Grzegorz
wyrazy współczucia, szczere kondolencje
i słowa wsparcia w trudnych chwilach
po śmierci

Męża

składają komendant, żołnierze
oraz pracownicy RON
6 Wojskowego Oddziału Gospodarczego w Ustce.

Panu ppłk. Tomaszowi Urbańskiemu
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Córki

składają koledzy i koleżanki
z Dowództwa Komponentu Wojsk Specjalnych.

Panu por. Arkadiuszowi Telendze
wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają dowódca, żołnierze, pracownicy RON
34 Chojnickiego Batalionu Radiotechnicznego.

**Panu kmr. Maciejowi Nałęczowi
oraz jego Rodzinie i Bliskim**
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Teściowej

składają oficerowie Attachatu Obrony
przy Ambasadzie RP oraz Przedstawicielstwa NATO
w Kijowie.

Najszczęsne kondolencje dla Kolegi
kmdr. Macieja Nałęcza
z powodu śmierci

Teściowej

składają współpracownicy DWSZ MON.

Panu kpt. Markowi Sieradzkiemu
wyrazy szczerego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca 3 Dywizjonu Artylerii Rakietowej
5 Lubuskiego Pułku Artylerii wraz z żołnierzami.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 25 lipca 2018 roku zmarł w Warszawie

śp. ppłk Stanisław Oleksiak
ps. „Kozic”

urodzony 12 października 1924 roku
w Sokołowie Podlaskim. Od listopada 1939 roku
służył w Związku Walki Zbrojnej w Obwodzie
Sokołów Podlaski Obszaru Warszawskiego ZWZ.

Od sierpnia 1943 roku żołnierz oddziału
partyzanckiego Konfederacji Narodu, a następnie
1 kompanii 3 Batalionu Uderzeniowych Batalionów
Kadrowych 77 Pułku Piechoty Armii Krajowej.
Uczestnik Akcji „Burza” na terenie Wileńskiego
Okręgu AK. Od sierpnia 1944 roku walczył
na Podlasiu przeciwko siłom NKWD i UB.
Od listopada 1944 do czerwca 1945 roku więziony
przez komunistyczny aparat bezpieczeństwa.
Od lipca 1945 roku służył w jednostce osłownej
warszawskiej komórki kontrwywiadowczej
Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj oraz Zrzeszenia
„Wolność i Niezawisłość”. Od lutego 1946
do grudnia 1954 roku więziony w Areszcie
Śledczym Warszawa-Mokotów, we Wronkach,
w Sierszy Wodnej oraz Brzeszczach.

W latach 2010–2013 prezes, a następnie prezes
honorowy Zarządu Głównego Światowego Związku
Żołnierzy Armii Krajowej. Uehonorowany Krzyżem
Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari,
Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski,
Krzyżem Walecznych oraz innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.
Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych

Panu płk. Markowi Brylonkowi
wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają dyrektor oraz pracownicy Departamentu
Wojskowych Spraw Zagranicznych.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 29 lipca 2018 roku zmarł w Gdańsku

śp. prof. Gustaw Budzyński
ps. „Szlifierz”, „Szymura”

urodzony 16 stycznia 1921 roku w Warszawie.
Absolwent Dywizyjnego Kursu Podchorążych
Rezerwy 29 Dywizji Piechoty w Grodnie.
Podczas inwazji niemiecko-sowieckiej w 1939 roku
zastępca dowódcy plutonu karabinów maszynowych
w składzie 81 Pułku Strzelców Grodzieńskich.
Od listopada 1939 roku działał na terenie Warszawy
w Komendzie Obrońców Polski. Od czerwca
1940 roku podchorąży w Obwodzie Żoliborz
Warszawskiego Okręgu Związku Walki Zbrojnej.
Od 1943 roku podporucznik, zastępca dowódcy
9 Kompanii Dywersji Bojowej „Żniwiarz”.
W powstaniu warszawskim trzykrotnie ranny,
walczył na Żoliborzu, w Puszczy Kampinoskiej
i na Bielaniech, jako zastępca dowódcy Zgrupowania
„Żniwiarz”. Od kwietnia 1945 do lipca 1948 roku
działał w organizacji „Nie”, Delegaturze Sił
Zbrojnych na Kraj oraz Zrzeszeniu „Wolność
i Niezawisłość”. W latach 1948–1955 więziony
przez władze komunistyczne.
Wybitny naukowiec i nauczyciel akademicki.
Uehonorowany Krzyżem Srebrnym Orderu
Wojennego Wirtuti Militari, Krzyżem Oficerskim
Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Walecznych
dwukrotnie, Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami
oraz innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.
Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych

Panu ppłk. Zbigniewowi Hynowskiemu
wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Matki
składają szef, kadra i pracownicy
Biura Rektora Akademii Sztuki Wojennej
w Warszawie.

Panu kpt. Jackowi Sielskiemu
oraz Jego Rodzinie i Bliskim

wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje z powodu śmierci
Ojca

składają dowódca płk dypl. Piotr Bednarczyk
oraz żołnierze i pracownicy
RON 5 Pułku Inżynieryjnego.

„Można odejść na zawsze, by stale być blisko...”
ks. J. Twardowski

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszczerze kondolencje
z powodu śmierci

Żony
kpt. mar. w st. spocz. Aleksandrowi Pawelcowi
składają dowódca, kadra i pracownicy wojska
3 Flotylli Okrętów.

Wyrazy szczerego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Mamy
Panu Czesławowi Orłowskiemu
składają żołnierze oraz pracownicy
17 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Koszalinie.

Panu mł. bryg. Emilowi Ćwiklińskiemu,
Rodzinie oraz Bliskim
słowa wsparcia oraz wyrazy głębokiego żalu
i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Dziadka
składają żołnierze, strażacy oraz pracownicy
Wojskowej Ochrony Przeciwpowodziowej.

Panu ppłk. Grzegorzowi Zamieli
kondolencje i wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca
składają dyrektor oraz żołnierze
i pracownicy Centralnego Wojskowego
Ośrodka Metrologii.



ANDRZEJ
FĄFARA

Franek Dolas na opak



Historia radzieckiego ppłk. Stanisława Jewgrafowicza Pietrowa, dotycząca wydania sprzed 35 lat, mogłaby być kanwą scenariusza filmu pod tytułem „Jak nie rozpętałem III wojny światowej”. W przeciwieństwie do zmyślonej opowieści o Franku Dolasie ta jest najprawdziwsza pod słońcem. 26 września 1983 roku ppłk Pietrow nie poinformował Kremla o amerykańskim ataku raketowym na ZSRR i tym samym nie dał powodu radzieckim przywódcom (sekretarzem generalnym partii był wtedy Jurij Andropow) do podjęcia kontrakcji.

Co wydarzyło się w centrali systemu ostrzegania przed atakiem raketowym, gdzie dyżur pełnił ppłk Pietrow? Oto jego relacja, pochodząca z wywiadu udzielonego dziesięć lat temu Justynie Prus z gazety „Dziennik”:

„To był dzień jak co dzień. A raczej noc. Nagle pojawiła się pierwsza informacja o rakiecie startującej z amerykańskiej bazy. Potem o kolejnej. Zawyły syreny – popatrzyliśmy na siebie z przerażeniem, wybuchła panika. Szybko jednak opanowaliśmy nerwy i zaczęliśmy sprawdzać systemy. Wszystko działało sprawnie. Wiarygodność: najwyższa. Musiałem szybko podjąć decyzję: albo przekazać wyżej informacje o ataku i tym samym rozpocząć procedurę odpowiedzi na niego, albo ostudzić emocje. Powiedzieć – wbrew komputerowi – że to pomyłka. Na własną odpowiedzialność. Po krótkim namyśle tak zrobiłem”.

Ppłk Pietrow podał konkretne uzasadnienie swojej decyzji: „Pomyślałem, że nikt nie zaczyna ataku jądrowego za pomocą pięciu rakiet. Poza tym nie startowałyby one z jednej bazy”. Nie przeczę, że były to argumenty, które przesądziły o działaniach Stanisława Jewgrafowicza. Śmiem jednak twierdzić, że były też inne, o których ppłk Pietrow nie mógł powiedzieć w wywiadzie dla „Dziennika”. Wynikały one z codziennych doświadczeń mieszkańca kraju, w którym na każdym kroku zdarzały się rozmaite awarie. Skoro nagminnie spóźniały się pociągi i psuły się windy, to dlaczego komputer w centrali systemu ostrzegania miał pracować bez zarzutu?

Tak czy inaczej, ppłk Pietrow uratował świat przed zagładą atomową. A trzeba wiedzieć, że sytuacja międzynarodowa była wówczas niezwykle napięta. Rosjanie siedzieli w Afganistanie. Jakiś czas wcześniej zestrzelili koreański samolot pasażerski. Można powiedzieć, że atmosfera sprzyjała naciskaniu guzików w centrach dowodzenia.

Człowiek, który nie rozpętał III wojny światowej, został w nagrodę przeniesiony w stan spoczynku. Jego historię nagłośniono dopiero po upadku Związku Radzieckiego. Ale nie aż tak bardzo, jak na to zasługiwała. Jej bohater dostał nawet kilka drugorzędnych nagród międzynarodowych i udzielił sporo wywiadów. Takich jak ten dla gazety „Dziennik”. Dokonał żywota w 2017 roku w spokojnym miasteczku Friażino, 25 km od Moskwy...



PRZEGLĄD SIŁ ZBROJNYCH

ŹRÓDŁO WIEDZY O UZBROJENIU,
TAKTYCE POLA WALKI I SZKOLENIACH



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO
POLSKIE

Wasza siła – Nasze bezpieczeństwo

Polecam!

Krzysztof Wilewski, redaktor wydawniczy

WWW.KERGMILITARY.PL

WWW.KERGMILITARY.EU

CERTYFIKOWANY
SPRZĘT
DLA WOJSKA

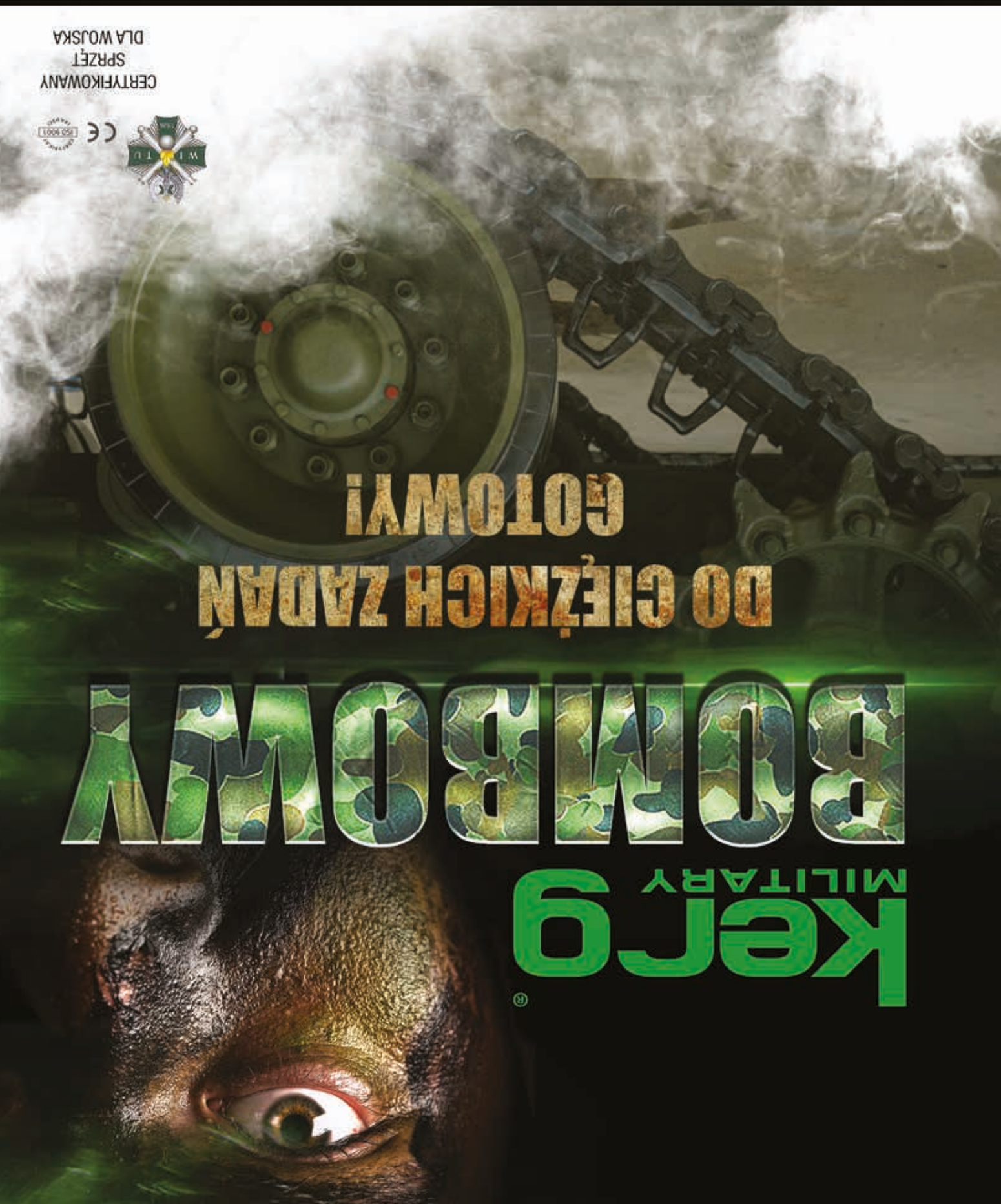


DO CIĘŻKICH ZADAŃ
GOTOWY!

BOMBOWY

ker9
MILITARY

®



NUMBER 91 WINTER 2018 POLSKA ZBRONIA